

P. 9786 Chr. Arch.

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 10/180

1962



• « La Culture » • Revue mensuelle •

I. A. LANGNAS:

PIELGRZYMKA DO ŹRÓDEL

F. SŁAWOJ SKŁADKOWSKI:

LATRUN

SUBSKRYPCJA

NA PISMA JÓZEFA WITTLINA

SPIS RZECZY

Gustaw Herling-Grudziński:	<i>Szkoła dyktatorów</i>	3
Ignazio Silone:	<i>Dialog pierwszy</i>	8
Witold Gombrowicz:	<i>Fragment z dziennika</i>	19
Wacław Iwaniuk:	<i>Notatnik poetycki (I)</i>	31
J. A. Langnas:	<i>Pielgrzymka do źródeł</i>	43

WIERSZE

Danuta Irena Bienkowska:	<i>Pieśń suchego języka</i>	61
Maria Orzeszkowska:	<i>Ballada</i>	65

ARCHIWUM POLITYCZNE

Juliusz Mieroszewski:	<i>Antyklimatek</i>	67
Londyńczyk:	<i>Kronika angielska</i>	77

SĄSIEDZI

Kazimierz Okulicz:	<i>Problem w uśpieniu</i>	86
S. W. Kozłowski:	<i>Przegląd niemiecki</i>	94

SPRAWY I TROSKI

Rowmund Piłsudski:	<i>Votum nieufności</i>	99
--------------------	-------------------------------	----

NAJNOWSZA HISTORIA POLSKI

Sławoj Składkowski:	<i>Latrun</i>	104
---------------------	---------------------	-----

KRONIKA KULTURALNA

Józef Czapski:	<i>Subskrypcja na pisma J. Wittlina</i>	121
Jan Holcman:	<i>Rola płyty gramofonowej</i>	124
—	<i>Konkurs Literacki Zw. Polaków w Belgii</i>	129

KSIĄŻKI

Florian Śmieja:	<i>Przekłady z hiszpańskiego (dok.)</i>	130
Michał Sambor:	<i>Wyspa szczęśliwa</i>	137
Maria Czapska:	<i>„Pani Helena”</i>	143
Władysław Pobóg-Malinowski:	<i>Powstanie Wielkopolskie</i>	147
—	<i>Nadesłane nowości wydawnicze</i> ..	152



A. Czerniawski, St. Gielczyński, P. Jankowski, M.K. Pawlikowski, A. Polakiewicz, M. Wańkowicz, K. Wędrzyński, P. Zaremba:	<i>Listy do Redakcji</i>	153
---	--------------------------------	-----

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Październik – Octobre 1962

INSTYTUT



LITERACKI

W BIEŻĄCYM MIESIĄCU UKAŻE SIĘ W RAMACH
„BIBLIOTEKI KULTURY” — 11 TOM „DOKUMENTÓW” pt.:

6 LAT TEMU...

(KULISY POLSKIEGO PAŹDZIERNIKA)

Cena egzemplarza 10 NF (15/; dol. 2,25)

WPLĄTY NA FUNDUSZ KULTURY

Teresa Anna Serafin-Poniatowska, Phoenix, Arizona (USA)
po raz szósty 34,30 NF
Edward Pomorski, Montreal, Que. (Kanada) 11,50 ..
J. P. Pietrasz, Salem, Mass (USA) po raz czwarty 24,50 ..

DZIĘKUJEMY

WPLĄTY NA FUNDUSZ WYDAWNICZY STAWAR PO ROSYJSKU

Teresa Anna Serafin-Poniatowska, Phoenix, Arizona (USA) 9,80 ..
DZIĘKUJEMY

WPLĄTY NA NAGROBEK DLA ANDRZEJA BOBKOWSKIEGO

Teresa Anna Serafin-Poniatowska, Phoenix, Arizona (USA) 9,80 ..

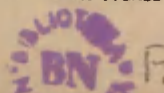
Imprimé en France

Szkoła dyktatorów

Ignazio Silone wydał nową książkę pt. *Szkoła dyktatorów* (1). Nie jest to powieść. Tym razem autor *Fontamary, Chleba i wina, Nasienia pod śniegiem, Garści jeżyn, Sekretu Łukasza*, wystąpił jako pisarz polityczny. Nie zdziwi to ani jego czytelników, ani tym bardziej osób znających jego biografię i działalność. Zanim Silone stał się powieściopisarzem, był politykiem: należał do najbliższych współpracowników Gramsciego i założycieli włoskiej partii komunistycznej. Jego stopniowy rozruch z komunizmem zaczął się w roku 1927, gdy na posiedzeniu Kominternu w Moskwie Stalin zażądał od wszystkich delegatów potępienia memoriału Trockiego w sprawie Chin, mimo że nikt z uczestników nie znał jego tekstu. Delegacja włoska, złożona z Togliattiego i Silonego, odmówiła. (Epizod opowiedziany w *The God That Failed*). Togliatti odkupił potem z grubą nawiązką ten chwilowy akt nie-subordynacji, ale Silone nie cofnął się już z raz obranej drogi. W roku 1930 wystąpił z partii. Poszukiwany i ścigany przez policję faszystowską we Włoszech, osiedlił się w Szwajcarii, gdzie w ciągu pierwszych dziesięciu lat swego wygnania poświęcił się niemal wyłącznie pracy literackiej: jest to okres największego rozkwitu jego twórczości, okres *Fontamary* oraz *Chleba i wina*. W roku 1940 wrócił do polityki, jako kierownik Centrum Zagranicznego włoskiej partii socjalistycznej. W roku 1944 skończyło się wygnanie: w uwolnionych Włoszech Silone postował do pierwszego Zgromadzenia Konstytucyjnego. Różne okoliczności (prócz głębszych motywów, o czym niżej) sprawiły, że w następnych latach odsunął się znowu od czynnego życia politycznego.

Ale ukryta pasja tli się w nim nadal, a czasem odzywa się nawet wprost, mimo że przyciszonym głosem. W sierpniowym numerze redagowanego przez siebie miesięcznika *Tempo Presente*

(1) Ignazio Silone. *La scuola dei dittatori*. Mediolan, Mondadori, 1962; str. 296.



P.9786 Chr. Arch.

Silone, omawiając niedawny „międzynarodowy zlot pokojowy” w Moskwie, nie tai swego przejścia na wiadomość że grupa młodych uczestników tego zlotu kolportowała na ulicach stolicy Związku Sowieckiego ulotkę w języku rosyjskim z takimi zdaniami: „Rewolucja Październikowa nie usunęła fundamentalnej sprzeczności społeczeństwa podzielonego na klasy, między elementami dominującymi i elementami zdominowanymi w procesie produkcji”; „Związek Sowiecki posiada w zasadzie te same stosunki produkcji co Wielka Brytania i Stany Zjednoczone”; „robotnicy powinni wyciągnąć do siebie dłonie ponad głowami swych rządów”: I dodaje: „Myśli wyrażone w tym małym manifestie rozdawanym na ulicach Moskwy powstały z ducha najbardziej autentycznego internacjonalizmu proletariackiego. Zbliża się właśnie setna rocznica założenia Pierwszej Międzynarodówki, i na pewno nie zabraknie dla jej upamiętnienia wieców i pochodów; ale w moich oczach nic nie prześcignie znaczeniem i wagą tej skromnej ulotki, wciskanej przed miesiącem do rąk przechodniom moskiewskim”.

Kto wie czy w tych słowach nie tkwi najlepsze wprowadzenie do postaci Silonego i jego nowej książki. Na dobrą sprawę zresztą *Szkola dyktatorów* nie jest książką całkowicie nową. W formie załączkowej Silone napisał ją na emigracji wiele lat temu, w przededniu drugiej wojny światowej, i ogłosił tylko po angielsku. Obecne wydanie włoskie jest jednak znacznie, bodaj że w dwójnasób, rozszerzone i ukazuje się po raz pierwszy w języku oryginalnym. Sam pomysł użycia żartobliwych i ironicznych dialogów dla przedyskutowania rzeczy bynajmniej nie lżejszego kalibru nawiązuje do starej i szacownej tradycji pisarskiej, a w literaturze współczesnej — do chwytu po który sięgali niekiedy chętnie Tomasz Mann i Aldous Huxley. U Silonego wygląda to tak. Dwaj Amerykanie, Mister Double W i Profesor Pickup, odbywają w 38 roku podróż po Europie „w poszukiwaniu jajka Kolumba”: zamierzają podpatrzyć „na żywo” i przestudiować faszyzm, który chcieliby wprowadzić we własnym kraju. Mister Double W jest aspirantem na przyszłego Wodza i Dyktatora (jeśli przewrót się uda), Profesor Pickup jego „doradcą ideologicznym” i twórcą tak zwanej „pantautologii”. Pod koniec podróży, niezbyt dotąd owocnej, poznają w Zurichu ubogiego kieszeniaka lecz zasobnego w doświadczenie emigranta włoskiego, który w obawie przed długim ramieniem policji faszystowskiej żyje tu *incognito*, nazywany przez przyjaciół i znajomych Tomaszem Cynikiem. Godzi się on za pewną opłatą odsłonić w szeregu lekcji przed obu pątnikami amerykańskimi arkana dyktatury udoskonalone w Europie. Zaczynają się dialogi, których jest trzynaście. Mister Double W i Profesor Pickup opuszczają stary kontynent oświeceni, choć nieco ostudzeni w swych zapachach.

Trzeba dodawać że Tomasz Cynik jest *alter ego* autora? W rozdziale wstępnym dowiadujemy się o nim, że „ma wstręt do wszelkich eufemizmów i zwyczaj nazywania rzeczy po imieniu”; oraz że przydomek Cynika woli od banalnej etykiety „antyfa-

szysty”, gdyż czuje się spadkobiercą założonej przez Antystenesa po śmierci Sokratesa sekty cyników, którzy „formalnym kultowi bogów przeciwstawiali codzienne praktykowanie cnoty” i „wśród ludzi nie znali obcych”. Ważna jest również informacja, że pracuje właśnie nad „podręcznikiem sztuki oszukiwania bliźnich”. Czy aby nie za wulgarny i bynajmniej nie sokratyczny jest ten jego cynizm? Nie, bo „z podręcznika więcej się nauczą oszukiwani niż oszukujący”. Podobnie z dialogami *Szkoły dyktatorów*. Dokładne prześwietlenie trzech form dyktatury — faszyzmu włoskiego, hitleryzmu i stalinizmu — ma wyostrzyć broń w rękach tych, którzy wbrew wszystkiemu pragną dochować wiary „duchowi autentycznego internacjonalizmu”, a w życiu codziennym „zdawkowy kult bogów zastępują czynnym praktykowaniem cnoty i wśród ludzi nie znają obcych”. Jeden z recenzentów angielskich przyrównał *Szkołę dyktatorów* do *Księcia*. Współczesny włoski kontynuator wielkiego *segretario fiorentino* ofiarowuje jednak summę obserwacji i rozmyślań całego życia nie rządzącym, lecz rządzonym; wierny w tym mistrzowi swej młodości, którego w pierwszym dialogu nazywa „Machiavellim proletariatu”.

Mimo swego tonu, celowo i często balansującego na pograniczu kpiny, książka Silonego budzi pesymizm, wydaje się diagnozą choroby prawie nieuleczalnej w stylu Ortegi y Gasset. Dwa są główne źródła choroby: cywilizacja masowa, która z samej swej istoty sprzyja tendencjom totalitarnym wszelkiej maści, uniemożliwiający człowiekowi zachowanie samodzielnego sądu o wydarzeniach; i rozpasany nominalizm polityczny, który nazwami zniekształca, przeinacza lub zafałszowuje rzeczywistość do granic absolutnej antynomii między słowem a faktem. Byłoby lekkomyślnością twierdzić że te obawy, odczuwane u progu drugiej wojny światowej, straciły dziś zupełnie aktualność, cokolwiek by o tym powiedzieli pisarze pocieszający nas obietnicą odkopania zamulonego *anthropos* za pomocą *mass media*.

Silone nie oszczędza nikogo i niczego. Nawet bliski jego sercu socjalizm ujawnia w zdjęciu rentgenowskim płyty zakażone: pęd do centralizmu, ograniczanie samorządów lokalnych bez których wolność i demokracja są pustymi dźwiękami ze słownika współczesnych nominalistów politycznych, wykruszanie się poczucia niezależności i inicjatywy w trybach Państwa Opiekunczego: „W naszych czasach śmierć demokracji jest najczęściej zamaskowanym samobójstwem. Ustrój wolności powinien czerpać swoją limfę życiodajną z samorządu instytucji lokalnych. Gdzie natomiast demokracja, popychana przez niektóre ze swoich najgorszych tendencji, tłumi takie formy autonomii, w praktyce pożera samą siebie. Jeśli w fabryce króluje samowola pracodawcy, w związku zawodowym biurokracja, w gminie i województwie przedstawiciel władz centralnych, w prowincjonalnych organizacjach ruchów politycznych mąż zaufania przywódcy partyjnego, trudno mówić o demokracji. Niestety partie demokratyczne i socjalistyczne były zawsze, przynajmniej w Europie, najczynniej-

sze w popieraniu centralizacji z uszczerbkiem dla autonomii lokalnych i regionalnych, wierne w tym tradycji jakobinów, którzy w hegemonii stolicy nad resztą kraju widzieli narzędzie walki przeciw wpływom kleru i ziemiaństwa. Innej przyczyny centralizmu partii demokratycznych i socjalistycznych można się doszukać w fakcie, że ich zwolennicy — chłopci, robotnicy, drobnomieszczanie — należą do najuboższych słożów ludności: stąd pomoc władz centralnych wydaje się konieczna, i rodzi się Państwo Opiekuncze. Ciągłe subwencje i ustawy ochronne państwa rozszerzają z jednej strony klientelę partii demokratycznych i socjalistycznych, ale z drugiej dławią autonomię lokalne. Obserwuje się przeto w niektórych krajach tę oto pozorną sprzeczność: maksimum siły materialnej i liczbowej partii demokratycznych i socjalistycznych poprzedza o krok zawalenie się demokracji”.

W jednym z wcześniejszych dialogów: „Wielkie mity które podsycaly wiarę przodków zdają się wyczerpane, przynajmniej w tym co dotyczy ich refleksów w życiu publicznym. Owszem, dochowały się jeszcze świątynie, liturgie, emblematy, hymny: ale gdzie jest entuzjazm? Kto łudzi się jeszcze że wiara w tego samego Boga może polepszyć stosunki między narodami, że etyka chrześcijańska może znaleźć zastosowanie w życiu społecznym? Internacjonalizm ruchu robotniczego, choć młodszy, nie wyszedł z kryzysu bardziej obronną ręką. Na swoim skrzydle umiarkowanym wyrodził się w różne formy socjalpatriotyzmu, wśród ekstremistów przybrał postać niewolniczego podporządkowania się imperializmowi sowieckiemu. Socjalizm został prawie wszędzie upaństwowiony, jak koleje i poczta. Na koniec, zdaje się że nawet w toastach podczas uroczystych bankietów wyszło już ze zwyczaju wznosić kielichy na cześć stopniowego i nieuchronnego Postępu Ludzkości i humanistycznej roli nauk. Po prostu nikt w to więcej nie wierzy. Kto umie myśleć, jest dziś przekonany że istnieje także alternatywa dekadencji i zniszczenia. Taka jest obecnie sytuacja duchowa elit we wszystkich mniej więcej krajach zaawansowanych. Rezultat? Nie posiadają one nic istotnego do przeciwstawienia napierającej cywilizacji masowej, nawet na użytek ograniczonej części publiczności dostępnej dla wyższych form kultury”.

O partiach politycznych: „Socjolog włosko-niemiecki Roberto Michels dowiódł, że życie wewnętrzne każdej masowej partii politycznej ciąży ku oligarchii. Suwerenność członków powinaby się wyrażać na kongresach, ale na ogół są one manipulowane przez małą grupkę kierowniczą. Na posiedzeniach plenarnych wolno delegatom z prowincji okłaskiwać i wygwizdywać wielkich krasomówców partyjnych, gdy tymczasem decyzje i uchwały pitrasi się w komisjach. Wybór nowego kierownictwa rezerwuje się na ostatnie posiedzenie, które odbywa się zazwyczaj późnym wieczorem, kiedy część delegatów pędzi już na dworzec żeby nie stracić ostatniego nocnego pociągu. Przewodniczący czyta głosem ochrypłym i niezrozumiałym listę nazwisk przygotowaną przez komisję-matkę, i wśród ogólnego zamieszania i nie-

uwagi, przez podniesienie rąk, kongres odnawia rządzącej oligarchii mandat swej suwerennej władzy. Jeśli zdarzają się odstępstwa od tej reguły, chodzi o całą pewnością o małe partie poza nawiasem walki o władzę lub działające w krajach jeszcze zacofanych”.

Zalety demokracji? „Te których cywilizacja masowa, centralizm i biurokracyzacja nie zdołały jeszcze ze wszystkim wyplenić: wielopartyjność, wolność prasy, wolność nauczania, wolność wyznaniowa, niezależne organizacje robotnicze”. Nadzieje na przyszłość? „Można sobie zadać pytanie czy dzisiejsza cywilizacja masowa nie zatraci w końcu swych cech negatywnych, i czy na dalszą metę nadmiar „statolatirii” nie doprowadzi przez reakcję do narodzin humanizmu wolnościowego. Są to jednak rozważania abstrakcyjne”. Jakież więc wyjście? Profesor Pickup zwraca się w pożejalnym dialogu do Tomasza Cynika z dość rozumnym na oko pytaniem: „Jeżeli, jak pan twierdzi, główna tendencja naszej epoki sprzyja dzięki cywilizacji masowej wszelkiego rodzaju kierunkom totalitarnym, dlaczego zwalcza je pan wszędzie?” Odpowiedź brzmi: „Nie wierzę by uczciwy człowiek musiał się koniecznie podporządkować Historii”. „Wielkie nieba — wykrzykuje ze zgrozą twórca pantautologii, — czy slyszal kto kiedykolwiek większe bluźnierstwo?” „Pana wizyty — wtrąca się na szczęście Mister Double W — urozmaiciły mi pobyt w tym nudnym mieście. Dziękuję panu. Jeśli fortuna okaże łaskawość moim projektom, mogę liczyć na pana odwiedziny w Ameryce?”. Tomasz Cynik: „Czemu nie? Ale będzie to niebezpieczne dla nas obu. Zwiążę się oczywiście z pana przeciwnikami by pana zwalczać, a pan, stosując się do moich rad, będzie musiał wydać rozkaz osadzenia mnie w więzieniu”. Tym akcentem permanentnego politycznego *l'homme révolté* kończy się *Szkola dyktatorów*.

Jasne jest że mamy tu do czynienia z połączeniem swoistego socjalizmu purytańskiego, resztek tradycyjnego anarchizmu abruzzyskiego i postawy głęboko, instynktownie religijnej. Praźródło tej osobliwej (dla mnie osobiście pięknej, niezmiernie mi bliskiej) mieszanki można odgrzebać w spowiedzi Silonego z *The God That Failed*: „Warunki życia ludzkiego były zawsze w Abruzach bardzo ciężkie; cierpienie przyjmowano tam jako jedno z głównych praw natury, czcząc i witając w nim radośnie symbol Krzyża. Franciszkanizm i anarchia były jedynymi formami buntu. Popiół sceptycyzmu nie zasypał nigdy w sercach tych, którzy cierpieli najwięcej, odwiecznej nadziei Królestwa Bożego na ziemi i oczekiwania że miłosierdzie zajmie w końcu miejsce prawa”.

Jednocześnie zaś, tłącej się wciąż pasji politycznej towarzyszy rosnący wciąż wstręt do polityki. Początek piątego dialogu: „W księdze *Sędziów* jest rozdział o zamachu stanu Abimelecha. Ów Abimelech, nieślubny syn Gedeona, zdobył władzę z pomocą uzbrojonych i opłacanych przez siebie band nędzarzy i włóczykijów. Na ich czele wymordował po kolei — „na tym samym

kamieniu", powiada księga — siedemdziesięciu ślubnych synów Gedeona. Litanię zbrodni zamyka naprawdę bezlitosna przypowieść o powołaniu przywódcy politycznego". Następuje tzw. „bajka Joatama", którą przytaczam już wprost z Biblii: „Gdy to powiedziano Joatamowi, poszedł i stanął na wierzchu góry Garizim, i podniósłszy głos zawołał i rzekł: „Posłuchajcie mnie, mężowie Sychem, tak niech was Bóg słuca! Poszły drzewa, aby pomazać nad sobą króla, i rzekły oliwce: „Rozkazuj nam!". Odpowiedziała: „Czyż mogę opuścić tłustość moją, której używają i bogowie i ludzie, a iść, żebym między drzewami wyniesiona była?". I rzekły drzewa do figowego drzewa: „Pójdź, a przyjmij królestwo nad nami!". A ono im odpowiedziało: „Czyż mogę opuścić słodkość moją i owoce przewdzięczne, a iść, abym między innymi drzewami było wyniesione?". I rzekły drzewa do szczepu winnego: „Pójdź, a rozkazuj nam!". A on im odpowiedział: „Azali mogę opuścić wino moje, które uwesela Boga i ludzi, i między innymi drzewami być wyniesiony?". I rzekły wszystkie drzewa do krzaku ciernistego: „Pójdź, a króluj nad nami!". On im odpowiedział: „Jeśli mnie prawdziwie królem nad sobą stanowicie, przyjdźcież a odpoczywajcie w cieniu moim; a jeśli nie chcecie, niechaj wynijdzie ogień z krzaku ciernistego i niech pożre cedry libańskie!".

„Ta przypowieść — komentuje Silone — należy bez wątpienia do najbardziej wywrotowych w całej Biblii. Krzak ciernisty godzi się panować nad drzewami, bo nie ma nic lepszego do roboty". Niemal dokładnie to samo, w innych słowach, powiedział Samuel Johnson pisząc o George'u Lytteltonie: „*Politics did not, however, so much engage him as to withhold his thoughts from things of more importance.*

Gorzka to pociecha móc, jak Silone, położyć na karcie tytułowej traktatu politycznego inskrypcję łacińską: *Quam parva sapientia regit mundum.*

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

Dialog pierwszy

Tomasz Cynik: Panowie, szukałem was w całym hotelu, znajduję was oczywiście w barze. Proszę nie wstawać, nie ma potrzeby prezentacji. Łatwo odgadnąć na pierwszy rzut oka, kto z was jest znakomitym profesorem Pickup, a kto panem Double W.

Dialog pierwszy nosi podtytuł „O tradycyjnej sztuce politycznej i jej niedostatkach w epoce cywilizacji masowej”.

Mr. Double W: Dziękuję za komplement. Niech pan siada. Ten kapelusz? Może pan z powodzeniem usiąść na nim, należy do naszego profesora. Co dla pana zamówić?

Tomasz Cynik: Szklanekę wina.

Prof. Pickup: Proszę sobie zamówić coś do zjedzenia. Wszyscy klepaliśmy kiedyś biedę.

Mr. Double W: Drogi panie, słyszę że także w tym kraju demokratycznym ma pan kłopoty z policją. Pana życie nie jest usłane różami.

Tomasz Cynik: Świadoma zgoda na ciernie odróżniała zawsze życie człowieka od życia zwierząt domowych: kur, owiec, dziennikarzy urzędowych, papug i tym podobnych.

Prof. Pickup: Jest pan zatem emigrantem politycznym. Krótko mówiąc, człowiekiem pokonanym. Przegrawszy we własnym kraju, jak pan śmie wyklądać *ex cathedra* sztukę polityczną?

Tomasz Cynik: Jeśli o mnie chodzi, jest pan źle poinformowany. Nie walczyłem nigdy by zdobyć władzę, lecz by zrozumieć. Co zaś do rzekomej sprzeczności między sytuacją emigranta a wiedzą polityczną, pozwolę sobie przypomnieć szanownemu profesorowi że ta ostatnia jest w dużej mierze tworem emigrantów.

Prof. Pickup: Ejże, nie upraszcza pan zbyt historii?

Tomasz Cynik: Bynajmniej. Machiavelli (bo jakże nie zacząć od niego?) został wygnany z Florencji w roku 1512 po powrocie Medyceuszów; w rok potem oskarżono go o udział w spisku Pietro Paolo Boscoli i osadzono na trzy miesiące w więzieniu; wyszedłszy na wolność, znalazł schronienie w San Casciano i dopiero wtedy, z dala od czynnej polityki, po rozczarowaniach i porażkach, zaczął pisać *Księcia*. W kilkadziesiąt lat później Jean Bodin, który w dziejach myśli politycznej zapisał się ostatecznym sprecyzowaniem koncepcji „suwerenności”, nie mógł się jako polityk poszczycić większym szczęściem: był na służbie księcia Alençon, zaplątał się w sektę *politiques* przeciwną wojnom religijnym, ściągnął na siebie gniew Henryka III, aż wreszcie pokonany i upokorzony napisał w samotności swoją *République*. Zapewne, w dwa stulecia po nim Montesquieu miał łatwiejsze życie: był członkiem *Académie Française*, przewodniczącym parlamentu Bordeaux. Ale napisał *L'Esprit des lois* w ciszy La Brède, gdzie schronił się po powrocie z Anglii która nauczyła go czym jest wolność polityczna. Jeśli chodzi o nowsze czasy, pozwolicie panowie że przypomnę takich emigrantów jak Marx, Mazzini, Lenin, Trockij, Masaryk? Przede wszystkim pierwszego, mimo jego niegodnych epigonów. Marx spełnił w naszej epoce, innymi środkami i z innymi

celami na oku, to samo zadanie co Machiavelli w roku 1500: usiłował pokazać prawdziwy mekchanizm społeczeństwa kapitalistycznego swoich czasów, obdzierając go z zastón niemieckiej filozofii idealistycznej i francuskiego humanitaryzmu. Stąd, nie bez racji, nazwano go Machiavellim proletariatu.

Mr. Double W: Teraz już wiem jak zrobić z profesora Pickup wielkiego myśliciela politycznego. Jeśli zdobęde władzę, moim pierwszym aktem rządowym będzie wysłanie go na emigrację.

Prof. Pickup: Niech mu pan wybaczy. Zmęczenie podróżą i kuchnia europejska wystawiły na ciężką próbę jego nerwy.

Mr. Double W: Moje nerwy ucierpiały nie tyle od podróży, ile pod wpływem kretyńskiego pomysłu, że istnieje wiedza czy sztuka dyktatury do odkrycia w krajach gdzie miała już możność wydać owoce, z myślą o przeszczepieniu jej gdzie indziej.

Tomasz Cynik: Moim zdaniem, w tym co pan mówi jest sporo słuszności.

Prof. Pickup: Tak rozumując, odrzucacie obaj historię.

Tomasz Cynik: Przyzna pan, że istnieją różne sposoby jej rozumienia.

Prof. Pickup: Czemuż więc powołał się pan przed chwilą na przykład Machiavellego?

Tomasz Cynik: Nie sądzę by lektura Machiavellego umościła drogę do władzy jednemu choćby księciu. Zwykło się, w związku z różnicą między teorią a praktyką, opowiadać zabawny epizod jaki przytrafił się samemu Machiavellemu. Był on raz w Mediolanie gościem słynnego kondotiera, zwanego Giovanni delle Bande Nere. Któregoś dnia gospodarz poprosił go o zademonstrowanie nowych szyków wojskowych zalecanych w jego ostatnim traktacie, i w tym celu oddał mu do dyspozycji cały korpus piechoty. W ciągu dwóch godzin Machiavelli usiłował uszykować trzy tysiące piechurów według schematu tak wybornie i jasno przez siebie opisanego, ale wciąż mu się nie udawało. Kiedy oczekiwanie zaczęło widzom zanadto doskwierać — słońce prażyło bezlitośnie i zbliżała się pora obiadu, — Giovanni delle Bande Nere ozwał się w te słowa: „Wydobęde wszystkich z opresji i pójdziemy jeść”. Po czym, odsunawszy grzecznie na bok Machiavellego, w mgnieniu oka, z pomocą werbli, uszykował piechurów na wszelakie modły ku podziwowi obecnych.

Prof. Pickup: Se non è vero, è ben trovato. Pozwoli mi pan jednak zauważyć że ta mania antyintelektualna radykalnych inte-

lektualistów europejskich nie jest najmniej ważną przyczyną wazszej bezpłodności politycznej. To co robicie nie jest niczym innym jak ustawicznym podpiłowywaniem każdej gałęzi, na którą udaje wam się wgramolić.

Mr. Double W: Nie jestem ani intelektualistą, ani radykałem, ani Europejczykiem, i według mnie rewolucja amerykańska była rzeczą wielką i piękną właśnie dlatego, że w przeciwieństwie do rewolucji francuskiej ani nie była przygotowana przez jurystów, ekonomistów, filozofów i innych rozgadanych nudziarzy, ani nie chciała wskrzesić republiki rzymskiej czy ateńskiej, lecz była po prostu rewolucją przeciętnych ludzi osiadłych w Ameryce.

Prof. Pickup: W roku 1776 wysłano do Francji, w charakterze dyplomaty i intelektualisty, Beniamina Franklina. Chcesz powiedzieć, że nie nauczył się niczego pożytecznego?

Mr. Double W: Nie wiem. To pytanie nie spędza mi snu z powiek.

Prof. Pickup: Mogłoby jednak spędzać sen z powiek uczonemu i jego odpowiedź dotyczyłaby także ciebie, empiryka. Głównym i istotnym powodem dekadencji dzisiejszego życia politycznego jest rozmnożenie się zarozumiałych i zadufanych w sobie dyletantów. Każdy komu potknie się noga w innym zawodzie, jest święcie przekonany że może bez trudu zabłysnąć w polityce. W każdej rozmowie te same osoby, które nie odważyłyby się pisać słówka na temat algebry czy chemii bez uprzednich długoletnich studiów, perorują ile tchu w piersiach na temat polityki mimo że nigdy nie starały się jej zgłębić. Nie tak bywało dawniej: wtajemniczenie w sztukę polityczną trwało długo, było surowe i dokonywało ścisłej selekcji między aspirantami. Już Tacyt w swoich *Annałach używał*, mówiąc o polityce Tyberiusza, zwrotu *arcana imperii* na oznaczenie sekretów władzy. Czy może nie to było źródłem trwałości niektórych monarchii? Polityka posiada swoje sekrety i tajemnice, jak każda inna sztuka; tajemnice czytelne tylko dla znawców przedmiotu. W czasach gdy ludzie mieli jeszcze czas na rozmyślanie i nie byli ogłupieni lekturą gazet codziennych, między XV a XVIII stuleciem, istniała w Europie cała literatura, zajęta wnikaniem w *arcana reipublicae*, tajniki spraw publicznych, i zastrzeżona wyłącznie dla przyszłych księżących współpracowników w sztuce rządzenia. Także wtedy, bez wątplenia, zdarzały się aspekty instytucji politycznych, które nie miały w sobie nic tajemniczego i które sam motłoch mógł z zewnątrz kontemplować i podziwiać, ale *arcana* objaśniają że chodziło w podobnych wypadkach o *simulacra*, czyli o konstrukcje

fikcyjne za którymi prawdziwa polityka celebrowała swoje msze ekskluzywne.

Mr. Double W: Inne czasy, inne pieśni.

Tomasz Cynik: Jeśli zamierza pan powiedzieć że w każdej epoce polityka posiada swoje tajniki, przyznaję panu bez wahania rację. Literatura przypomniana przez naszego czcigodnego profesora, która traktowała sztukę polityki jak wiedzę tajemną, rozkwitła w okresie absolutyzmu, gdy za sprawą częstych konfliktów między władzą świecką i religijną, jako też za sprawą chylenia się teologii ku upadkowi, nie było już rzeczą ani użyteczną ani wygodną upierać się przy wywodzeniu suwerenności z rąk Boga. Nie mogąc skądinąd zastąpić inwestytury boskiej inwestyturą ludową, by nie roztrzaskać się o Scyllę po manewrze ominięcia Charybdy, sama władza zmuszona była otoczyć się tajemnicą. Gustav Freytag, pisarz niemiecki z końca ubiegłego stulecia, zostawił nam w spadku osobliwą satyrę na to co przed chwilą było przedmiotem wykładu profesora Pickup. Przytacza on w pełnym brzmieniu jeden z modnych podówczas podręczników zawierających sekrety sztuki rządzenia, *Ratio Status* z roku 1666, i dołącza doń od siebie jego ucielną parodię. Młodzieniec, uważany za zdolnego do piastowania funkcji doradcy książęcego, zostaje wprowadzony do tajemnych komnat gdzie strzeżone są zazdrośnie *Arcana Status*, nieodzowne do sprawowania jego nowego i tak wysokiego urzędu: uniformy państwowe, maski państwowe, okulary państwowe, proch w oczy etc. etc. Nie brak specjalnych płaszczy państwowych, które wdziwającym je nadają należną powagę i dostojność i noszą nazwy *salus populi, bonum publicum, conservatio religionis*, zależnie od tego czy służą do wyduszenia z poddanych nowych podatków, czy do skazania na banicję i wywłaszczenia opozycjonistów pod pretekstem (zawsze skutecznym) że szerzą doktryny heretyckie. Jeden płaszcz, całkowicie wytarty i spłowiały od codziennego użytku, nazywa się *intentio* — dobra intencja — i służy do usprawiedliwienia wszystkiego. Dzięki okularom państwowym wkracza się w świat pełnego iluzjonizmu: pozwalają widzieć to czego nie ma i nie widzieć tego co jest, wyolbrzymiają fakty bez znaczenia i pomniejszają wydarzenia wielkiej wagi. Ale te same rezultaty osiąga się dziś z pomocą prostszych inscenizacji. Plebejski mit suwerenności ludowej zwięził skalę środków.

Prof. Pickup: Parodia jest najbardziej niesmacznym gatunkiem literackim. Z drugiej strony nic mi o tym nie wiadomo by król lub królowa w Anglii, nasz prezydent czy przewodniczący Rady Najwyższej w ZSSR, mieli zwyczaj zjawiać się podczas wielkich ceremonii państwowych w kostiumach kąpielowych.

Tomasz Cynik: Byłoby rzeczą dziecinną mieszać prawdę z nudyzmem.

Mr. Double W: Czym jest prawda? Zgadza się z panem, tłum na plaży nie jest bardziej prawdziwym od tłumy na balu maskowym. Ale jest niewątpliwie odmienny.

Tomasz Cynik: O to czym jest prawda dopytywał na próżno samego siebie także Poncjusz Piłat, chociaż ją miał przed oczami. Ale był gubernatorem rzymskim, a prawda nie jest funkcją państwową. Nie chodzi tylko o pióropusze i uniformy. Dzisiejsza cywilizacja masowa odbiera posmak absurdu hipotezie, że w jakimś bogatym i rozwiniętym kraju neutralnym władza zostanie pewnego dnia zdobyta przez, na przykład, koalicję stowarzyszeń sportowych. W tym wypadku będziemy mieli u steru państwa atletę w *shortach* lub królową piękności w *bikini*. Ale i wtedy sprawy publiczne nie staną się przez to bardziej przejrzyste. Organizacja sportu jest już równie oligarchiczna, jak organizacja pierwszej lepszej partii politycznej: wyścigi konne, mecze bokserskie, i wybory rozmaitych *Miss* posiadają również swoje sekrety. Ale z punktu widzenia ściśle praktycznego chciałbym podkreślić, że są to sekrety odmienne od tych, jakie omawia się na posiedzeniu *Conclave* kościoła katolickiego lub *Politbiura* sowieckiej partii komunistycznej.

Prof. Pickup: Nie tak bardzo znowu odmienne. Moim zdaniem, zmieniają się czasy a nie ludzie. Trafnie napisał Machiavelli o niezmienności natury ludzkiej w zmiennym strumieniu wieków: „Świat był zawsze w pewien sposób zamieszkały przez ludzi, którzy mieli zawsze te same namiętności”. Nie bez kozery Mussolini opowiada że kiedy był chłopcem, ojciec czytywał mu co sobotę wieczorem *Księcia*.

Tomasz Cynik: To co wiemy o ojcu Mussoliniego zdawałoby się wykluczać, że w sobotę wieczorem był on w ogóle w stanie czytać cokolwiek. Tylko z potrzeby pompy, z tych samych pobudek które każą mu się stroić w średniowieczne piórka lub wypinać pierś na wierzchołku, Mussolini mógł puścić w obieg podobną legendę. Na szczęście, na jego szczęście, czytał przez całe życie i czyta dalej tylko gazety. Będąc jednak utalentowanym dziennikarzem, nie jest pozbawiony łatwości aroganckiego mówienia i pisania o rzeczach na których się nie zna. Dla zrozumienia dezynwoltury, z jaką zachowywał się zawsze we wszystkim co dotyczy inteligencji, wystarczy szczegół przytoczony w jego biografii oficjalnej pióra pani Sarfatti. Przeczytawszy *Tako rzecze Zaratustra* Nietzschego, pierwsze dzieło filozoficzne które mu wpadło do rąk (przed wojną) czytali we Włoszech tę książkę

chętnie robotnicy-anarchiści i ukazało się sporo jej wydań popularnych), Mussolini postanowił napisać ni mniej ni więcej tylko historię filozofii światowej. Uważał się już za dostatecznie przygotowanego do takiego przedsięwzięcia.

Prof. Pickup: Jest to szczegół którego nie znałem i lojalnie oświadczam, że nie potrafię o nim wydać sądu. Pamięta pan jednak, mam nadzieję, wyznanie Hitlera w *Mein Kampf*. „Historia powszechna — powiada on — była dla mnie zawsze niewyczerpanym źródłem sugestii w bieżącym działaniu politycznym”.

Tomasz Cynik: Wie pan jaką historię powszechną miał na myśli? Według biografów, ulubioną lekturą dorastającego Adolfa były dwa oprowione tomy czasopisma ilustrowanego poświęcone wojnie francusko-pruskiej z 1870-71. Także później, jak dowodzi *Mein Kampf*, całą swoją wiedzę o wielkich dowódcach wojskowych i ich bitwach czerpał z kolorowych ilustracji.

Prof. Pickup: A mimo to Mussolini i Hitler zdobyli władzę w dwóch krajach, zaliczanych do forpocząty cywilizowanego świata. Jeśli to co pan twierdzi odpowiada prawdzie, ich zwycięstwo pozostaje dla mnie niepojęte.

Tomasz Cynik: Znaczy to jedynie że wytłumaczenia ich sukcesu nie należy szukać, jak pan to robi, w tym że posiadli jakąś wyższą wiedzę o prawach rządzących historią i polityką. Wśród ich przeciwników politycznych było nie mało takich, którzy wiedzieli o wiele więcej.

Prof. Pickup: A przecież, jeśli się nie mylę, zwycięski pochód faszyzmu i hitleryzmu zaskoczył całkowicie lwią część publicystów demokratycznych i liberalnych.

Tomasz Cynik: Tak jest. A wie pan dlaczego? Ich znajomość polityki i zagadnień społecznych zatrzymała się na roku 1914. Stąd, w ich umysłach największe zagrożenie swobód publicznych reprezentowały nadal tradycyjne siły konserwatywne. Powtarzam, nie żeby Mussolini i Hitler stali intelektualnie wyżej; ale byli ludźmi walki, ludźmi nowymi, ludźmi instynktu, i w nowej rzeczywistości społecznej tkwili po szyje.

Prof. Pickup: Poznaliśmy w Rzymie pisarza faszystowskiego, którego pseudonim jest podróbką nazwiska rodzinnego Napoleona. Utrzymywał on, dyskutując z nami, że podbój i obrona państwa nie są kwestią polityczną lecz techniczną, i że okoliczności sprzyjające zamachowi stanu nie koniecznie wynikają z podłoża politycznego lub społecznego i nie zależą od ogólnej sytuacji w danym kraju. Centralizacja techniczna współczesnego życia pozwala, jego zdaniem, ograniczyć do maksimum powierzchnię prze-

wrotu zbrojnego. Rozwinął tę swoją myśl w książce, którą nam podarował i która zatytułowana jest właśnie *Technika zamachu stanu*. Podobno została ona zakazana przez władze włoskie, aby przeciwnikom reżymu uniemożliwić wyciągnięcie z niej korzyści.

Tomasz Cynik: Trockij, który w tej książeczynie podawany jest za wzór i wywyższony nad Lenina, zerznął ją w mistrzowskiej recenzji; ale tekst nie zasługiwał na taki zaszczyt. Skłonność do uważania polityki za zwykłą technikę jest przeżytkiem intelektualnym Renesansu. Wypada ją spokrewnić z podobną tendencją artystów owych czasów do studiowania problemów raczej technicznych niż estetycznych. Dziś jest dla nas jasne, że jeśli malarstwo mistrzów Renesansu dostarcza nam wciąż nowych wzruszeń, dzieje się tak pomimo ich techniki; co zaś do ówczesnych dziejów gminy florenckiej, konia z rżędem temu kto je potrafi wyjaśnić grą czysto mechaniczną. Równie przeżyta jest koncepcja romantyczna, którą dla rewolucyjnego zamachu stanu wypracował w zeszłym stuleciu Blanqui. Muszę dodać że odkąd życie polityczne przeszło niemal wszędzie ewolucję od małych partii światopoglądowych do wielkich partii masowych, gra bynajmniej się nie uprościła. Żaden polityk nie może sobie już pozwolić na ignorowanie zagadnień gospodarczych i społecznych. Tylko w abstrakcji centralizacja techniczna współczesnego życia pozwala na wyobrażenie sobie udanego przewrotu politycznego przez niespodziane obsadzenie dwóch czy trzech gmachów w stolicy. Nawet najbardziej otumaniona masa nie daje się holować jak statek. Więcej — w reżymie opartym na wielopartyjności i zróżnicowaniu prasy właśnie cywilizacja masowa stawia przed zamachem stanu zadania bardziej uciążliwe i skomplikowane. Zanim wkracza w wymiar techniczny, operacja pozostaje w swojej istocie polityczna. Ale najlepszy dowód lekkomyślności założenia pana Malaparte znajdziecie w jego własnej książce. Ponieważ w trakcie jej pisanja ciężka walka, którą od lat pochłonięty był ruch hitlerowski, podważała główną tezę autora, sam przez się nasunął mu się wniosek że Hitler nigdy nie dojdzie do władzy.

Mr. Double W: Jeśli stara sztuka polityczna świeci próchnem, a nowa nie dotarła jeszcze do księgarń, jak winien w pana przekonaniu zachowywać się człowiek dobrej woli, który we własnym kraju aspiruje do dyktatury?

Tomasz Cynik: W ten sam sposób, w jaki zachowuje się człowiek w mieście dotkniętym trzęsieniem ziemi: z jednym okiem utkwionym w mapie, a drugim wyteżonym przed siebie. W każdej sytuacji nowej lub przejściowej instynkt, dla celów praktycznych, wart jest więcej od wiedzy. Jest to jednak zaleta,

której nie można się nauczyć. Mussolini wyraził tę myśl bardzo celnie i prawie w kategoriach pantautologii: „Polityk rodzi się politykiem. Nosi stygmat który towarzyszy mu od kolebki. Ludzie rodzą się politykami, tak jak się rodzą idiotami czy orłami. Żadna zaprawa nie uczyni politykiem człowieka, który ma pociąg do domatorstwa”.

Mr. Double W: Demokracji udało się poderwać do lotu nie jedną kurę.

Tomasz Cynik: Napoleon Bonaparte nie znał prawie zupełnie historii Europy i dlatego było mu łatwiej wywrócić ją do góry nogami. Stał się wielkim strategiem i nawet wielkim prawodawcą „dzięki — żeby się powołać na Metternicha — samemu tylko instynktowi”. Wracając do naszych czasów, polecam panu gorąco znakomity portret Stalina naszkicowany przez Suwarina. Otworzy pan ze zdumienia usta na widok dysproporcji między inteligencją a wolą u następcy Lenina, między jego wiedzą i jego *savoir faire*. „Cierpliwy, skrupulatny, wstrzemięzliwy w iluzjach jak w słowach, i silny przede wszystkim swoją pogardą dla jednostki, swoim brakiem zasad i skrupułów. Jest produktem okoliczności, zawdzięcza swoją fortunę polityczną antagonistom. Nie udałooby mu się nigdy wywindować tak wysoko bez pewnego wężu, bez naturalnego daru intrygi i płodnego skrzyżowania zimnej krwi z energią. Zręczny w odraczaniu niepomysłnych rozwiązań, w skłócaniu wrogów i okrążaniu przeszkód, nie zatrzymuje się przed niczym co daje możliwość przyspieszenia, uderzenia, zmiażdżenia”. Ale kto wie czy ostateczna konkluzja nie brzmi po prostu tak, że wszyscy politycy którym się powiodło byli genialnymi oportunistami.

Prof. Pickup: Jeśli zmysł polityczny jest nieodzownym atrybutem w walce praktycznej, jak pan tłumaczy założenie w Berlinie i w Rzymie szkół politycznych, gdzie kształci się nowych przywódców?

Tomasz Cynik: Wbrew ich pompacyjnej nazwie, chodzi o seminaria wychowujące funkcjonariuszy, o wylęgarnie potulnych i oddanych aktywistów. Mają za zadanie nie uformować nowych hitlerów i mussolinich, lecz zapobiec ich formowaniu się.

Mr. Double W: Na dzisiaj dosyć. Nie weźmiecie mi chyba za złe uwagi, która w równej mierze dotyczy was obu. Za dużo cytujecie. Nie moglibyście się obejść bez cytowania?

Prof. Pickup: Rozmowa stałaby się osobista, podczas gdy temat nim nie jest.

Tomasz Cynik: Skoro pan chce zostać dyktatorem, musi się

pan do tego przyzwyczaić. Dyktatura jest reżymem, w którym ludzie zamiast myśleć cytują. Cytują wszyscy tę samą książkę, podniesioną do godności świętego tekstu. Na naszą obronę możemy przynajmniej powiedzieć, że cytujemy różnych autorów.

Mr. Double W: Może cytaty działają mi tak na nerwy, bo wywołują we mnie wspomnienie szkoły.

Tomasz Cynik: Dyktatura pochodzi od dyktowania, które jest również ćwiczeniem szkolnym. Z tą okolicznością obciążającą, że dyktatura jest szkołą jednoklasową i błędy ortograficzne ściga się w niej prawem.

Ignazio SILONE

(Przełożył Gustaw Herling-Grudziński)

Książki

Skład Płyty

Skład Nut

KSIĘGARNIA „ZWIĄZKOWCA”

1475 Queen St. West, — Toronto 3, Ontario, Canada

ma na składzie WIELKI wybór

POLSKICH KSIĄŻEK

Polecamy polskie książki:

- do nabożeństwa
- powieści
- techniczne
- medyczne
- rolnicze i hodowlane
- podręczniki szkolne.

zaopatrzona jest w DUŻY wybór

POLSKICH PŁYT
GRAMOFONOWYCH

produkowanych

w kraju i za granicą.

- Muzyka
- Śpiew
- Kolędy

— Monolog i recytacje

Utwory polskich kompozytorów
w wyk. polskich artystów.

Piszcie po BEZPŁATNE katalogi. Wykonujemy zamówienia pocztą
Przyjmujemy abonament na „Kulturę” —
Posiadamy na składzie wszystkie książki wydane przez
Instytut Literacki w Paryżu

Nowości

BIBLIOTEKI "KULTURY"

TOM LXXVI

JÓZEF CZAPSKI
NA NIELUDZKIEJ ZIEMI

WYDANIE DRUGIE

Cena egz. 15 NF (dol. 3,25; 22/6)

◆

TOM LXXVII

CZESŁAW MIŁOSZ
CZŁOWIEK WŚROD SKORPIONÓW

STUDIUM O STANISŁAWIE BRZOZOWSKIM

Cena egz. 9 NF (dol. 2,00; 13/6)

◆

TOM LXXVIII

BERNARD SINGER
OD WITOSA DO SŁAWKA

Cena egz. 18 NF (dol. 4,00; 27/-)

◆

TOM LXXIX

CZESŁAW MIŁOSZ
KRÓL POPIEL

I INNE WIERSZE

(Cena egz. 5 NF (dol. 1,25; 7/6))

Fragment z dziennika

Piątek

Jeszcze to samo i wciąż to samo!

Byłem z Quiloflorem na meczu bokserskim, prach, prach, grzmocą, publika ryczy, sędzia tańczy. Wyraźnie widać, że mecz, a mimo to nie byłem taki pewny, czy nie pogrzeb.

Ze Świeczewskimi na koncercie Georges Pretre'a. Ale gdyby mi kto powiedział, że to plaża w dzień upalny, z tych podmiejskich, nie zdobyłbym się na stanowcze zaprzeczenie. A może — omnibus?

Wystawa Eichlera. Wystawa Grocholskiego. Tak, ale cóż w nich, że zalatują *five o'clock*'iem?

Five o'clock. Raczej pogrzeb, bo na cmentarzu, i zresztą było dżdżysto, parasole, kołnierze jesionek, mowy, kapelusze. Pogrzeb? Do pewnego stopnia. Bo i dlaczegożby nie wesele? — tramwaj?

Kolacja w Plaza, stoliki, lokaje, żyrandol, zakąski, żarciki, pytanie tylko, czy pogrzeb — plaża — wesele — mecz — tramwaj?

Znam cię, siło, sprowadzająca do wspólnego mianownika. Znam cię, *basso ostinato* w najniższym rejestrze istnienia, słyszę twój krok nieubłagany. Widzę cię, ilości zamazująca, roztopiająca, jak wykwitasz z kobiecego brzucha!

Wtorek

Kilka razy widziałem się ze Stanisławem Wiśtockim, dyrektorem Filharmonii warszawskiej, który przybył na gościnne wy-

stępy. Rozmowa wyłącznie prawie o muzyce. Prezencik — to pięknie z jego strony — koncert d moll Brahmsa na płycie polskiej, z orkiestrą Filharmonii pod jego batutą i z Małcużyńskim.

Wirtuozii jeszcze jako tako się trzymają, gdyż ich stycność z muzyką jest fragmentaryczna, odbywa się poprzez utwory, które „mają w palcach”, nie tak znów liczne i przeważnie nie najnowsze. Pianista, czy skrzypek, choćby nosił w sobie powagę artystyczną Bacha, jest bliski rzemiosłu i to go chroni od nadmiernego zatrucia duchowego. Ale tam gdzie muzyka przybiera charakter twórczy i objawia się w pełni, panuje blade przeżalenie. Kompozytor współczesny ma do czynienia z żywiołem wrogim, rozwścieczonym nawet, spiętrzonym, jest jak ptak unoszący się resztkami sił nad powodzią. Zastój i zalew. Dyrygenci, którym nakazano skanalizować ten żywioł, niemniej są otumanieni. Z polskich dyrygentów-kompozytorów też bije panika — mówię o tych, z jakimi się w Argentynie spotkałem (Skrowaczewski, Panufnik, teraz Wisłocki).

Póki idzie o sprawy profesjonalne i o rywalizację w wielkim meczu międzynarodowym, o to, kto lepszy, kto gorszy, czy Polska wytrzyma konkurencję etc. etc. — owszem, pół biedy. Ale gdy przyprze muzyka do muru, to jest do muzyki, do czystej muzyki, do samej muzyki, zaczyna walić głową o mur. I w głosie jego daje się słyszeć bezradność kogoś, kto płynął rzeką spokojnie, aż tu rzeka mu stanęła natrafiwszy na podwodne rafy i teraz nie wiadomo co począć z masą zbeftaną, rozlewającą się na wsze strony, w ruchu niestannym, a nieruchomą...

Coraz wyraźniej widać, iż muzycy już „nie wytrzymują” muzyki (jak malarze malarstwa).

Co prawda ich sytuacja w dziejach nigdy nie była, z punktu widzenia społecznego, ani tak zupełnie normalna, ani zupełnie uczciwa. Jeśli się zważy, że ktoś o dosyć wyćwiczonym uchu nie jest w stanie rozeznaczyć się z grubsza w utworze nawet o strukturze klasycznie przejrzystej, jak sonata, póki go z pięć razy nie przesłucha, obcowanie publiczności z muzyką w salach koncertowych należy uznać za przygniatającym procencie za humbug i nabieranie gości. Ileż razy zapytywałem siebie wychodząc z trudniejszego koncertu, co mogli pojąć ci roznamiętnieni oklaskiwacze, gdy ja, bystrzejszy chyba w tych materiach uchem i duchem, wynosiłem z sali nie wiele więcej ponad groch z kapustą. Te więc sesje koncertowe, od stuleci z powodzeniem się odbywające, są świadectwem, że majestatyczna rola społeczna muzyki nie wiele ma wspólnego ze... słuchaniem.

Jednakże ten, powiedzmy, grzeszek pierworodny muzyki, który był w dobie Haendla i Haydna tylko grzeszkiem, dziś

wzbiera jak wrzód olbrzymi, pełen jadu. Ten młyn, tysiące orkiestr, sal, rzesze słuchaczy, zastępy wirtuozów, jak bolidy przelatujących między kontynentami, akademie, festiwale, konkursy, armie techników, teoretyków, inżynierów, twórców, krytyków, stopy książek... i ten cały hałas odbywa się, jak za szkłem, niedostępny, niezaznany, nieurzęczywistniony w ludziach? Skandal! Śmieszność! Wstyd na wielką skalę! Kobieto! Gdybyś wiedziała do jakich potworności doprowadzasz rozmnażając, byłabyś ostrożniejsza w łóżku!

Ale, jeśli ktoś pocieszał się myślą, że ten skandal spowodowany ilością ogranicza się do roli społecznej muzyki, trzeba go wyprowadzić z błędu. Nie, napis hańbiący na czole współczesnego człowieka „jeden z bardzo wielu” dotyka nas nawet na najwyższych szczytach, tam gdzie, zdawałoby się, nie ma tłoku. Nie ograniczyłaś się, kobieto, do płodzenia słuchaczy. Napłodziłaś twórców! Za czasów Bacha mniej było organistów, niż dziś jest Bachów — i o ambicjach przewyższających Jana Sebastiana! Zgadało się z Wisłockim o utalentowanym Argentyńcyku, Ginasterze. — Och, to świetny muzyk, zabieram jego suitę do Warszawy. — Jakie miejsce wyznaczyłby mu pan w skali światowej? — Myślę, iż śmiało można by go zaliczyć do pierwszej setki kompozytorów.

Ale, jeśli ktoś oddawał się złudzeniu, że niezmordowana płodność kobiety, oddając człowieka na pastwę ilości, pozostawia w spokoju jego dzieła — to jest, że dzieło prawdziwie wybitne ostaje się w swoim majestacie wbrew ilości odbiorców i ilości twórców — niech wie, że się myli. Dzieło najwidoczniej też z niechęcią odnosi się do ciąży — dzieła muzyczne stały się w czasie dzisiejszym nieprzychylnie, a nawet złośliwie — stają kością w gardle, dławią, duszą. Inne się narowia, jak zdziczałe osły, i wierzgają, gryzą. Bach był jeden, ale katalog jego utworów obejmuje setki pozycji, łatwo płodził w najwyższym stylu. Dziś kompozytorów jest więcej, niż utworów Bacha, ale wszyscy w kupie nie urodzili chyba i dziesięciu partytur, solidnie usadowionych w Duchu. Dzisiejsze dzieło nie chce się rodzić (jakby mszcząc się na kobiecie), idea coraz więcej pożera wysiłków, „podciąganie do poziomu” kompozycji skromnych rozmiarów przeciąga się na lata, gdy twórca dochodzi do swego opusu numer dwudziesty mówi „uff!” jakby się wydrapał na niebotyczną górę. Godne wszakże uwagi, że złośliwość dzieła muzycznego jest odwrotna tej, którą dyszy dzieła malarskie: w malarstwie dyskwalifikacja następuje wskutek łatwości płodzenia, przechodzącej w gigantyczne poronienie. Pewien wzięty malarz (któżby pamiętał nazwisko), przyjechawszy do Buenos Aires rankiem,

namalował w ciągu jednego dnia z górą dwadzieścia obrazów żeby zapełnić salę wystawową, wynajętą na dzień następny... I obrazy sprzedawał zarabiając kupę forsy.

Jakże tedy jest z tym płodzeniem? Czy płodność kobiet odbiera płodność Duchowi? Powracam do pytania: czy istnieje jakiś stosunek pomiędzy ilością a osobowością, morderczy?

Mam za złe Wisłockiemu, że się nie upił. Myślałem, że będzie bardziej konsekwentny (opowiadano mi o gronie wybitnych muzyków, zbierających się co tydzień na rozmowy o muzyce i już po pół godzinie topiących w wódce, z błędnym spojrzeniem, z bladym i spoconym czołem, swoją beznadziejnością i kłeskę). Ale Wisłocki pił nie wiele i nie tracił humoru — to nie było *fair* z jego strony.



Zanotuję na marginesie, żeby nie zapomnieć: jeśli chcesz muzyka wytrącić z równowagi i wprowadzić w osłupienie, że już ani *be*, ani *me* — atakuj Bacha! Wydaje się, jak gdyby to jeszcze im pozostało: Bach. Naturalnie trzeba wpieryw wykazać, że się nie jest ignorantem — i wtedy dopiero zniecka zaatakować!

Sroda (jak mnie nudzą już te dni tygodnia)

Poczucie niezasłużonej krzywdy i ciężkiej obrazy dominuje i tutaj, jak w malarstwie, gdyż ci ludzie nie wiedzą co się z nimi dzieje — dlatego właśnie, że to nie w nich się dzieje, a z nimi się dzieje. Po prostu: Forma się nam wściekła, znękana Ilością.

Wisłocki przypomniał mi Skrowaczewskiego, a raczej sytuację w jakiej znalazłem się ze Skrowaczewskim, gdy mnie zaprosił na kolację, rok temu, czy dwa. Jesteśmy na Corrientes, idziemy od restauracji do restauracji, pełnia, przepełnienie, ulica wzbiera, kina wymiotują... Rozmowa (o muzyce) jest krzykiem z wielkiej odległości, jakbyśmy wisieli u słuchawek telefonu międzymiastowego.

Ilość, to królestwo matematyki. A matematyka jest nauką... Ten biedny X., młody chłopak, który chciał siebie wyśpiewać, pełen zapału: zabiera się do studiów, odważny, pracowity, zdolny do poświęceń, chce osiąść język tonów... aż tu powoli widzi, że coś się wyrabia niedobrego, oto matematyka ukryta w muzyce i już sama przez się dosyć trująca dla ducha, ulega jak gdyby wzmożeniu i podwojeniu wskutek najazdu innej matematyki, tej związanej z ilością... dzieł, koncertów, formuł, teorii, stylów,

szkół, instrumentów... i z ilością ludzi... Przeklęty kobiecy brzuch! Cóż miał robić? Powolutku, niedostrzegalnie prawie, stał się z artysty inżynierem dźwięku, naukowym producentem sztuki.

Czwartek

Ja, jeśli dotykam kryzysu sztuki, to nie dlatego żebym ją przecenił, sam będąc artystą — ale wyraża on kryzys formy ludzkiej w ogóle...

Georges Girreferèst-Prést przyfrunął z Paryża. Wczoraj z nim we Fragacie... Kawa. Koniak.

Opowiadał co mu opowiadano... pokłosisie gadek i plotek już przestarzałych z bezpośrednio powojennego okresu... trudne to do sprawdzenia i Bóg jeden wie, jak to tam było... ale przecież rzuca snop dziwnego światła na dzieje sartrowskiej myśli...

Ciekawe, jak bardzo ta przygoda Sartre'a przypomina to, co mnie i Skrowaczewskiemu się zdarzyło: tłum, mrowie, ścisk (nie po raz pierwszy tak mi się łączą anegdoty). Rzecz w tym, że Sartre, wówczas jeszcze młody, przechadzał się po Avenue de l'Opéra o 7-ej wieczór, w porze największego ruchu. Było to (jak potem się zwierzał przyjaciółom) szczególnie ohydne — gdy doznajemy człowieka na krótki dystans, jako fizyczne nieomal zagrożenie, ale gdy, zarazem, jest on odczłowieczony masą, jest tylko tysięcznym powtórzeniem człowieka, kopią, egzemplarzem, małpą prawie; gdy więc jest nam jednocześnie, wskutek ilości, niezmiernie bliski i okropnie daleki. Znalazłszy się w owym ścisku-nacisku ludzi-nieludzi młody jeszcze nie-autor „Bytu i Nicości” całą mocą duszy jął wzywać samotności. O! Wyodrębnić się! Odosobnić! Zerwać! Uciec! Ale następowano mu na nogi...

Uciekł wreszcie — ciągnął Gifferèst — w siebie! W jedyność własnej świadomości i w konkret własnej egzystencji. Był to rodzaj podwójnego muru, którym odgradził się od innych hermetycznie. Zatrzasnąwszy drzwi swojego ja! (Z tego więc co Prést opowiada wynikałoby, że dwutorowa samotność sartrowskiego egzystencjalizmu poczęła się z tłoku!).

Tu jednak nie koniec. Podobno (ciągle wersja Giffle-Présta) ta radykalna idea samotności nie długą cieszyła się samotnością w jego jaźni. Stało się bowiem coś nieprzyzwoitego, o czym Sartre potem niechętnie wspominał — mianowicie, jak tylko idea samotności zagościła w nim, od razu niejako kącikiem oczu zauważył, że ona na pewno znajdzie odzew w tysiącach dusz, zagrożonych ilością, ilość wciąż zdawała się tkwić w idei z niej się wywodzącej i z nią antynomicznie związanej. I właśnie wyczucie,

że jego myśl o samotności może być przyjęta przez wielu, skłoniło go do poświęcenia jej więcej uwagi. Daremnie bronił się przed takim pomieszaniem filozofii z ilością, wykazując sobie czarno na białym, że ani Świadomość, ani Konkret, nie mają prawa tuczyć się na takich drożdżach. Mimo wszystko, tuczyły się. Rosły. Aż w końcu przystąpił do systematycznej elaboracji i, wsparty na wielu filozofach z przeszłości, ją opracowywać swój system, który w tej swojej fazie pierwotnej głosił po prostu, że ja jestem ja, nie Piotr, ani Paweł, że jestem sobą wyłącznie, w sposób ostateczny i nieprzenikliwy dla innych, jak puszcza sardynek. I, zresztą, tych innych nie ma!

Tu jednak nie koniec. Naraz przeraża Sartre'a ta jego myśl: — Co? Jestem sam! Odkryłem, że nikt nie ma do mnie dostępu! Odrzuciłem filozofię klasyczną, bo zanadto w swej abstrakcyjnej logice była towarzyska, komunikatywna, zamknąłem się w sobie, ja — nieprzenikliwy, jedyny w mojej świadomości! Zniszczyłem Innego! Unicestwiłem wszystkich innych ludzi!

Zgódźmy się, iż może przerazić myśl o samotności, utuczona ilością — taki stwór piechotą nie chodzi. Najgorsze (wciąż wersja Giffelèr Pretét) że ten strach także nie był samotny. Został natychmiast spotęgowany ilością tych wszystkich, którym mógł się udzielić — i pożar drzewka przybrał w naszym filozofie kształt pożaru, obejmującego las cały. Na próżno Sartre ucieka się do auto-perswazji: — Wszak będąc Jedynym nie mogę być Jednym z Wielu! Na nic. Nie da rady. Nie mogąc dać rady tej myśli, postanawia odrobić, co zrobił. — Zniszczyłem Innego? Muszę więc na nowo go odkryć, ustanowić, uznać, przywrócić moją z nim łączność!

Przystępuje do elaboracji. Wyłania Innego... ha, już nie jestem sam, już poczułem na sobie jego spojrzenie, zwycięstwo! Zwycięstwo?

Gdzie tam! Rzecz się komplikuje. Sprawa staje się już zupełnie nieprzyjemna.

— Ale co się stało? — zapytałem Prevèsta. Na co mi odzwał: — Idzie, uważa pan, o to, że ten Inny, ustanowiony i wyłoniony, nie miał już nic wspólnego z człowiekiem konkretnym. To nie Piotr, ani Paweł, to Inny, jako taki. Obiekt, któremu przyznaję charakter Subiektu, którego wolność uznałem. Powie pan, że to nic strasznego? Ależ niech pan zważy, że teraz nasz filozof znalazł się w obliczu pełnej ilości — wszystkich możliwych ludzi — człowieka w ogóle. On, który zląkł się tłumu paryskiego, teraz ujrzał się wobec wszystkich tłumów, wszystkich osobników, wszędzie i zawsze.

— Poznałem go właśnie w tym okresie — ciągnął Giffelèrę popijając likier. — Było to już po wydaniu „L'ètre et le Néant”. Przygniatał go ogrom tej konfrontacji: on — wszyscy. Ale, mimo tak straszliwej panoramy, nie poddawał się i z nieugiętą konsekwencją proklamował swoje hasła: odpowiedzialność za wszystkich, łączność ze wszystkimi. I byłby wytrwał może, choć ludzkość wzięła na barki... gdyby nie to, że do owej pełni, obejmującej wszystkich, znowu domieszała się ilość przepełniając pełnię w sposób już naprawdę nieprzyzwoity... ilość egzemplarzy jego dzieł... ilość wydań... ilość czytelników... ilość komentarzy... ilość myśli wylęglých z jego myśli i ilość myśli, wylęgających się z tych myśli... i ilość przeróżnych wariantów tych wariantów... Ilość w tym nie do zniesienia, że przepełniająca, gdyż nadetatowa... Byli to Wszyscy plus Ilość.

Wtedy to (ciągle słowa Prevèsta) ujrzałem, jak zbliżywszy się do zwilgotniałej szyby napisał palcem:

NEC HERCULES CONTRA PLURES.

I bliski był samobójstwa. Albowiem jak tu wycofać się, jak uciec, gdy miliony czytają i coraz nowe idą w świat wydania? Och, nie Wszyscy go przerażali, a to, że tych Wszystkich tak dużo! Śmierć tedy? Przystępuje do samobójstwa. Ale po chwili namysłu odstępkuje od samobójstwa. Gdyż, Bogiem a prawdą, nic tak strasznego. To prawda, że okropne jest jego bankructwo i straszna jego katastrofa. Ale katastrofa rozpuszcza się w milionach. Spowodowana przez ilość rozchodzi się po kościach wskutek tejże ilości, w mętliku i rozgardiaszu, gdzie nikt nic nie wie, nikt nic nie rozumie, gada się, a nie wiadomo co, jeden od Sasa, drugi od Lasa i tak jakoś właściwie nic.

NEC HERCULES CONTRA PLURES.

Sobota (w kawiarni na rogu Maipu i Lavalley; deszcz)

Ilość mnie znudziła...

Przeglądam numer „Wiadomości” ze sprawozdaniem z obrad Jury, komu by to udzielić nagrody za najlepszą książkę 1961. Cóż za bankiecik przy tej okazji! *Menu* palce lizać:

*vol-au-vent
brochet farci à la juive
paupiettes de veau hongroise
soufflé grand succès.*

Widzę ich — tę rozrzucającą imitację Akademii i imitację literatury — ten słodki sen o honorach z mowami, duserami,

anegdotami, komplementowaniem, jeden drugiego wydymaniem, i wszystko naturalnie parle franse, z paryskim pieprzykiem i z galijską kulturą w najlepszym guście. Aż by się zdawało

Ze to Wojski gra jeszcze... A to echo grało!

Cóż komu szkodzi, że kilkunastu starszych panów zebrało się aby dostarczyć sobie wzajem nieco przyjemności, czy nawet rozkoszy? Byłoby to zdrożne tylko, gdyby było erotyczne, a o tym przecie nie ma mowy. I dlaczegoż by nie mieli się wzajem wspierać, gdy większość z nich (pomijam zaszczytne wyjątki) z trudem utrzymuje się na nogach o własnych siłach? Zawsze w kupie różnej. Jak mieć do nich pretensję, że swój los tragiczny zagryzają ciasteczkami — zwłaszcza, że te mowy, opinie, poglądy świadczą (pomijam wyjątki) o najprzystojniejszym bezwładzie myślowym i są spokojne, grzeczne, pocziwe, należyście przestarzałe, w miarę zacofane, słowem — nieszkodliwe. Czyż godzi się pozbawiać ich tej odrobiny *vol-au-vent* i owego rozplywającego się w ustach *brochet farci*?

A jednak trudno mi powstrzymać się od niedyskrecji. Co to za skandal zdarzył się niespodziewanie przy wetach, przy tym mianowicie oszałamiającym *soufflé grand succès*?

Czy prawda, co się mówi — rzecz zaiste nie do uwierzenia — że, gdy podano ów niebiański *soufflé*, ktoś... ktoś nieobecny... ktoś niezaproszony... ktoś, kogo na tym bankiecie nie było, ba, ktoś w ogóle usunięty i zakazany, ktoś „o kim się nie mówi” i „o kim się nawet myśleć nie chce”, ktoś zniechęcony i zepchnięty w najczarniejszy loch podświadomości...

...że ten ktoś zakradł się i wyjadł wszystkim z ich *soufflé* ten właśnie *grand succès*? Horrendum! Pozostał im na talerzach sam tylko *soufflé* bo *grand succès* zostało wyżarte sprzed nosa!

(Janowi Rostworowskiemu
i Józefowi Wittlinowi dedykuję)

Wtorek (czytam Miłosza studium o Brzozowskim „Człowiek wśród skorpionów”)

„Dlaczego tak wielu czerpało i czerpie pełnymi garściami z dorobku Brzozowskiego, ale jakby ukradkiem, nie przyznając się do tego publicznie?” pyta Miłosz.

Czy i ja? Mam czyste sumienie. Nigdy do tej chwili nie zetknąłem się z Brzozowskim, tak się uchowałem, że ani nic jego, ani nic o nim, nie wpadło mi w ręce... Zdarzają się takie rozmi-

nięcia, jest to jeden z autorów polskich najdoskonalej mi nieznanych. A swoją drogą, gdy Miłosz napomyka o jego „obsesji wyzwolenia się od Polski”, lub o tym: „Brzozowski mówił, że rumieni się ze wstydu za literaturę polską, bo wydała Sienkiewicza”, mnie się moje własne obsesje i rumieńce przypominają. Tylko że one są w nas tak różne i z tak odmiennych dokonywujące się pozycji, jak różne są nasze natury.

Widzę nawet, czytając pracę Miłosza, że ja jestem w sprzeczności z tym filozofem tak ostrej i zasadniczej, jak może dziś żaden z oświeconych Polaków.

Na przykład:

„Główny grzech inteligencji polskiej w mniemaniu Brzozowskiego” podaje Miłosz „to zastępowanie myśli towarzyskością”. Nie interesowano się na serio osiągnięciami myślowymi Zachodu. Nikt nie przejmował się myślą... Nikt nie przeżywał tego wielkiego i krwawego wysiłku intelektualnego... Teorie służyły za temat do konwersacji.

Miłosz cytuje jego słowa: „Z jakim pańskim spokojem, z jaką pańską dezynwolturą sądów tu klepano po ramieniu idee i ludzi. Pasjansowy mędrzec, lub nudzący się pomiędzy jedną i drugą partyjką, jedną a drugą budą jarmarczną, męczennik narodowy z uśmiechem pobłażliwym przyglądał się, gdy syn jego wstawał z głową rozpaloną od dzieł Darwina, albo Buckle’a”.

Wydobędę jaskrawość kontrastu pomiędzy Brzozowskim a mną, gdy powiem, że w tym wypadku jestem po stronie ojca, nie syna. Tak! Popieram starszylachecką nieufność i to, że teorie są „niezyciowe” i wszystko w ogóle, co nie pozwala przeżywać zanadto myśli. I niechaj Miłosz wstrzyma się chwilę od zgłoszenia mojej kandydatury na członka Akademii Grydzewskiego, gdyż, jak się zaraz okaże, ta moja stojąca woda nie pozbawiona jest pewnej podskórnej dynamiki.

Spróbuję naprzód określić w paru słowach nasz moment historyczny w odróżnieniu od czasów Brzozowskiego. Otóż czas Brzozowskiego, to okres triumfalny intelektu, gwałtownej jego ofensywy na wszystkich polach — zdawało się wtedy, iż głupota może być wypleniona upartym wysiłkiem rozumu. Sądzę, że ten napór intelektualny wzrósł w latach następnych i chyba osiągnął apogeum bezpośrednio po drugiej wojnie — gdy marksizm z jednej strony, egzystencjalizm z drugiej, wylały się na Europę jak wrzątek z kipiącego garnka (nie mówiąc o innych zaborczych ideach). Pociągnęło to za sobą niesłychane rozszerzenie horyzontów ludzi, zajmujących się myśleniem.

Jednakże... ta nieszczęsna dialektyka historii... dziś w moim mniemaniu, ten okres się kończy i już zarysowują się czasy

Wielkiego Rozczarowania. Spostrzeżyliśmy, że wprawdzie dawna głupota zanika, ale na jej miejsce pojawia się nowa — którą właśnie intelekt rodzi, będąca jego subproduktem, głupota, nie-stety, intelektualna...

Zgodzi się ze mną Miłosz, przypuszczam, że ów ziemianin Brzozowskiego mniej był narażony na głupstwo, niż ludzie dzisiejsi. Światopogląd ówczesny oparty był na autorytecie, przede wszystkim Kościoła, hreczkosiej jeździł w niedzielę na mszę, a w inne dni tygodnia oddawał się niewinnym pomyślunkom w rodzaju, czy zasiać owies, czy koniczynę. Nawet osoby o bujniejszym życiu umysłowym nie brały się do filozofowania, filozofia działała się na marginesie, jak coś ważnego może, ale odległego. Dziś natomiast każdy z nas musi przemyśleć świat i życie na własny rachunek albowiem wykończyły się autorytety. Dodajmy, że inteligencję cechuje niezwykła naiwność, żyje w niej dziwna młodzieńczość, nie na darmo jest jednym z późniejszych osiągnięć ludzkości, bodaj najmłodszym... ci więc intelektualści pełni animuszu nie tylko rozkazali: myśl sam, własną głową, nie wierz nikomu póki sam nie sprawdzisz, — ale, jakby tego było mało, zażądali by „przeżywano myśl”. Bagatela! Nie tylko mam myśleć, ale w dodatku brać moją myśl na serio i sycić ją własną krwią! Potworne skutki nie dały na siebie długo czekać. Zaroilo się od myślicieli fundamentalnych, sięgających do podstaw i budujących sobie światy. Filozofia stała się obowiązkiem. Ale dostęp do tego najwyższego i najgłębszego myślenia, znaczonego wielkimi nazwiskami, nie jest przecież łatwy: i oto ugrzęźliśmy w okropnym trzęsawisku myślenia niedomyślnego, w jakimś niedotrąwieniu generalnym, w mazi i błocie głębi połowicznej.

Ależ, mój sympatyczny Miłoszu, to co się dzieje dziś z intelektem i intelektualistami, to jest po prostu skandal — i mistyfikacja, jedna z największych w historii. Ten intelekt tak długo „demistyfikował”, aż w końcu sam stał się narzędziem potwornego zakłamania. Wiedza i prawda od dawna już przestały być naczelną troską intelektualisty — zastąpiła je troska o to po prostu, żeby się nie dowiedziano, że on nie wie. Intelektualista, rozsadzany treściami, których sobie nie przyswoił, kluczy jak może, byle nie dać się przyłapać. Jakie są jego środki ostrożności? Formułować chytrze, żeby nie złapano za słówko. Nie wychylać nosa poza to, co jako tako się opanowało. Używać pojęć skrótowo, niby że to one są już wszystkim doskonale znane, a w gruncie rzeczy, aby nie zdradzić się z ignorancją. Dawać do zrozumienia, że się wie. Powstał kunszt specjalny zręcznego szermowania myślami nieopanowanymi z miną, jak gdyby wszystko było w największym porządku. Powstała specjalna sztuka cytowania i

zazywania nazwisk. Z tysiąca nasuwających się tutaj przykładów weźmy ten tylko: jedną z najgwałtowniejszych dysput intelektualnych po wojnie była polemika, sprowokowana żądaniem Sartre'a, aby intelektualista „angażował się” i „wybierał”. Zaden z literatów nie mógł, w praktyce, nie wypowiedzieć się *pro* lub *contra*. Ale na to, żeby postulaty Sartre'a z jego „Situations” mogły być zrozumiane, trzeba by wpiery pojąć jego „wolność”, to zaś wymagałoby przestudiowania siedmiuset stron jego „L'Étre et le Néant” (nudziarstwo), ale „L'Étre et le Néant” będąc ontologią fenomenologiczną wymaga znajomości Husserla, nie mówiąc już o Heglu, nie mówiąc o Kancie... Zapytuję, ilu z tych co tezy Sartre'a omawiali, odważyłoby się stanąć przed komisją egzaminacyjną?

I (zważywszy pracę niestrudzoną kobiecego łona) wszystkie składniki tej maskarady muszą się mnożyć i potęgować z każdym rozpędzonym dniem. Ach, ta „towarzystwość”, którą potępił Brzozowski, przybrała nieoczekiwany aspekt... Nas tak znużyły już te prawdy ostateczne i najgłębsze, które trzeba sycić własną krwią, iż w końcu nie wiedząc, jak pogodzić nasze ziewanie z doniosłością naszego przedsięwzięcia zaczęliśmy dbać jedynie o zachowanie pozorów.

Miłosz jest po stronie Brzozowskiego. Miłosz chce, aby inteligencja polska dogoniła Zachód. Jest tu wyrazicielem powojennego polskiego zrywu w kierunku „europejskości” i „nowoczesności”. A ja, szlachcic-hreczkosiej panie święty starej daty, wyciągam rękę i powiadam: — Zwolna! Nie tędy droga! Po diabła wam to? Po pierwsze, nie dogonicie, gdyż formy myślenia i jego styl powoli tylko się wykształcają. Po drugie, nie warto, bo z tym więcej zwracania głowy, niż czego innego. Po trzecie, byłoby dobrze, gdybyście wzięli pod uwagę co następuje: dziś atuty są po waszej stronie; wasze powoli zaczyna być na wierzchu; to, co dotychczas było waszym wstydem, może być wprowadzone w Europę jako punkt wyjściowy zbawiennej rewizji.

Dziś, moim zdaniem, polska „letniość” ma szansę i nie powinna się wstydić. Z przyjemnością usłyszałbym polski głos w Europie, stwierdzający pod adresem intelektu: dość, nie rozumiem, nie mogę, nie chcę. Tyle tylko, nic więcej. Szłoby nie o znalezienie drogi wyjścia, a tylko o określenie sytuacji — która dopiero potem znalazłaby swoich ludzi i swe rozwiązania. Jak najdalszy jestem od przypuszczenia, aby tymi ludźmi stać się mogli członkowie naszej Akademii nasi dumni „klasycy”, wyniośle kręcący nosem na „nowinki”, wyświęcający „snobizmy” i delectujący się własnym „mistrzostwem” — ani nasi wykwintnisie, smakosze, sybaryci, dowcipnisie, anegdociarze — ani krzepkie

chłopy, to bractwo morowe od „życia praktycznego”. Nie, żadna z tych emigracyjnych form zwątpienia intelektualnego mi nie odpowiada. To musiałyby być zrobione szczerzej; i bardziej po europejsku; i inteligentniej.

Witold GOMBROWICZ

Każdy kto wysyła leki do Polski powinien przestudiować nasze katalogi

KATALOG MEDYCZNY TAZABA

z a w i e r a

- 1) Wszystkie najnowsze leki przodujących światowych producentów, ze specjalnym uwzględnieniem najbardziej poszukiwanych i potrzebnych w kraju.
- 2) Przepisy celne, oraz podaje dokładną wagę każdego leku, co umożliwi wysyłkę **W O L N Ą O D C Ł A**
- 3) TAZAB jest jedyną światową firmą posiadającą poza Anglią własne biura i przedstawicielstwa w Ameryce, Francji, Niemczech i Szwajcarii i dzięki temu może wysłać natychmiast i z pierwszej ręki tamtejsze leki
- 4) Recepty są wykonane przez doświadczonych farmaceutów.
- 5) Klienci nasi są obsługiwani **NATYCHMIAST**, bez oczekiwania na nadejście należności

Największy Polski Dom Wysyłkowy

TAZAB OF LONDON

Tazab House
LONDON, S.W.7.
22, Roland Gdns.,
Tel. FRE 3175-6

TAZAB & Co. Ltd
36, Third Avenue,
NEW YORK, 3
ALgenquin 4-4161

Notatnik poetycki (I)

Wybieram się na wakacje. Mam dwa tygodnie lektury, tak jak inni mają dwa tygodnie pędzenia naprzód własnym samochodem lub wylegiwania się na plaży w Atlantic City. Tłok tam zazwyczaj jest tak wielki, że trudno o kilka wolnych ziarn piasku, hotele przepełnione, wrzask radia i telewizji przerywają trumienne, wyświechtane frazesy spikerów: a teraz proszę Państwa słówko od naszego sponsora; przez ścianę zalane towarzystwo śpiewa chórem: wrócimy tam. Po dwu tygodniach takich wakacyj, człowiek wraca z ulgą do domu, marząc o prawdziwym odpoczynku.

Do *flight-bag*'u wrzucam ostatni tom wierszy Miłosza: Król Popiel i inne wiersze. Tytuł podoba mi się. Jest to już niewątpliwie wpływ anglo-amerykański, ten dodatek: *and other Poems*, ale artyści powinni mieć oczy i uszy otwarte. Nie tylko talent. Język, to niby stale rozkwitający ten sam kwiat, na pierwszy rzut oka podobny do zeszłorocznego, lecz ileż w nim zmian botanicznych.

I.

Od ukazania się „Ziemi Jałowej” T.S. Eliota, nikt chyba po nim nie wszedł do poezji, w tak indywidualny i rewolucyjny sposób. Możemy natomiast śmiało powiedzieć, że po roku 1922 zamrowiło się od talentów. Ukazało się wiele doskonałych tomów, poezja w ogóle, a amerykańska w szczególności, może dziś rościć sobie pretensje do palmy pierwszeństwa. Amerykanie, których poezja była nowoczesna od samego jej zarania, nie mieli — w znaczeniu europejskim — ani Marinettiego ani Majakowskiego. Te dwie skromne rewolucje pałacowe, o podłożach politycznych:

faszystów i komunizmu, zostały w Ameryce wyprzedzone talentem Whitmana. „Leaves of Grass”, ogłoszone ponad sto lat temu (1855), wprowadzają nas bez reszty, w sedno dzisiejszej poezji, ponad głowami futurystów.

Warto by przypomnieć, że kiedy Whitman pisał swoje genialne poematy, poezja francuska przechodziła chorobę Parnasistów, a gdy Baudelaire'a nazywa się ojcem poezji nowoczesnej, to Whitman jest nowoczesności tej jądrem.

„Zdźbła trawy” nie weszły do naszej literatury dość szybko, by zaważyć na rozwoju polskiej poezji, jak również i „Ziemia Jałowa” Eliota, a rok 1922, to czasy Manifestu Futuryzmu polskiego (1921), „Zwrotnicy” (1922) i gruntowania się grupy „Skamandra” (1920).

Te „nowości kwiaty” wyrastają na grobie żywcem grzebanego trupa Młodej Polski.

Najwybitniejszym dziełem tego okresu jest bez wątpienia „Łąka” Leśmiana (1920), utwór przesycony ogromnym talentem, ale wyjątkowo indywidualny i marginesowy, który wynosząc autora, nie dawał poezji szerszych możliwości stworzenia szkoły. Geniusz Leśmiana był na miarę polską, brak mu było uniwersalizmu.

Zatrzymam się na chwilę na Skamandrze, gdyż wydaje mi się, że grupa ta i jej program należą już do historii, podczas gdy Awangarda wciąż jeszcze jest twórcza, a jej korzenie wypuszczają nowe pędy. Powojenna poezja polska jest ściśle związana z Awangardą, jej wielokierunkowość i bogactwo, w najbardziej nawet klasycznych przejawach, nie nawiązuje do Skamandra, którego poezja zwięzła się dziś do drobnego zaledwie odcinka. Jest on solidny ale krótki.

Aby scharakteryzować Skamandra, jako szkołę, wystarczy powiedzieć na przykład tylko o Balińskim, a sąd o nim będzie sądem o całej grupie, gdyż credo poetyckie grupy nie jest tak trudne do uchwycenia, jak poety który tworzy indywidualnie.

Baliński nie jest indywidualistą i ma wszystkie zalety i wady Skamandra. Sylwetkę jego łatwo dziś określić wśród takich poetów, jak: Tuwim, Lechoń, Słonimski. Wyłączam jednak Wittlina, gdyż jak nikt z całej grupy, miał on zadatki by wyrósć na polskiego Eliota, ale wydaje mi się, że przynależność do Skamandra uwikłała i skróciła jego indywidualność. Bo właśnie Wittlin jest indywidualistą. Szkoda więc, że monolit artystyczny Skamandra przejdzie do historii bez większej schizmy poetyckiej. A może?

Poeci Skamandra tworzyli grono oddanych sobie przyjaciół i dzięki tej przyjaźni, klice w najlepszym tego słowa znaczeniu, wywarli taki wpływ na społeczeństwo, udawadniając że poezja

może być czytana przez wszystkich i potrzebna w drobnomieszczańskim nawet środowisku. Ale najwierniejszym z wiernych był redaktor „Wiadomości Literackich”, bez którego nie podobna sobie wyobrazić Skamandra.

Formalnych osiągnięć Skamander nie posiada. Zwłaszcza jego trzonowi poeci. Krytyk poezji Romantycznej, mógłby od biedy zastąpić słowo Romantyzm słowem Skamander w swojej krytyce i myślę, że byłby w zgodzie z prawdą artystyczną.

Wynika z tego że Skamander jest kontynuacją poezji tradycyjnej. Istotnie, tak jest. Tradycję swoją wywodzi on jednak z ascezy, jaka nagle ogarnęła poezję polską, by przeciwstawić się nadmiernemu gadulstwu i werbalizmowi poetów Młodej Polski. Był to bunt sterowany romantycznymi hasłami, który niczego nie dokonał. Nie z braku talentu, mieli po prostu błędne podejście do sztuki.

Skamander, który przyszedł po Młodej Polsce, wydał się ruchem omalże klasycznym, w stosunku do zbanalizowanej już i przysłowiowej młodopolszczyzny.

Nadmieniłem poprzednio, że osiągnięć formalnych Skamander nie posiada. Nie wywołał on również rewolucji estetycznej, w małym stopniu wzbogacił słownictwo i wpłynął na kształtowanie się języka poetyckiego. Dlatego też nie stworzył własnego stylu, co można zaliczyć do kłeski, gdyż nie podobna wyobrazić sobie szkoły bez stylu.

Może nie byłoby tak źle, gdyby poetom Skamandra towarzyszył oddany im i utalentowany krytyk. „Wiadomości Literackie” dochowały się wprawdzie Karola Zawodzińskiego, ale był on tylko krótkowzrocznym recenzentem i przypuszczam, że żaden z poetów Skamandra nie nauczył się zbyt wiele od niego.

Pozostanie chyba niewyjaśnioną zagadką, dlaczego Skamander, mimo oczywistego zwycięstwa sztuki nowoczesnej na Zachodzie, tak ją bezkompromisowo zwalczał w Polsce? Zwłaszcza w poezji. Malarze polscy poddali się prądom nowoczesnego malarstwa, muzyka polska szła chyba na czele awangardy muzycznej Europy, w poezji natomiast trwały zacięte spory. Wyjaśnienia należy chyba doszukiwać się w fakcie, że Skamander był panem sytuacji i pójście w tych warunkach za nowością, byłoby dla niego rezygnacją ze zdobytych pozycji.

2.

Hiszpan, Jose Ortega y Gasset, jeden z czołowych krytyków sztuki, wydał w roku 1948 w książce, swoje wykłady wygło-

szone na różnych uniwersytetach w Ameryce i Europie. Powołuje się on w swych rozważaniach nie tylko na poezję. Zna świetnie muzykę i malarstwo.

Jose Ortega y Gasset twierdzi, że niepopularność sztuki nowoczesnej nie wypływa z przypadku lub zbiegu okoliczności, ale z samego jej założenia i przeznaczenia. Dzieli ona mianowicie społeczeństwo na dwie grupy: tych, co rozumieją sztukę nowoczesną i szersze masy, które jej nie rozumieją.

Zadaniem sztuki jest wywoływanie przeżyć estetycznych. Jeżeli przyjrzymy się sztuce tradycyjnej, to zauważymy, że przeżycia które ona wywołuje są nam bliskie i znane. A to dlatego, że sztuka tradycyjna jest z natury swej realistyczna, że niczego nie wyjaśnia i nie przekształca rzeczywistości. Jej istotą jest odtwarzanie, a jeżeli już coś zmienia, to tylko po to by upiększyć. Dlatego wszyscy ją rozumieli.

Sztuka nowoczesna trafia w próżnię. Operuje elementami, które nie są nam znane, odwołuje się do wyobraźni, a ta nie jest przygotowana i dlatego bezradna. Nagle patrzymy na obrazy, które nie są „jak żywe”, w wierszu mówi się o rytmie wewnętrznym, dalekich skojarzeniach, nowej metaforze, a muzyka jest atonalna. Przychodzi do nas sztuka w innym kontekście i przynosi nam nowe przeżycia estetyczne, ale my nie wiemy nic, że i przeżycia estetyczne uległy zmianie. *Operując starymi pojęciami*, chcielibyśmy poznać nowoczesność.

Wywody powyższe chciałbym zakończyć słowami referatu Władysława Tatarkiewicza, wygłoszonego na Czwartym Międzynarodowym Kongresie Estetyki w Atenach, gdzie właśnie mówił o klasycznym i nowoczesnym rozumieniu sztuki.

„Sztuka klasyczna tkwi w jej celu. (Pozwalam tu sobie przedstawić uszeregowane punktami wywody Tatarkiewicza, nie zmieniając jednak treści). Celem tym jest wytwarzanie dzieł doskonałych. Nie ma istotnej różnicy (mowa w dalszym ciągu o sztuce klasycznej) między sztukami a rzemiosłami... Sztuka (klasyczna) oparta jest o reguły powszechne, bez nich nie ma sztuki. Będąc wyznaczana przez reguły ogólne, sztuka (klasyczna) nie może mieć charakteru twórczego i zmierzać do form nowych... bo traciłaby z oczu ich doskonałość, a ta stanowi jej cel. Sztuka (klasyczna) jest tworem inteligencji i wiedzy. Nie ma podstaw do oddzielania w niej formy i treści, gdyż są zawsze ze sobą złączone, warunkują się wzajem i są dla sztuki równie istotne. Jest ona częścią życia społecznego i ma w nim wielorakie funkcje... Przyroda jest doskonalsza od sztuki (w ujęciu klasycznym), która nie może jej dorównać, może ją tylko uzupełniać i naśladować... Piękno jest cechą obiektywną. Polega zawsze na wzajemnej har-

monii części... Najwyższym pięknem jest piękno form organicznych, na nich też powinna wzorować się sztuka...

W rozumieniu nowoczesnym, istota sztuki leży w jej przyczynie. Przyczyną tą jest potrzeba wyrażania myśli i uczuć. Istnieje zasadnicza różnica między sztukami a rzemiosłami, bo tylko pierwsze zmierzają do piękna... Sztuka (nowoczesna) jest sprawą osobistą, dziedziną wolności, każdy może ją stworzyć po swojemu, nie licząc się z regułami. Ma ona charakter twórczy i to ją właśnie wyróżnia wśród czynności człowieka; każdy artysta ma prawo i obowiązek szukać form nowych. Wszystko co w niej najlepsze, sztuka zawdzięcza intuicji, wyobraźni i uczuciom. W sztuce istotna jest tylko forma, podczas gdy treść stanowi o wartości wszelkich innych czynności człowieka. Prawdziwą sztuką jest jedynie 'sztuka dla sztuki'. Sztuka daje wzruszenia i to jest jedyne jej istotne zadanie. Sztuka, przynajmniej pod pewnymi względami zdolna jest przewyższać przyrodę, osiągać większą doskonałość i celowość... ma prawo deformować przyrodę, zmieniać jej kształty, nawet gdy je naśladuje. Sztuka... może wytwarzać formy abstrakcyjne. To, co w sztuce nazywa się prawdą, nie jest prawdą w zwykłym, poznawczym czy naukowym znaczeniu. Piękno jest subiektywne, jest tylko reakcją człowieka na pewne przedmioty. Jeśli się nam może wydawać cechą obiektywną, to dlatego, że reakcje ludzi są do siebie mniej lub więcej podobne. Piękno nie daje się sprowadzić do formuły (mowa o wzajemnej harmonii części) tak prostej, jest daleko bardziej złożone i wielorakie. Piękno ma postacie różne. Każdy kanon jest końcem sztuki... Jeśli nie wyższym, to w każdym razie równym tamtemu (mowa o formach organicznych) jest piękno form abstrakcyjnych, piękno przekraczające miarę człowieka, piękno wzniosłości, wolności, polotu”.

I jeszcze jeden cytat z książki J.W.N. Sullivana o najciekawszym chyba studium o Beethovenie: „Przy końcu osiemnastego wieku klimat umysłowy, właściwy czasom nowoczesnym, ugruntował się powszechnie w świadomości... aspektem najbardziej nas interesującym jest fakt utwierdzający pogląd, że sztuka jest funkcją wyrażoną w całości przez osobliwości natury ludzkiej. Nie objawia ona rzeczywistości”.

Książka Sullivana powstała w oparciu o teorię „wzruszeń estetycznych” i aby ją napisać, autor wezwał aż trzech sprzymierzeńców: psychologa, muzykologa i nowoczesny pogląd na sztukę.

Nie mogę się zgodzić z Brzękowskim i wieloma innymi, którzy twierdzą, że sztuka nowoczesna (Jan Brzękowski, Leon Chwistek, Przemysław Smolik, Władysław Strzemiński: O sztuce nowoczesnej, Łódź 1934) jest buntem przeciwko starym, zastałym

formom. Bunt ten, to już drugi akt, kiedy nastąpiło uświadomienie nowych form i trzeba je wprowadzić w życie. Sama nowoczesność nie jest aktem sztucznym, wypływa ona z ogólnych przemian w świecie, wewnętrznych i zewnętrznych, z niedosytu i buntu, z potrzeb które życie przed nami stawia, a wyobraźnia sublimuje. Bo prawdę mówiąc, nigdy nie ma nieporozumienia między życiem a sztuką. I nawet obraz abstrakcyjny ma swoje uzasadnienie psychologiczne w realiach życia codziennego.

3.

Kiedy w roku 1852 ukazały się „Emaux et Camées” nie wiadano jeszcze wtedy, że kończy się wielki okres romantyzmu i powstaje nowa schizma poetycka, wielogłowa meduza do dziś jeszcze pokutująca wśród poetów: sztuka dla sztuki. Ciosem dotkliwym dla romantyków, był ich schyłkowy uczeń, mistyk, Gerard de Nerval i właśnie w jego „Chimerach”, zwięźle pisanych wierszach, zarysują się pierwsze fazy symbolizmu francuskiego.

Teofil Gautier był malarzem i pozostał nim nawet w poezji. Stylista i zwolennik wyrafinowanej formy, ucieka od epoki sentymentu. Pod jego kierunkiem podpisuje się Banville, Leconte de Lisle i częściowo nawet Baudelaire.

Najcelniejszy uczeń Wiktora Hugo, Banville, nawet w najlepszej swojej książce ogranicza się (Les Exiles) do kolorowej dźwięcznej wersyfikacji, a dzięki swej młodzieńczej werwie, zajmuje honorowe miejsce między poetami drugiego rzutu. Echa Banvilla krążą w wierszach nawet takiego poety, jak Verlaine, a zwłaszcza w „Fêtes galantes”, należących do arcydzieł poetyckich, jak również dopatrzeć się ich można u Rostanda. Okres przejściowych poszukiwań kończy Baudelaire, ojciec nowoczesnej poezji tomem „Les Fleurs du Mal” ogłoszonym w 1857 u wydawcy Poulet-Malassis. W tymże samym roku ukazuje się „Madame Bovary” i obie książki oskarżone są o obrazę moralności.

Parnas miał drogę utworowaną. W roku 1859, osiemnastoletni Catulle Mendès wydaje w Paryżu „Revue Fantaisiste” grupując młodych poetów, zwalczających wpływ Lamartine’a i Musseta. „Revue” po kilku latach przestaje wychodzić, ale na jego miejsce pojawia się „Le Parnasse Contemporain” z mistrzami: Gautier, Banville, Leconte de Lisle i Baudelaire — oraz młodym narybkiem: Heredia, Sully Prudhomme, Coppée. Verlaine i Mallarmé należą również w tym okresie do Parnasistów.

Parnas, którego piękno polegało na zdobnictwie słownym, nie zawsze mógł utrzymać wiersz przy życiu. Często mozaika kolo-

rowa przemieniała się w prawdziwy klejnot, ale wiersz był martwy od urodzenia. To, co było poetycko najciekawsze u Parnasistów, przekazał nam José-Maria de Heredia w „Les Trophées”, tomie sonetów streszczającym wszystkie zalety Parnasu. Heredia umarł w roku 1905, ale jego wiersze dziś jeszcze uderzają rygiem poetyckim, precyzją i czystością obrazowania. Sonet „Sur le livres des amours de Pierre de Ronsard” należy do klejnotów poezji francuskiej:

*Jadis plus d'un amant, aux jardins de Bourgueil,
A gravé plus d'un nom dans l'écorce qu'il ouvre,
Et plus d'un coeur, sous l'or des hauts plafonds du Louvre,
A l'éclair d'un sourire a tressailli d'orgueil.*

*(Nie byłoby w burgejskich ogrodach miłości,
Ni imion rytych w korze, ni serc które płoną,
Pod złotym stropem Luvru, wzdętym od świętości,
Która uszy nam rani, swą dumą szaloną).*

(Przekład mój)

Ten krótki szkic o przemianach poetyckich celowo przerzuciłem na Francję, gdyż w Polsce zaszły one z dużym opóźnieniem i w innej kolejności.

„Gdzie jest człowiek — tam jest sztuka”, mówi Stanisław Witkiewicz. A sztukę jeszcze tak niedawno utożsamiano z pięknem.

Ignacy Matuszewski w ten sposób definiuje piękno: Pięknem nazywamy to wszystko, co nas wzrusza w pewien właściwy ale zawsze p r z y j e m n y, nigdy przykry sposób. Słowa te pisane były w roku 1897. Twierdzi on dalej, że artyzm może posiadać pewien odcień smutku lub żalu, ale w rezultacie musi nas podniecać, nie przygnębiać. Brzydotę, twierdzi Matuszewski, należy upiększać, w ten sposób artysta poszerza „szersze koła bytu”. Pamiętajmy, że wypowiedzi te ukazały się już po impresjonizmie francuskim i po zupełnym przedstawieniu poglądów na sztukę, którą uzależniono od artysty i nadano jej piętno subiektywne, gdy tymczasem Matuszewski twierdzi, że artysta wyraża nawet najoryginalniejsze pomysły za pomocą gotowych środków, podając je pewnym tylko modyfikacjom.

Mniej więcej w tym samym czasie, oburzony na pochlebną recenzję z książki D'Annunzia, w ten sposób rozprawił się Stanisław Szczepanowski z „czcicielami zmysłowości”, w swojej „Definicji prądów europejskich”: Największym, już hurtowym fabrykantem tego guana literackiego, jest Zola.

Zola, naturalista? Przypomnijmy więc jak to było. Około 1880 Parnas, po latach chwały, spala się sam w sobie. Stopniowo następuje zwrot do poezji naturalistycznej, piosenki popularnej. Proces ten, aczkolwiek mało widoczny, przygotowuje u swoich źródeł prawdziwą rewolucję w literaturze francuskiej, która na tron wprowadzi wkrótce mistrzowski triumwirat słowa: Rimbauda, Mallarmé i Verlaina. Ale czarną robotę nowej awangardy zrobiła za nich proza. Zwłaszcza Zola.

U nas, oczyszczając atmosferę do pewnego stopnia, Stanisław Przybyszewski wpada z jednej skrajności w drugą i mówiąc o sztuce jako objawieniu duszy, stara się ją zgłębić przez „praily bytu”.

„Sztuka — twierdzi on — nie ma żadnego celu, jest celem sama w sobie (Confiteor 1899). Oddziaływać na społeczeństwo za pomocą sztuki, znaczy, poniżyć ją, a artysta który to robi niegodny jest miana artysty... Dla ludu chleba potrzeba, nie sztuki...”.

Hm, jak tu więc wierzyć naszym czasom?

4.

Józef Czechowicz, najbardziej nieskazitelna konstrukcja poetycka Dwudziestolecia, doczekał się od zakończenia wojny, za ledwie dwu publikacji i ulicy jego imienia w rodzinnym mieście — Lublinie.

Najpierw przypomniła go chełmsko-lubelska „Kamena”, a w roku 1955 Czytelnik wydał grubszy tomik, zawierający prawie że cały dorobek Czechowicza.

Książeczka te emanuje dziwnym czarem. Już same tytuły połączonych tu zbiorów wywołują w nas zaskakujące skojarzenia: Dzień jak co dzień, Ballada z tamtej strony. W błyskawicy. Nic więcej czy Nuta człowieka — oto rdzennie czysta liryka, rozbudowująca język autora „Kamienia” od wnętrza.

Najwnikliwsze opracowanie twórczości Czechowicza wyszło spod pióra Stefana Napierskiego i ukazało się w miesięczniku „Droga” w roku 1935. Obok Napierskiego dłuższe krytyki ogłosili nieliczni. Kazimierz Wyka w powojennej „Rzeczy wyobraźni”, Julian Przyboś w drugim tomie swoich szkiców „Linia i gwar” i Miłosz w „Kulturze”. Z wydań książkowych, najwięcej źródeł posiada praca Stanisława Czernika, która ukazała się ostatnio w Polsce („Okolica Poetów”, wspomnienia i materiały, Wydawnictwo Poznańskie, 1961); wstęp Seweryna Pollaka i Jana Spiewaka, we wspomnianych już przeze mnie czytelnikowskich „Wier-

szach wybranych”, historyczny szkic Kazimierza Czachowskiego „Najnowsza polska twórczość literacka” — 1935-1937, gdzie autor omawia zbiór wierszy Czechowicza „Nic więcej” wydany w 1936 roku u F. Hoesicka oraz wydana przez Ks. Ludwika Zalewskiego „Antologia współczesnych poetów lubelskich” Lublin 1939 r.

W życiu Czechowicza jest dużo załamania wewnętrznego i tragizmu. Stan ten zaczął się prawdopodobnie, gdy młody osiemnastoletni poeta pragnął popełnić samobójstwo. Sam dobry i uczynny, wyczulony był na uczucia innych. Z pochlebstw cieszył się, jak dziecko, gdyż prawdopodobnie wiedział, że należą się mu one. Żywej duszy, o okrągłej wesołej twarzy i rozbawionych oczach, krył w sobie dużo melancholii i nagłego strachu. Napadnięty trwogą, nie umiał się bronić. Zamykał się wtedy u siebie, nie chciał nikogo widzieć i prawdopodobnie pisał. Wiersz był jego obroną.

Liryka Czechowicza jest powiązana z przyrodą niemi swoistej symboliki, jaką poeta tworzy wykorzystując pierwiastki ludowe, metafizyczne, a nawet religijne czy dokładniej wiary w „jedyność” poznawalną wierszem. Słowo nie tylko wyjaśnia ale i uwalnia nas zarazem.

Pod tym względem najbardziej charakterystycznym dla poezji Czechowicza wierszem jest wiersz „To wiem” z tomiku „nic więcej”:

*dzień bursztynowy mija
rok za rokiem przemija
nielekką
dłonie poety płoną
aleś korono
daleko*

*nie spadasz jakoś na czoło
a spadły pierwsze krople burzy
w ogrodach ognia
pomruk wybuchy wróży*

*jeszcze zaczekam
potem
obalę się jak wszyscy trup
i tak kiedyś zaleje sława ciemnym złotem
grób.*

Wyka słusznie dopatrywał się w melodyjnym wierszu Czechowicza, jego właściwej natury — muzyczności, którą Przyboś

określił powierzchownie i po dyletancku, jako śpiewność, ludowość, wiejskość. Wprawdzie elementy te są studnią nieprzebraną, z której czerpie talent Czechowicza, ale (wyjaśniając przez porównanie) wiemy że z tych samych źródeł czerpał również geniusz Szopena. A czy Szopen jest twórcą muzyki ludowej? I najwłaściwiej chyba uczyni przyszły historyk literatury, gdy rozpatrując wiersze Czechowicza, wyjdzie z założenia, że Czechowicz jest Szopenem poezji polskiej.

5.

Przyboś jest zatwardziałym awangardzistą. Jego szkice krytyczne, to materiały do historii Awangardy, zwłaszcza krakowskiej. Jak niegdyś Czernik, twórca i apostoł autentyzmu, tak i on wierny jest swojej religii, dziś nawet, po tylu latach wojny i okrucieństwach obozów i komór gazowych. Stoicyzm ten dobrze uchwycił Miłosz w swoim „Traktacie poetyckim”:

*Awangardzistów było bardzo wielu.
Podziwu godny z nich jest tylko Przyboś.
W sól, w popiół padły narody i kraje
A Przyboś został, tak jak był, Przybosiem.
Żadne szaleństwo serca mu nie zżarło.*

Nikt dziś nie przeczy, że Awangarda była zdrowym i potrzebnym kierunkiem, w opóźnionym rozwoju poetyckim w Polsce. Najwięcej zawdzięcza ona Peiperowi, a potem Brzękowskiemu. Natomiast Przyboś zwęził Awangardę do swojej osoby, wydzielił ją z ruchu ogólnopolskiego i zamknął w podwawelskim grodzie. Z chwilą, gdy zabrakło Peipera, gdy poeci lubelscy i wileńscy zaczęli potrząsać również „nowości kwiatem” grupa krakowska straciła prymat. Przejął go Czechowicz.

Dzisiaj jesteśmy świadomi już tajemnicy, że tam gdzie zaczęła się poezja Czechowicza, skończył się Przyboś i jego podwawelskie nowatorstwo. I nawet przy najlepszych chęciach, nie mogę uwierzyć, śledząc dość skrupulatnie prasę i literaturę krajową, w słowa Przybosia zamieszczone w tomie jego szkiców „Linia i Gwar”: Czy „już nie wierzycie, że artysta może być wierny sztuce i tylko sztuce, a więc sprawie żądającej największego wysiłku twórczego i bezwzględności? Że więc artysta może nie kierować się w sądach o dziełach sztuki żadnymi postronnymi względami?”

Naturalnie, że taki fakt może się zdarzyć, tylko nie w wypadku Przybosia i nie w Polsce. Od wydania książki Przybosia

upłynęło zaledwie trzy lata, a ile zmian ile jawnych buntów prasa polska zanotowała przeciwko fetyszowi z Krakowa. Przypomnijmy choćby szesnastoletni Festiwal Młodej Poezji Polskiej w Poznaniu, który jak pisze sprawozdawca „Współczesności”, Witold Dąbrowski, „był ni mniej ni więcej tylko buntem przeciwko Julianowi Przybosiowi”. Młodzież postanowiła otrząsnąć się ze zbyt już długo trwającego terroru autora „Najmniej słów”. A przecież nie tylko o poglądy artystyczne tu chodzi, ale o poglądy w ogóle Przybosia, który jak prasa twierdzi, umiał zakrzętnąć się w Polsce Ludowej. A tych pozycji nie wyrobił sobie, studiując Horacego?



Szkic ten, to moje prywatne rozważania, notatki, kontakty z wierszami i poetami. Istotą takich monologów jest zazwyczaj smak autora, jego artystyczne upodobania, połączone z chęcią zrozumienia rzeczy dalekich, których jego anteny artystyczne nie odbierają.

Pominałem w nim wiele, całą grupę „Kwadrygi”, która odegrała dużą rolę w okresie międzywojennym. Z niej wyszedł Gałczyński, poeta szlachetny, niestety zbyt popularny, korzystający z łatwizny i tromtadracji. O Gałczyńskim powoli zapomnimy, a na użytek codzienny zatrzymamy z jego poezji zdania-skróty, kalambusy, persyflaże i mgiełkę anińskiej nocy z kroplą prawdziwej, spontanicznej liryki.

Więcej uwagi należało poświęcić Tuwimowi. „Kwiaty polskie”, aczkolwiek o tradycyjnej formie i jego „Śłopiewnie”, pełne językowych niespodzianek, poruszyły z posad poetyckich tradycjonalistów. Powojenny Wierzyński, to już zupełnie inny poeta, ukształtowany i samodzielny, którego indywidualność wyszła poza granice Skamandra.

Poetki, Jasnorzewska-Pawlikowska i Iłakowiczówna, spokrewnione ze skamandrytami, czekają na swoje miejsce w literaturze. Obok Tuwima i Wierzyńskiego, to najbardziej dojrzałe i samodzielne talenty.

Rewolucjoniści, a zwłaszcza rewolucjoniści-nowatorzy, nie zawsze są rozumiani i szybko popadają w niełaskę. Peipera otacza dziś nieusprawiedliwione milczenie, tak jak nie docenia się Brzękowskiego, Wata, Czechowicza.

Poezja w Polsce toczyła się i toczy szerokim polityczno-narodowym korytem. Jej aspekt czysto poetycki, przy bezustannie bijących na alarm dzwonach, powstaniach i walce o niepodległość, często nie dociera do ogłuszonego czytelnika. Poeta u

nas, prawem kaduka, stał się stróżem wolności politycznej. Naturalnie, bohaterszczyzna ta nie wyszła jej na dobre. Oddzielona od historii, stawała się niezrozumiała dla innych, przymierzona do właściwego, poetyckiego wzoru, traciła często właściwy swój pierwiastek — poezję. Od wieszczów Wielkiej emigracji wymagano czynów nadludzkich i pozapoetyckich. A cóż poezja, ten płomień działający na uczucia i wyobraźnię mogła w tych warunkach zdziałać dobrego? Poderwać do nieobliczalnego buntu? Tak też było!

Wacław IWANIUK

(Dokończenie nastąpi)

GRYF PUBLICATIONS LIMITED

PRZEDSTAWICIELSTWO „KULTURY”
I WYDAWNICTWO KSIĄŻKOWYCH „KULTURY”
NA WIELKĄ BRYTANIĘ

zaopatruje w książki polskie mając na składzie ponad
3.000 tytułów. Wysyłka natychmiast po otrzymaniu
z a m ó w i e n i a.

Katalogi bezpłatnie na żądanie.

WYSYŁAMY BEZPOŚREDNIO DO W. BRYTANII,
ST. ZJEDNOCZONYCH, AUSTRALII, BRAZYLII
I INNYCH KRAJÓW.

Na terenie Francji przedstawicielstwo:
„Libella”, 12, Rue St. Louis-en-l'Île, Paris 4°

BOGATY DZIAŁ NOWOŚCI

Pielgrzymka do źródeł

I. Prolog w Meksyku

Cmentarz w Meksyku. Dziś Zadzuszki. Meksykańskie rodziny jedzą i piją między grobami, słuchają gramofonów i radia. Dzieci się bawią, rwą kwiaty i jedzą cukrowe czaszki — *calaveras*. I to mi daje tytuł dla książki, którą postanowiłem napisać o Europie: „Calavera dla Europy”.

Bo „Calavera” to nie tylko czaszka, tym razem cukrowa. To także wierszowany nekrolog o osobie jeszcze żyjącej. Dziś wychodzą takie nekrologi w meksykańskich gazetach. Dziś, jedyny dzień w roku kiedy Meksykanin może napisać prawdę o generałach i politykach, milionerach i policjantach, którzy nim rządzą. Coś jakby rzymskie Saturnalia.

Europa, nasza stara Europa, dziś bynajmniej nie nosi trupiej czaszki. Przeciwnie, wygląda kwitnąco. Ale i trupa można tak uszmkować, że wygląda bardziej kwitnąco niż żywa osoba.

Dziś, po raz pierwszy od tysiąca lat, wyrosło pokolenie Europejczyków, dla którego nasza stara Europa jest właśnie takim uszmkowanym trupem, gdyż straciła dla nich wszelkie znaczenie, jak zresztą cała przeszłość.

Françoise Sagan niewątpliwie wychowana była w najlepszej europejskiej tradycji. Pisze pod znakiem Stendhala i Prousta. Ale gdy bohater jej książki „Dans un mois, dans un an” znajduje się przypadkiem w Poitiers, skarży się: *Mais que fait-on à Poitiers?* — Co można robić w Poitiers? Wątpię czy ten młody Europejczyk zdaje sobie sprawę, że gdyby jego przodkowie przegrali, a nie wygrali bitwy właśnie pod Poitiers, on byłby dziś muzulmaninem. Potem jedzie do Włoch. I tam mu nudno. Bo, jak mówi *Rien n'est comme une ville d'Italie, qu'une autre ville d'Italie.* O Rzymie! O Florencjo! O Wenecjo!

Ale niedługo później wpada mi w ręce bardziej drastyczne i tragiczne świadectwo. Czytam w gazecie, że znaleziono bombę plastikową pod jednym z portali katedry w Chartres. Zostawił ją tam jakiś nieznaną *plastiqueur*. Na szczęście nie wybuchła. Ale co za świadectwo o mentalności „obrońcy walorów europejskich”! Jeszcze gorsze jest to, że to nikogo nie obchodzi. Gazeta wydrukowała małą wzmiankę gdzieś na stronie dwudziestej trzeciej... I to wszystko.

Aby zrozumieć Europę nie wystarczy mój pierwotny plan, według którego książka miała być mozaiką różnych krajów europejskich z końcowym rozdziałem ogólnym. Potrzebny mi będzie rozdział o źródłach Europy. A żeby znaleźć te źródła będę musiał jechać nie tylko do krajów klasycznej kultury europejskiej, ale i pielgrzymować dalej wstecz, do Azji.

Normandia

Ląduję w Le Havre. Wpada mi w oko pierwsza gazeta europejska z dziesięciocentymetrowymi literami nagłówka: „LIZ TAYLOR EST AU BORD DU GOUFFRE”. Gazeta nazywa się „Ici Paris”.

Katedra w Rouen. Melanz elementów architektury z różnych czasów, różnych stylów. Tylko geniusz malarski Monnet'a potrafił z tego zrobić integralną całość.

Caen, stolica Wilhelma Zdobywcy. Abbaye-aux-Hommes, Abbaye-aux-Dames, fundacje Wilhelma i jego żony. Chrześcijaństwo ciągle jeszcze trzeba Normandom objaśniać środkami dostępnymi ich mentalności. Św. Trójcę przedstawia się jako trzech identycznych mężów. Zamek, potężny nawet w swej ruinie, to jeszcze bardziej wyrazista próbka tej mentalności.

W Bayeux. „La tapisserie de la Reine Mathilde” przedstawia techniką dzisiejszych *comics* zdobycie Anglii przez Wilhelma. Twórca jej znał wszystkie noowczesne tricki swojego zawodu. Jest tam nawet *flash-back*. Przedstawia się pogrzeb króla Edwarda, a kilka scen dalej widzi się go na łożu śmierci.

Bayeux, późny wieczór. Przechadzka po zaciemnionych ulicach. Zakręcam i widzę ciemną sylwetkę katedry z jej trzema wieżami na tle granatowego nieba. Idę dalej. Sylwetka się powiększa i robi się bardziej wyraźna. Znowu zakręcam. Sylwetka znika. Niebo blednie w jaskrawym oświetleniu garażu. Szydł: „Renault-Total”.

Jako Europejczyk mam dla Normandów uczucia ambiwalentne. Wdzięczny im jestem za ich wkład do naszej Europy. Ale trudno mi im wybaczyć, że odkryli Amerykę i stworzyli Rosję.

Paryż

Każdy z nas ma swój Paryż.

W hall'u mojego hotelu skarży się zaafierowana paniusia z Limy: „No, ten Paryż. Całe życie oszczędzałam, zbierałam pieniądze żeby go zobaczyć. Teraz tu jestem. No i co? Brudniejszy od mojej Limy, taki zacofany. I drogi. Zresztą byłam w Buenos Aires, a kiedy się widziało Buenos Aires, to się Paryż może schować”.

Où sont les rastaquouères d'antan?

Vaux-le-Vicomte

Król: burżuj.

Fouquet, wszechmocny intendent Ludwika XIV, buduje sobie pałac, którego wertykalne linie są jakby symbolem burżuja pchającego się w górę. Zaprasza króla do Vaux. Ludwik, zazdrosny, patrzy się na otaczający przepych. Aresztuje Fouquet'a i zabiera mu pałac, *embryon Versailles*, jak go nazwał Sainte-Beuve. Następnie buduje własny, którego ogromne linie horyzontalne symbolizują królewską żądzę władzy.

Dziś Vaux należy do M-me S., wnuczki prezydenta Casimir-Perrier... i właścicielki wielkiej cukrowni.

Dijon

Burgundia leży na skrzyżowaniu dróg europejskich, z południa na północ, ze wschodu na zachód. Nic więc dziwnego, że chciano z niej zrobić centrum zjednoczonej Europy. Pierwszy miał ten pomysł Ludwik Pobożny. Dał starszemu synowi, Lotarowi, ziemię od Morza Północnego do Tyreńskiego, rozdzielające Francję i Niemcy, z Burgundią w centrum. Ostatni, to Heinrich

Himmler. Objaśniał swojemu fińskiemu masażystie Karstenowi, że chciałby stworzyć nową Burgundię jako spójnię między Francją a Niemcami. Oczywiście chciał ją stworzyć wyłącznie z terytoriów francuskich.

Polityka burgundzka przegrała, ale zdołała w niecałe sto lat stworzyć Północny Renesans, którego wspaniałe resztki widzieć dziś można w starym pałacu książęcym: nagrobki, ołtarze, portrety, broń. A w pobliskim Champimol „Studnię Mojżesza”. Artyści francuscy współpracowali tu z flamandzkimi.

Ale w Dijon jest też świadectwo z innego okresu, w którym Burgundia przodowała w Europie wieku XI-go, wieku Cluny i Citeaux. W jednej z witryn pałacu jest wystawiony kubek św. Bernarda. Zrobiony z najprostszego materiału, może z palonej gliny. Ale ma drogocenną złotą oprawę z XV wieku. Co by na to św. Bernard powiedział?

Mediolan

Francuscy przyjaciele ostrzegali mnie przed Mediolanem: „Tam ludzie mówią tylko o pieniądzech”. (Przypomniał mi się Edward Gibbon, który tam był w drodze do Rzymu: *Milan est une ville plutôt vaste que belle...*). Egzorcyzuję Gibbona duchem Stendhala.

Tego nawet w Nowym Jorku nie ma. W godzinach obiadowych sprzedaje się na ulicy kawior. Chcę się przypatrzeć, ale sprzedawca mi mówi: „Nie gapić się, kupować albo odejść!”. O, cieniu Manzonięgo!

W pociągu, w drodze do Rzymu wpada mi w ręce numer mediolańskiej „Epoca”: *Milano vi chiama per darvi la prosperita* (Mediolan was woła, aby wam zaofiarować dobrobyt). Także turyńska „Stampa” z listem skarżącym się, że życie w Turynie „gdzie się produkuje” (głównie Fiaty) jest nudne w porównaniu z Mediolanem „gdzie się sprzedaje”.

Rzym

Mieszkam u starego przyjaciela, Hiszpana. Ojciec jego żyje we Włoszech od 25-ciu lat, od Wojny Domowej. Ale się tu jeszcze nie zadomowił.

Mówimy o Neapolu. „To jedyna kolonia hiszpańska, której straty nie żałuję”.

W kościele św. Piotra. „Co za rozmach! To Renesans. I pomyśleć, że to wybudowali Włosi”.

Gdzie jest Grecja?

Budzi mnie wschód słońca i wychodzę na pokład. Na zachodzie jakaś wyspa, na wschodzie skaliste wybrzeże. Po raz pierwszy widzę Grecję. Patrzą się na nią z odpowiednim wzruszeniem i entuzjazmem. Potem okazało się, że to była Albania.

Znów śpię, znów się budzę. Znów na pokładzie. Nowa wyspa, jakieś miasto, napisy. SHELL SERVICE. FOLLOW THE ARROWS. SUIVEZ LES FLECHES. BITTE DEN PFEILEN FOLGEN. SEGUITE LE FRECCHE.

BP GARAGE.

WELCOME TO GREECE. MOBIL OIL.

Nareszcie wiem gdzie jestem.

Pociąg długo jedzie wąwozem między górami. Nareszcie na horyzoncie błękitna smuga. Mały chłopiec woła do jeszcze młodszego brata: Thalassa! Thalassa!

Zupełnie jak u Ksenofonta.

(Przypomniał mi się on potem w Salonikach w rozmowie z urzędnikiem banku, gdzie zmieniałem pieniądze. Miał jugosłowiańskie dinary, ale nie miał tureckich lirów.

— Widocznie Jugosławia jest lepszym sąsiadem dla Grecji, niż Turcja.

— My nie mamy dobrych sąsiadów.

— No, a morze?

— No, tak, morze to nasz jedyny dobry sąsiad).

Patras

O czym nie pisał Brillat-Savarin

Kuchnia grecka ma nienajlepszą reputację. Nawet Anglicy, specjaliści *understatement* piszą o niej w „superlatywach”:

Greece affords the travelling Englishman the unusual pleasure of travelling in a country where the food is even worse than in his own country.

(Grecja ofiarowuje podróżującemu Anglikowi niezwykłą przyjemność podróżowania w kraju, gdzie jedzenie jest jeszcze gorsze niż w Anglii).

Greek food is so bad, that it makes it difficult for one not to believe in absolute evil, as opposed to the mere absence of Good.

(Greckie jedzenie jest takie niedobre, że trudno nie wierzyć w istnienie absolutnego zła, a nie tylko w nieobecność dobra).

Zasiadam więc do pierwszego greckiego jedzenia i czuję się jak Kierkegaard: boję się i trzęsę.

No, tak źle nie jest, ale...

Ale, po pierwsze grecki kucharz widocznie przychodzi do roboty o szóstej rano i opuszcza ją o siódmej. Przez cały dzień jedzenie podaje się zimne.

I, po drugie, jeżeli Anglia według Woltera „ma trzysta religii i tylko jeden sos”, a Francja, według złośliwej angielskiej repliki „ma wprawdzie trzysta sosów, ale w ogóle nie ma religii”, to Grecja ma jedną religię: prawosławie i jeden sos: pomidorowy. Wszystkie jedzenie w nim tonie. Z tym sosem prowadzę wojnę, ale tak czy owak połowa jego zawsze jakoś ląduje na mojej koszuli.

Olimpia

„Jedźcie do Olimpii aby zobaczyć dzieła Fidiasza, bo nieszczęśliwie jest bez tego umrzeć”, pisał historyk Arrian, gdy Grecja już była rzymską prowincją.



Widać w Olimpii dlaczego Grecja była kolebką europejskiego indywidualizmu.

Tu pisano ody na cześć zwycięzców w grach olimpijskich. Tu zaofiarował swój hełm Zeusowi Milcjades. Można go dziś tu widzieć; nosi jeszcze jego imię. I tu Fidiasz zostawił nie tylko wielki posąg Zeusa, ale także i mały kubek z napisem: „Fidiou Eimi” (jestem Fidiasza).



Na praksiotelesowego Hermesa trzeba patrzeć i z tyłu i z przodu. Wtedy się widzi ile grecka sztuka zawdzięczała nauce. Gra muskułów świadczy o tym ile Praksioteles, prawie dwieście lat po Fidiaszu, nauczył się od greckich lekarzy, którzy naukowo studiowali anatomię.

„Hermes” to także najpopularniejsza marka greckiego mydła. Sądząc po jego zapachu używał go nie Hermes ale odaliski, i to nie Ingres'a ale Delacroix.

Miceny

Tak zwany „Grób Agamemnona” i „Skarbiec Atreusza”. To pierwsze wielkie wnętrza architektury europejskiej; z niego wywodzi się rzymski Panteon i konstantynopolska św. Zofia.

Argos

Argos, ongiś najważniejsze miasto Grecji, dziś zredukowany do roli węzła kolejowego drzemie popołudniową sjęstą. Ciszę przerywają okrzyki:

— Chrystus!

— Orestes!

Wołają się dwaj kelnerzy.

Ateny

Ateny ukoronował poeta koroną fiołkowego światła. Ach, to greckie światło! Gdy je po raz pierwszy zobaczyłem po prostu nie wierzyłem oczom. Przecież nie ma maków *tak* czerwonych! Po raz pierwszy w życiu dziękowałem Bogu, że nie jestem malarzem. Bo gdybym był, to bym oszalał z poczucia niemocy wobec tego światła i jego kolorów. Rzeźbiarzom ułatwiło ono robotę, bo wszystko robi plastyczne, tykalne, ale jak ma biedny malarz z jego dziełami konkurować?



Szkoda, że Winkelmann nie mógł być w ateńskim Muzeum Narodowym. Zupełnie inaczej by o sztuce greckiej pisał.



Wśród tyłu arcydzieł z dwoma i trzema gwiazdami u Baeckera wpadają mi w oczy dwa maleńkie fryzy micońskie, pierwsze okazy w Europie sztuki *niebłagonadjożnej*.

Na pierwszym procesja religijna w stylu znanym z Egiptu i Babilonii. Ale w procesji biorą udział nie królowie czy kapłani, a... osły.

Na drugim: inny stary znajomy z Egiptu — scena bankietu. Ale raczej w stylu uczt Trymalchiona.

Les spectacles d'Athènes

Teatr Narodowy: „Dialogues des Carmelites” Bernanosa.

Teatr Akropol: „Królowa Strip-Tease'u Rita Cadillac.

Teatr Rex: „Pretty Faces” — Wielki Show, z sześcioma „Girls” i „hyperkosmike Kalonnoi” (pięknością spoza tego świata), „Shirley Atkins” z Las Vegas.

Teatr Rex (następny program): Balet Śląsk.

Dialogues Acropolitains

Turyści, turyści.

Głównie Niemcy sądząc z podsłuchanych rozmów.

Aber s'ist doch alles verboten, sogar das Photographieren — Die sind doch vermuckt.

(Ale tu przecież wszystko zabronione, nawet fotografowanie — Zupełnie zwariowali).

Aber es siebt wenigstens nicht so kitschig aus wie auf den Photographien, auf jeden fall.

(Ale chociaż nie wygląda tak kiczowo jak na fotografiach, na wszelki wypadek).

Wir leben für die Gelen wart und sparen für die Zukunft. Bei uns in Lichtenstein gibt es auch...

(Żyjemy dla teraźniejszości i oszczędzamy na przyszłość. U nas w Lichtensteinie też mamy...).

Niestety, a może dzięki Bogu — nie dowiedziałem się co oni w Lichtensteinie też mają.



Amerykanów też nie brak.

U stóp Akropolu zaafierowana turystka. Nareszcie zakończyła kupno fotografii. Zwraca się do reszty grupy, która już stoi w Propyleach: *Is it worth climbing up for?*

(Czy warto się tam wdrapać?).

Ateny i Nashville

Aby zobaczyć jak Partenon wyglądał w czasie Peryklesa, trzeba pojechać do Nashville, stolicy amerykańskiego stanu Tennessee. Tam stoi replika Partenonu kompletna i malowana.

Ale nie śmiejecie się. Bo tu Europejczyk, który dziś widzi Akropol, myśląc o replice w Nashville, powinien płakać raczej niż śmiać się. Ze wstydu.

Bo mieszkańcy Nashville mogą być dumni ze swojej repli-

ki. Wybudowali ją w 1896 r. na cześć setnej rocznicy stworzenia stanu Tennessee. Replika była częścią wystawy i wkrótce zaczęła się rozpadać. Ale Nashville nie chciał jej stracić. Odbudowano ją więc z materiałów bardziej solidnych.

A w Europie? Przez przeszło dwa tysiące lat Partenon się rozpadał i nikt się tym nie przejmował. Ilu Europejczyków się o to zatroszczyło przez ten cały okres? Zgadnijcie. Aż dwóch.

W XIV wieku kataloński biskup Megary Joan Boyl, napisał do swego suwerena Piotra Czwartego aragońskiego, że budynek Akropolu się rozpadają i że Ateńczycy kradną ich kamienie. Piotr odpowiedział na to rozkazem, żeby na Akropolu umieścić kompanię łuczników jako wartę. I napisał list-okólnik do wszystkich królów Europy, że w Atenach mają piękny i bezcenny skarb, który do nich wszystkich należy, więc niech o niego dbają.

I to wszystko. Bizantyńczycy zrobili w Partenonie kościół prawosławny, krzyżowcy przekształcili go w kościół katolicki. Turcy znów na meczet, potem w arsenał. Wenecjanie go bombardowali... Przez długie lata władali Partenonem Acciajuoli, bankierzy florentyńscy. Niestety, nie mieli w sobie nic z Medyceuszów...

Dopiero teraz archeologowie amerykańscy, greccy i europejscy odpowiedzieli na apel króla Piotra. Już czas.

Dafni

Mozaika Pantokratora w Dafni dawno była znana ze swego majestatycznego i ponurego spojrzenia. Ale dopiero kilka lat temu odkryto powód. Przy restauracji mozaiki znaleziono dwa metalowe pociski, które jakiś nieznanymi łaciński krzyżowiec wystrzelił z „arbalète” w oczy Pantokratora. W lewe oko nie zupełnie trafił, wyglądało dlatego nieco podwójnie.



W innych mozaikach z XI wieku widać, że florentyńscy historycy sztuki z Vasari'em na czele, po prostu zakrywają prawdę swoją hipotezą, że malarstwo się „odrodziło” we Florencji samorzutnie, nagle wyskakując jak Atena z czoła Zeusa.

Nie poszło to tak prosto. Plastyczność i dramatyczność, którą podziwiamy u Giotta, zaczęły się w Bizancjum, jak widać tu np. z mozaiki przedstawiającej wejście Chrystusa do Jerozolimy, z małym chłopcem co się wdrapał na palmę aby lepiej widzieć. W XII wieku, za Kommenów, sztuka bizantyjska przetrwała z mozaik na malarstwo i stała się wprost ekspresjo-

nistyczna. Głowa świętego z tego okresu, którą widziałem w muzeum w San Francisco, nie ma nic w sobie z bizantyjskiej hieratycznej sztywności.

Z Bizancjum ta nowa sztuka wyemigrowała do Pizy, z Pizy do Sieny, a ze Sieny do Florencji, gdzie ją geniusz Giotta przekształcił w zarodek malarstwa renesansowego.

Ale historycy sztuki bynajmniej się nie kwapią aby to mozolnie dowodzić. Łatwiej iść w ślady Florentyńczyków.

Delfy

Trzy rzeźby, trzy portrety młodzieńcze, trzy etapy sztuki greckiej.

Woznica — sztuka klasyczna, rodząca się z archaicznej.

Atleta Lizypa — sztuka klasyczna w swym apogeum.

Antinous — sztuka klasyczna w upadku.

Kreta

Dwie teorie sztuki.

W muzeum w Heraklion głos przewodnika objaśniający arcydzieła wystawione tu z pałacu Minosa przypomina mi inny głos, młodego amerykańskiego poety, na statku z Aten do Krety:

„Sztuka wychodzi od pieniędzy (*art comes from money*). Renesans powstał, bo europejska *free enterprise* przełamała więzy feodalne i stworzyła bogactwo. Artyści chcieli pieniędzy, więc pracowali...”

A teraz przewodnik: „...Artyści króla Minosa stworzyli te arcydzieła bo mieli czas nieograniczony i nie było wtedy pieniędzy...”

Do tych dwóch teorii mogę tylko dodać, jako naoczny świadek, że Helikon gdzie mieszkały Muzy to góra naga i kamienista.

Saloniki

Kościół Dwunastu Apostołów w Salonikach jest u stóp ulicy Amazonek.

Stambuł

Pierwsze wrażenie: światło.

Chciałbym napisać książkę objaśniającą różnicę kultury klasycznej i bizantyjskiej różnicami światła Aten i Konstantynopola. Chciałbym, ale nie wiem jak.

Ten pierwszy widok Stambułu podziwiałem z okrętu przez przeszło trzy godziny. Tyle trwała kontrola paszportowo-celna. Wielki sułtan Selim powiedział już czterysta lat temu: „Zdejm Turka z konia i staję się biurokratą”.



Nareszcie ląduję w Galacie. Gdzie się nie patrzy tam bank. na banku jedzie i bankiem pogania. Turek widocznie stał się nie tylko biurokratą, ale i burżujem.



Śniadanie w Piyer Loti Oteli. Z fotografii patrzy się na mnie znużonym okiem Pierre Loti. Próbuje dogadać się z kelerem po francusku, ale nadaremnie.

You speak only French? No English?

Pierre Loti patrzy się na mnie przygnębiony.



Z okrętu Święta Zofia dominowała sylwetkę Stambułu. Teraz idę do niej przechodząc koło okropnej czarnej fontanny, którą Kaiser Wilhelm wybudował właśnie między dwoma najpiękniejszymi budynkami miasta: Świętą Zofią i Niebieskim Meczetem. Mówi mi „Guide Bleu”, że *l'extérieur de Sainte Sophie n'offre rien de remarquable*. No, przesada, ale fakt faktem, że musztardowo żółta farba Św. Zofii nie pięknie się odbija od szarego koloru innych meczetów i, że minarety, choć upiększają całość, psują efekt swą niejednorodną formą. Ale o tym się po prostu zapomina kiedy się wstępuje do wnętrza. I nie tylko o tym. Choć pisarz z zawodu, nie wiem jak to wrażenie opisać. Po emocjonalnym szoku tego wnętrza, wychodzi się zupełnie oszołomiony.



Kościół św. Ireny, której imię oznacza pokój, jest dzisiaj Muzeum Artylerii.



Trzy meczety wielkiego Sinana mogą się mierzyć z najlepszą architekturą europejską, zwłaszcza Meczet Selima, najmniej-szy ale najbardziej w swej prostej koncepcji rewolucyjny. Turcy dobrze się nauczyli od Św. Zofii.

Osman, wódz Turków w Anatolii, rozkazał im w swym legendarnym testamencie: „Zdobądźcie Konstantynopol i prze-mieńcie go w ogród róż”. Rozkaz wykonali.



Budynek Patriarchy Greckiego, w dzielnicy Fener, wybija się z szarej sylwetki miasta swym niezwykle jaskrawym czerwonym kolorem. Grecki architekt miał chyba nostalgię za pomidorowym sosem.

Brusa

Najpierw śnieg, na szczycie ariackiego Olimpu. Potem woda, rzeki i kanały. Wreszcie miasto.

Śniegi Olimpu stworzyły jedną z najżyźniejszych ziem świata. Tu rosną owoce i jarzyny na amerykańską skalę. („Takić dużych nawet w Kalifornii nie mamy” — powiedział mi amerykański znajomy o tutejszych karczochach). Ale Turcy tu na długo nie zostali. Coś — instynkt czy przeznaczenie — pchało ich do Stambułu.

Z kilku dziesięciu lat, przez które Brusa była stolicą Turcji, został przede wszystkim Zielony Meczec. Imię jego architekta, Hadzi Ajwuz, znane jest chyba tylko specjalistom. A szkoda, bo warto jest tu przyjechać aby zobaczyć jego fantastyczną podwójną kopułę.

Ankara

Ankara to jedna długa ulica — Bulwar Ataturka, jedno wielkie mauzoleum — też Ataturka i jedno wspaniałe muzeum.

W ogromnej sali zgromadzone są zabytki Chetytów, których Ataturk uważał za „europejskich” przodków Turków (Turcy w ogóle mają lekkiego bzika na punkcie Chetytów i archeologii. Jeden z wielkich banków miasta miasta to Bank Chetycki; drugi to Bank Sumeryjski).

Jedno ze źródeł naszej Europy znajduję tu nie u Chetytów, ale u nieznanego narodu, który ich w Anatolii wyprzedził, w drugiej połowie trzeciego tysiąclecia przed Chrystusem. Ich stolica, Aladza Hüyük, była niedaleko Ankary. Zabytki ich wystawione są w muzeum. Jest tam pierwsza korona w europejskim stylu, pierwsze berło i... pierwszy dwugłowy orzeł, nasz stary znajomy z Bizancjum, Austrii i Rosji.

Konia

Krajobraz serca Turcji, który oglądam z autobusu Ankara-Konia, wygląda mi jakoś znajomo. Gdzie przedtem widziałem „te ziemie jałowe i niezaludnione, co nic nie ofiarują zmysłom”? Właśnie w rodzinnej ziemi św. Jana od Krzyża, w Kastylii. Konia, stara stolica Seldżuków, jest jak kastylska Avila „miastem rycerzy i świętych”. W Avili urodziła się św. Teresa, w Konii pogrzebany jest wielki mistyk muzułmański Dzeleledin Rumi, który tu zawędrował z dalekiego Chorasanu.



W Konii odwiedzam ojca dobrego mojego tureckiego przyjaciela z Nowego Jorku. W biurze jego wisi ornamentalny podpis sułtana Abd-ul-Medzida, któremu służył jego dziadek. Pod nim dwa teksty Koranu wyhaftowane przez babkę i jeszcze jeden napis.

„Cóż to za napis?”

„To nasze ludowe przysłowie”.

„Jakie?”

„Nie mów, jeśli nie masz nic do powiedzenia”.

Belgrad

Voyage au bout de la Nuit de Belgrad.

Pociąg mój przyjeżdża do Belgradu z półgodzinnym opóźnieniem. Jest kwadrans po północy.

„Gdzie tu jest hotel?” — pytam się urzędnika w dworcowym urzędzie turystycznym.

„Hotel Beograd o pięćdziesiąt metrów”.

Nie widzę żadnego hotelu o pięćdziesiąt metrów. Biorę więc, na wszelki wypadek, tragarza i idziemy do Hotelu Beograd.

Hotel Beograd jest jakieś dobre pół kilometra od dworca. Ale pokoju nie ma. „Nisza”.

Idziemy do Hotelu Moskwa. Znów „nisza”. Hotel Grand, Escelsior, Bałkan, Prag, Europa. Wszędzie „nisza”, raz z dodatkiem „jeben ti majku”. (Tragarz mi objaśnia, że to nie jest komplement rzucony w moją czy jego stronę, ale ogólny komentarz o sytuacji). Robi się druga rano.

Wracamy na dworzec. Dworzec zamknięty. Koło niego kawiarnie też zamknięte, ale ludzie siedzą na krzesłach z głowami na stołach i próbują spać. Widocznie nie jestem jedynym, który nie mógł znaleźć w Belgradzie łóżka na noc.

Siadam na wolnym krześle, ale bynajmniej nie chce mi się spać. Przydaje mi się tu znajomość serbskich przekleństw, pamiętka młodocianych lektur Szejka. Siedzę więc i przeklinam Jugosławię do wszystkich serbskich choler. Tragarz mi przytakuje głową (potem okazało się, że jest Albańczykiem).

Dosiada się do nas Jugosłowianin, inteligent. Mówi mi po francusku, że on był w Paryżu i że tam też ludzie śpią w kawiarniach, w parkach i w bramach — bo hotele przepełnione.

W Hiszpanii wyrobiłem sobie instynkt, który mi radzi z kim można a z kim nie można żartować w sprawach, które trzeba brać na serio. Odpowiadam mu więc:

„Jeśli to co widzę w Jugosławii jest komunizmem, to ja się zrobię faszystą”.

Pan X mi mówi, że mój tragarz nie zna się na rzeczy. „To chłop”. Ale *on* mi znajdzie pokój. Idziemy znów na wędrowkę, tym razem w trójkę. Do hotelu Beograd, Grand, Excelsior itd. Ale znów wszędzie „niszta”. Jest już czwarta rano; nasz nowy znajomy łapie tramwaj do domu.

Zaczyna się robić jasno. Siedzimy w parku, koło nas siedzą studenci z książkami. Kują się na jakieś egzaminy. Wyciągam z walizki „Time” i czytam.

Czytam artykuł ilustrowany fotografią Chruszczowa i Mao Tse-tunga. Dosiada się do nas drugi Jugosłowianin.

„Wiecie czyja to fotografia?”.

„Wiem”.

„To są tylko dwie tuby gramofonowe. A wiecie czym głosem przemawiają?”.

„No?”.

„Barucha”.

„Jakiego Barucha?”.

„Tego żydowskiego bankiera z Nowego Jorku”.

Meksyk zrobił mnie czułym na ironię. Pan Y pachnie mi jakoś ironicznie. Nie myślę się, bo pan Y okazuje się bardzo sympatycznym człowiekiem, którego nasiłci wpakowali do Mauthausen, między innymi za to, że miał żydowskiego współnika. W Mauthausen nabawił się bezsenności. Zaprasza nas do siebie na poranną kawę.

Gdy wychodzimy jest już piąta. Kursują tramwaje. Jedziemy do Kalemegdanu, starej twierdzy tureckiej, obecnie przemienionej w piękny park. Stoi tam pomnik na pomniku. „Kto ten pan na pomniku” — pytam się tragarza.

„To poeta”.

„A ten drugi?”.

„Też poeta”.

Moja opinia o Jugosławii podnosi się nieco.

Wracamy do miasta. Otwarte jest już biuro Jugosłowiańskiej Linii Lotniczej. Kupuję tam bilet do Dubrownika na jutro. I znajduję tam pokój w prywatnym mieszkaniu, gdzie się mogę dziś przespać.

Ostatnia wędrowka. Nareszcie pokój, a raczej nareszcie łóżko. Wisi nad nim obraz, a raczej bohomas św. Michała. Czerwony płaszcz archanioła wygląda jak by go namalowano pomidorowym sosem. Ale i to mnie nie zraża. Padam na łóżko i śpię.

La nuit de Belgrade est enfin arrivée à son bout.



Wstaję i chodzę po Belgradzie. Wszędzie widzę wpływy greckie. W Muzeum Narodowym złote maski wykopane w Terebiszcie, to prowincjonalne wydania masek miceskich. W Muzeum Etnograficznym stroje ludowe, broń i instrumenty muzyczne, jakby żywcem wzięte z Homera. W Jugosławii epoka heroiczna przetrwała do naszych czasów. A potem, na ulicy budynki Narodowego Banku i Centralnego Komitetu Związku Komunistów Jugosławii z fasadami wyposażonymi w ogromne doryckie kolumny.



Ameryki tu też nie brakuje. *Blue jeans* to mundur młodego pokolenia. Na pośladkach wyhaftowane figury „Buffalo Bil” czy „Old Pete”. Nie brak też domorośłych Presley’ów. A na afiszu reklamowym domowego trunku „Kokta Kokta”, zaprasza do niego kopia Jayne Mansfield, z odpowiednim wypięciem.

Dubrownik

Klasa średnia europejska stworzyła swoją własną arystokrację i patrycjat, który wybudował sobie najpiękniejsze miasta Europy — Wenecję, Brugges, Lubekę, Dubrownik. (Mówię tu nie o poszczególnych budynkach, ale o całym mieście jako dziele sztuki).

Patrycjat Dubrownika popełnił jedyne w historii kolektywne samobójstwo. Gdy Kongres Wiedeński potwierdził śmierć starej republiki, rodziny patrycjuszów postanowiły wymrzeć. Młodzi wyrzekli się małżeństwa, a już pobrani — dzieci.

Historię Dubrownika mógłby napisać Burckhardt — patry-

cjusz bazylejski. Ale pociągnęły go bardziej Grecja, Rzym i Włochy. Szkoda.

Split

Dioklecjan, jako Rzymianin, miał pociąg do kolosalności. Znużony władzą, wrócił do swego rodzinnego miasta i wybudował sobie na emeryturę pałac — tak kolosalny, że zmieściło się w nim całe miasto. To miasto, to właśnie Split. Stworzyli je uciekinierzy przed najezdami „barbarzyńców”, przekształcając pałac na warownię. Mniej więcej w tym samym czasie, uciekinierzy w Galii przekształcili rzymską Arenę w Arles na warowny zamek. To jeden ze sposobów powstawania miasta w naszej Europie.

Mauzoleum Dioklecjana przekształcili chrześcijanie w katedrę. Ale zostawili fryz z wielkim portretem ich prześladowcy.

Na drzwiach katedry wisi dziś afisz z obrazem męczennika, z krzyżem i palmą. Na afiszu napis chorwacki. „Krew męczenników to nasienie Kościoła”. Wątpię czy napis zwrócony jest do Dioklecjana. Chyba na nowszy adres.

Przed zamkiem arcydzieło Mestrovic'a. Posąg św. Grzegorza z Ninu. Jedyne nowoczesne posąg, który się może swą monumentalnością mierzyć z Mojżeszem Michała Anioła.

Triest

„Jakby to było pięknie gdyby wszystkie narody się połączyły i nie byłoby wojen”.

Rozmówca mój mówi po niemiecku, ale myśli po włosku. „Jakby to było *pięknie*...” zamiast „Jakby to było *dobrze*”.

Wiedeń

W Schönbrunnie, w Wielkiej Galerii.

„W 1815 roku — mówi przewodnik — tańczył tu Kongres Wiedeński”.

„A 3-go czerwca ubiegłego roku — dodaje, pokazując na miejsce tuż pod wielkim portretem Marii Teresy — siedzieli tu Chruszczow i Kennedy”.

Sic transit gloria Europae.

„Bałkany zaczynają się od Dworca Południowego”. Dawniej jeszcze mówiono w Wiedniu, że Bałkany zaczynają się na „Landstrasse”, szosie wiodącej na Południowy Wschód.

Myślę o tym, nachodząc na budynek z szyldem „Kinderheim österreichischer Fezfabrikanten”. Dom dziecka austriackich fabrykantów fezów.

Wienerwald, las podwiedeński, lekki i przewiewny, musiał Bóg chyba stworzyć tańcząc walca.

Kultura, to asymilacja.

Nie ma chyba instytucji bardziej wiedeńskiej niż kawiarnie. Ale kawiarniany Kolumb, Kolschitzky, przyjął ją od Turków.

Siedząc w wiedeńskiej kawiarni słyszę meksykański szlagier „Alla en el rancho grande”. Potem hawajską melodię „Aloha Oe”. Obydwie brzmią jak walce.

Akwizgran

Według Hegla i Rankego, nasza Europa powstała z kontaktu starej cywilizacji grecko-rzymskiej i nowych sił celtycko-germańskich. Słowianie nie grali tu żadnej roli — byli i są „poza historią”.

Teorię tę trudno historycznie uzasadnić. Europy dzisiejszej i wczorajszej nie można wprost zrozumieć bez Słowian — nie mówiąc już o jutrzejszej.

Zamiast Hegla i Rankego, lepiej słuchać ich austriackiego kolegi po fachu, Fallmerayera. On to pierwszy objaśnił różnicę rosyjsko-europejską, przez bizantyjską spuściznę Moskwy. Jako oficer przydzielony do armii Aleksandra I-go, widział kozaków pojących swe konie w Sekwanie i przepowiadał, że zaczyna to nową epokę w historii Europy.

Hegel i Ranke mieli niewątpliwie na myśli Akwizgran, gdzie Karol Wielki stworzył pierwszą wielką syntezę — na skalę europejską — elementów grecko-rzymskich i germańsko-celtyckich. Przed nim były tylko syntezy lokalne. Ale pierwsze nowoczesne użycie słowa „Europa” znajdujemy w Kronice hiszpańskiej z okazji wielkiego zwycięstwa jego dziadka, Karola Martela nad Arabami.

Kaplica pałacu Karola Wielkiego; dziś część katedry symbolizuje tę syntezę. Formę swą — i pewne kolumny — wziął jej architekt z bizantyjskiego kościoła San Vitale w Rawennie, a ornamentalne metalowe kraty — z nagrobka Teodoryka Wielkiego, króla Ostrogotów, z tej samej Rawenny.

Hildesheim

Syntezę europejską Karola Wielkiego niezadługo przerwała jego śmierć i Europa jego wkrótce rozbiła się na ośrodki lokalne.

Dlatego to Spengler i za nim Toynbee datują urodzenie cywilizacji zachodniej tj. „naszej” Europy, od roku 1000. Zgadza się z nimi historyk architektury europejskiej Nikolaus Pevsner. Omawiając kościół św. Michała w Hildesheimie, pisze, że po tym renesansie kultura europejska miała już nieprzerwany rozwój.

Jadę więc do Hildesheimu, do kościoła św. Michała i do katedry, drugiego wielkiego dzieła biskupa Bernwarda, tuż po r. 1000.

Katedra hildesheimska to adaptacja rzymskiej bazyliki, a kolumna Bernwarda przedstawia życie Chrystusa w stylu kolumny Trajana.

Figury na tej kolumnie, a także na wielkich drzwiach Bernwarda, są jednak w stylu nie klasycznym a germańskim.

Sufit kościoła św. Michała namalowany jest w stylu bizantyjskim, przodującym wtedy w Europie.

Biało-czerwone łuki tego samego kościoła wzięte są żywcem z Wielkiego Meczetu Kordoby, do której jechali na studia: uczona mniszka Hroowitha z pobliskiego Gandersheim, Gerbert z Reimsu, późniejszy papież Sylwester II, najcześniejszy mąż epoki.

A Słowianie gdzie? — O kilkanaście, najwyżej kilkadziesiąt kilometrów. Daleko na zachód od Elby mieszkali wtedy „Lüneburger Wenden” — resztki ich słowiańskiego języka zanotowano jeszcze w XVIII wieku.

Tak powstawała nasza Europa.

J. A. LANGNAS

Wiersze

PIEŚŃ SUCHEGO JĘZYKA

CHÓR

*Najlepsza jest cisza
Która nic nie mówi,
Niczego nie naucza,
Niczemu nie chce wierzyć.*

*My, ludzie głodni,
O bladych twarzach
I spieczonych wargach
Nie prosimy o nektar,
Ni o mannę niebieską.
Za żadną cenę
Nie łakniemy zbawienia
Od głodu i od czczości.
Bo cenimy siebie i swój brak
Bardziej niż obietnice,
Którym trzeba się sprzedać,
By je mieć.*

*Najlepsza jest pieśń bez słów —
Pieśń suchego języka.
Pieśń ludzi głodnych,
Którym głód, czczość
Mówi wszystko.
Czemu można uwierzyć bez wiary.*

GŁOS PIERWSZY

Mówiłam do nich: Pić.
 Dajcie mi pić, mówiłam,
 Bo mi w gardle zaschło
 I język mam spieczony,
 Bo nie mogę przelknąć sliny.
 Dajcie mi pić, mówiłam
 Łąknę wody żywej.

GŁOS DRUGI

Zamilcz. Czy nie widzisz,
 Że nie warto?
 Nikt nas tu nie słucha,
 Ani ciebie, ani mnie.
 Ty mnie zresztą też nie słuchasz.
 A ja nie chcę słuchać twego jęku.
 Manna nie pada z nieba.
 O krew łatwiej, niż o wodę.
 Nie proś więcej. Zamilcz.

CHÓR

Najlepsza jest cisza,
 Która nic nie mówi,
 Nic nie obiecuje,
 Nikogo nie pociesza.
 Bo nie mówiąc, nie kłamie.
 Tylko słowa kłamią.
 Cisza mówi bez słów.

CZAROWNIK

Dzieci! W górę serca.
 Bo prośby wasze zostały wysłuchane.
 Niech w was wstąpi nadzieja,
 Woda spłynie z chmur,
 Widzicie, idą chmury,
 Woda spłynie z chmur
 Napelni wasze studnie,

Napelni wasze serca.
 Ci, którzy pragną
 Zostaną napojeni.
 Ci, którzy łakną...

GŁOS TRZECI

Kłamiesz. Te chmury są złudzeniem.
 Tu nie pada nigdy deszcz.
 I ja także wierzyłem
 W życiodajną, Bożą łaskę.
 I ja także czekałem.
 Moje wargi wyschły.
 Tu nie pada nigdy deszcz.

CHÓR

Manna nie pada z nieba
 Woda nie spływa z chmur.
 Człowiek wierzy w chmury
 A one go mijają, wiek po wieku,
 Uśmiechnięte, niedościgłe,
 Nie dla ludzi.

Najlepsza jest cisza,
 Która nic nie mówi,
 Niczego nie zwiastuje,
 Nikogo nie pociesza.
 O krew łatwiej
 Niż o wodę...

ZMIESZANE GŁOSY

Przetnij żyły, pij krew...

GŁOS OSTATNI

Siedzę tu, pod palmą,
 Na oazie,
 Spiewam pieśń dziękczynienia.
 Taka pieśń ma smak wody

*I szeleści, jak deszcz.
Dziękuję Ci, Boże,
Że nie jestem, jak inni
Na pustyni,
Których spieczono wargi
Smaga wiatr.
Dziękuję Ci za to,
Że mię tutaj przywiodłeś
Do twego źródła.
W cieniu Twoich palm,
Żeby mi krew nie wyschła,
Bo nie jestem taki
Jak inni.*

CHÓR

*Niektórzy, którzy pragną,
Zostaną napojeni,
Znajdą wodę w cieniu palmy,
Ale którzy są niektórzy?
Innych cisza zaprowadzi
W nieobjęty przestwór smutku,
W wiekiustą pustynię,
Gdzie nie pada nigdy deszcz.*

*O nich lepiej nie pamiętać,
Bo ich pamięć zrani;
O nich lepiej nie mówić,
Bo ich słowa dotkną.
To są ludzie przekleci —
Ludzie o bladych twarzach
I spieczonych wargach.
Niezbędni są przekleci
Dla błogostawionych,
Aby mogła się objawiać
Boża łaska.*

LUDZKIE GŁOSY

*Dla nas nie rosną palmy,
Dla nas nie padają deszcze.
Rzuceni w byt,*

*Tęsknimy za niebytem.
Chcemy, by nas znów spowiła
cisza milczeniem.
Chcemy, by myśli zgasty,
Opadły ręce,
Przepaliły się pragnienia i żądze
Chcemy, by nie było Boga,
Ani łaski dla niektórych,
Ani piekła dla innych.
Chcemy nic już nie chcieć
I nie myśleć.
Najlepsza jest pieśń bez słów.*

*Taka pieśń ma smak słońca
I szeleści, jak piasek —
Pieśń suchego języka,
Nasza pieśń.*

Londyn, 1962.

Danuta Irena BIENKOWSKA

B A L L A D A
(C z a m p a)

*Zarzał o świcie mi czerwony mustang,
więc go złowiłem na lasso mych pragnień.
I przyuczyłem do siodła, do uzdy,
aby spokojnie i postusznie niósł —*

Koń wyrwał wodze i wywiódł na czampy.

*A teraz otom — od świtu do zmierzchu —
zamknięty w błędnych horyzontów pierścieni.
I drga powietrze gorączkowym dreszczem
— świat jak olbrzymi przyczajony zwierz,
a ja zgubiony w jego płowej sierści.*

*I krąg za kręgiem — lęk skacze do gardła —
jakby się nigdy nic nie miało zmienić.*

*A tylko susza ziele bielą skwarną
— cały cień świata, poza moim, zmarł,
cały świat przyszedł chleptać z mego cienia.*

*Ale gdy tylko wyjdę za ten krąg,
kiedy się zrównam z linią horyzontu,
wnet będzie ulga dla oczu i rąk,
i będzie strumień zielony i dąb,
i dzień jak wina wystającego stągiew.*

*Ale tymczasem noc w szronach jak dramat
i księżyc — zwierza mdle, okrutne ślepie.
I krąg za kręgiem — to samo, to samo —
i ziąb, i pustka i głusza, i ćma
— cała noc przyszła grzać się w moim cieple.*

*Ale gdy tylko wyjdę za ten krąg,
gdy tylko zimny, twardy pierścień przerwę,
wnet będzie ciepło, zacisze i schron,
i będzie okno złociste i dom,
i bujny ogień z dobrych smolnych bierwion.*

*Ale tymczasem — ni jawa ni sen,
i ani dębu, ni ognia, ni okna.
Ale gdy wyjdę za sen i za lęk,
ale gdy wyjdę za noc i za dzień,
ale gdy tylko wyjdę za widnokrąg...*

Quillen — Buenos Aires, 1962.

Maria ORZESZKOWSKA

Archiwum polityczne

Antyklimatek

„Stałem w kolejce do kasy mlecznego baru na Muranowie. Kasjerka urzędowała ślamazarnie. Dotarłem do niej wreszcie i spytałem dlaczego tak wolno idzie jej sprzedaż tych bloczków do kuchni.

— Przecież ma pani automatycznie liczącą kasę?

— To właśnie przez tę kasę, odpowiedziała. — Póki jej nie było, sprzedawałem błyskawicznie.

— Nie rozumiem.

— Proszę pana, dawniej liczyłam na dużym papierze, liczę szybko. Teraz muszę wystukiwać cyfry, maszyna odbija je małutkimi czcionkami na wąskiej taśmie. Muszę ją obdrzeć z rolki i sumować ręcznie. Te cyferki źle widać, myślę się i to przez to.

— Więc maszyna jest zepsuta, skoro sama nie dodaje?

— Nie, skądże, taka droga maszyna i zepsuta. Jest dobra. Tylko mnie nie wolno naciskać tego guziczka adiatora, bo się potem kolejność pozycji nie zgadza przy kontroli”.

Powyższy obrazek wyciąłem z reportażu Aleksandra Małachowskiego pt. „Rzeczniepospolita” (*Przegląd Kulturalny* nr 28 (515)).

Nieszczęsna kasjerka w barze mlecznym na Muranowie dysponowała wprawdzie nowoczesną maszyną do dodawania, ale nie wolno jej było naciskać klawisza sumującego — bo wówczas papier na wałku przesuwany o jeden odstępek — co utrudnia kontrolę.

Epizod opisany przez Małachowskiego symbolizuje klimat Polski Ludowej. Z jednej strony nowoczesna maszyna, której celem jest usprawnić pracę kasjerki — z drugiej strony biurokratyczny nonsens, który w praktyce redukuje całą sprawę do absurdu.

Tego typu przykładów można by przytoczyć z prasy krajowej więcej. W wielu wypadkach nie chodzi o bar mleczny ale o eksport i dewizy.

Ulubioną kliszą korespondentów zagranicznych w reportażach z Polski jest określenie, że Polska Ludowa jest krainą kontrastów. Z jednej strony mamy podziwu godne osiągnięcia — z drugiej strony absurdalne nonsensy.

Gdzie leży źródło tych dysproporcji? Mamy dziś w Polsce legion socjologów. Przed wojną socjologów w kraju można było policzyć na palcach. Organizuje się ankiety, badania terenowe, socjologowie zastanawiają się co robić z wolnym czasem, szuka się przyczyn „społecznego przygnębia”. Ale nikt nie tyka problemów zasadniczych, które biją w oczy każdego obserwatora. Dlaczego?

Przyczyny są dwójakiej natury. Po pierwsze socjologowie sami stanowią część owego „antyklimate” i trudno im o dystans i perspektywę. Po drugie — tam, gdzie nie można powiedzieć całej prawdy, rezygnuje się często i z prawdy częściowej.

Ludzie żyjący w Polsce nie zdają sobie sprawy do jakiego stopnia zżyci są z nonsensem. W Anglii, w Ameryce czy we Francji, gdyby kierownik mleczarni powiedział kasjerce, że jej nie wolno używać adiatora, który stanowi cały sens automatycznie liczącej kasy — kasjerka zadzwoniłaby po pogotowie wnosząc, że jej przełożony postradał zmysły. Ludzi na Zachodzie są od dziecka szkoleni w racjonalizmie i nonsens może liczyć na po-błażanie tylko wówczas gdy jest śmieszny i nikomu nie wadzi. Ale tam gdzie chodzi o pieniądze, wszystko traktuje się śmiertelnie serio.

Epizod z kasą opisany przez Małachowskiego dosłownie nie mógłby się wydarzyć nigdzie na świecie poza blokiem wschodnim. Nigdzie na świecie ani kasjerka ani klienci nie zaakceptowałyby bez sprzeciwu takiej sytuacji. W krajach zachodnich jawny nonsens ludzi oburza — w Polsce Ludowej powoduje tylko wzruszenie ramion. Kasjerka w barze mlecznym na Muranowie już tyle razy musiała współżyć z nonsensami, że jej zdolność akceptowania nonsensów jest wręcz bezgraniczna. Polscy socjologowie koegzystują już tak długo z morzem absurdów, że w pewnej mierze ich adaptacja psychiczna musi być podobnie uwarunkowana. Lecz nawet gdyby odzyskali dystans i perspektywę — gdyby zdołali wyodrębnić się z owego procesu, którego są nie tylko obserwatorami ale i współaktorami — nie na wiele by im się to przydało.

W felietonie Władysława Machejka w „Życiu Literackim” czytamy m.in.:

„Nienasylenie jest wykładnikiem niepokoju związanego z ustrojem budującym socjalizm — dobrobytu i sprawiedliwości. Do władzy należy gospodarskie regulowanie tego niepokoju, żeby współgrało z możliwościami państwa i wysiłkami obywateli”.

Chodzi niewątpliwie o owo „współgranie”, o harmonijną ewolucję.

Inteligenci z kraju z którymi miewam sposobność stykać się w Londynie — często zwracają uwagę na następujący paradoks. Polska — w ocenie większości moich rozmówców — dokonała wielkiego skoku naprzód dzięki socjalizmowi — i równocześnie tonie w absurdach na skutek socjalizmu. Jeden z moich krajowych rozmówców ujął to jeszcze inaczej: „Nawet nasz socjalizm ilustruje fakt, że w ramach socjalizmu można by robić cuda — gdyby socjalizm był socjalizmem”.

Jest rzeczą charakterystyczną, że o ile na emigracji w tego typu rozmowach na czoło wysuwa się demokratyzację ustroju jako generalną zbawczą receptą — o tyle krajowcy źródło zła widzą przede wszystkim w biurokratyzmie.

W gruncie rzeczy jest to diagnoza bardzo powierzchowna. Biurokratyzm jest żółtaczką totalistycznego socjalizmu. Ale kolor żółty jest oznaką zewnętrzną a nie istotą schorzenia.

Dlaczego biurokratyzm jest ślepy, sztywny i bezsensowny? Biurokratyzm w ustroju totalnego socjalizmu jest sztywny i drewniany ponieważ jest przejawem zewnętrznym sztywności, niezmienialnego „Establishment”. Byłoby bezcelowe walczyć z żółtym zabarwieniem skóry u człowieka chorego na żółtaczkę. Trzeba wyleczyć jego wątrobę i woreczek żółciowy, a wówczas przestanie być żółty. W systemie opartym o sztywne dogmaty jest nonsensem walczyć z sztywną biurokacją. Trzeba przede wszystkim oddogmatyzować doktrynę, która stanowi fundament biurokratyzmu.

W antyklimate państwa totalistycznego ludzie zatracają zdolność zdziwienia. „Ja już niczemu się nie dziwię” — to jest komentarz, który ustawicznie powtarza się w rozmowach z krajowcami. Poczucie humoru rodaków w kraju jest inaczej uformowane niż nasze. Nie wszystko co pisze Lec wydaje mi się śmieszne — często zaś to, co wypisuje Żółkiewski, wydaje mi się natomiast nieprzepraczone komiczne. Owa kasjerka z baru mlecznego na Muranowie nie zdawała sobie sprawy, że jest bohaterką surrealistycznej farsy. Podobnie KC w Moskwie nie był świadomy własnego kizimu wydając niedawno orzeczenie, że nie czuje się kompetentny do rozstrzygnięcia sporu dotyczącego dwóch różnych metod leczenia raka.

Biurokratyzm jest symptomem a nie przyczyną. Zasadniczym źródłem owych „dysproporcji” jest brak harmonii w ewolucji modelu Polski współczesnej.

Od roku 1945 dokonano w Polsce wielkiego postępu. Stajemy się krajem przemysłowo-rolniczym. Rewolucja przemysłowa bez względu na ustrój pociąga za sobą wielkie i różnorakie przemiany. Procesy przebiegające w Polsce możemy porównywać z doświadczeniami historycznymi krajów, które ów etap mają już za sobą.

W artykułach w prasie krajowej z okazji lipcowej rocznicy Polski Ludowej — powtarzały się słowa: awans, skok naprzód,

wielka przemiana. Podkreślano słusznie awans szerokich mas społecznych, osiągnięcia w szkolnictwie, w oświacie, masowym czytelnictwie itd. Przytaczano imponujące cyfry statystyczne obrazujące rozbudowę i przekształcanie się Polski w nowoczesne, przemysłowe społeczeństwo.

Adam Bromke w artykule ogłoszonym na łamach amerykańskiego kwartalnika „Foreign Affairs” — słusznie zauważył, że postępująca industrializacja zbliża Polskę do Zachodu. Tę przesłankę można rozwinąć. W przeszłości oddzielała nas od Zachodu semi-feudalno-rolnicza struktura Polski. Nie odcinała nas od Europy „żelazna kurtyna”, ale między nami a Zachodem istniała przepaść w stopniu rozwoju przemysłowego i społecznego. Owa przepaść w pewnej mierze została obecnie zabrukowana. To nie jest tylko sprawa wskaźników produkcji przemysłowej, lecz również stylu życia. Ów styl życia z kolei związany jest nie tylko ze stopniem zamożności lecz również z przemianami społeczno-kulturalnymi. Polska wkracza w epokę kultury masowej co również przybliżyła ją do Zachodu.

Przyjmujemy za warszawską „Politykę” — że najpełniej symbolizuje osiągnięcia Polski Ludowej słowo: „awans”.

Co to jest awans? Awans to jest rozwój i postęp. Nieuprzedzony obserwator musi zanotować rozwój i postęp w Polsce we wszystkich dziedzinach z jednym wyjątkiem. Ów wyjątek z reguły ogólnego rozwoju i postępu stanowi *aparatus polityczny*.

Od października 1956 partia i jej aparat nie tylko nie posunęły się o krok naprzód — ale systematycznie krok za krokiem cofają się wstecz. Zamiast postępu i liberalizacji — obserwujemy nawroty do neo-stalinizmu, zamiast demokratyzacji — obserwujemy renesans „zamordyzmu”. Temu procesowi towarzyszy wyjąłowanie ideologiczne i martwota. Na górze nikt nie interesuje się ideologią — wszyscy interesują się tylko personaliami i walką o pozycje, wpływy, stanowiska.

Przywódcy partyjni nie dokonali wewnętrznego „awansu”, nie nadążają za przemianami społeczno-gospodarczymi i nie zdają sobie sprawy z faktu, że z każdym miesiącem stają się coraz bardziej patetycznym anachronizmem w nowoczesnej epoce, która wreszcie objęła i nasz kraj. Im Polska staje się bardziej nowoczesna, bardziej przemysłowa, bardziej plebejska — tym ów kontrast między górą partyjną a społeczeństwem będzie się pogłębiał.

Przywódcy partyjni łudzą się wyobrażając sobie, że wszystkie dokonania Polski Ludowej są zasługą partii i socjalizmu. Polskę współczesną budują nie-marksiści i ci marksiści, którzy przeciwko doktrynie codziennie grzeszą. Inaczej niczego by nie dokonano. I to jest ów „rewizjonizm” praktyczny bez żadnej podbudowy teoretycznej. Z tych kół praktyków-rewizjonistów rekrutują się w 90% budowniczości Polski współczesnej.

Interesujące są komentarze socjologów dotyczące bezideowości młodzieży. Na powyższy temat pisał Zygmunt Bauman — przeprowadzono szereg ankiet, ogłoszono dziesiątki artykułów.

W latach 1958 i 1961 katedra socjologii U.W. pod kierownictwem prof. St. Ossowskiego — przeprowadziła badania terenowe. Cytowana ankieta i jej wyniki były wielokrotnie omawiane. Tutaj chciałbym zwrócić uwagę Czytelników tylko na jedną odpowiedź studentów-respondentów. Na pytanie czy należy narażać życie w obronie idei społecznej w roku 1958 — 50% respondentów odpowiedziało „tak”. W roku 1961 na to samo pytanie już tylko 29% odpowiedziało „tak”.

Pewni komentatorzy ankiety wysnuli z powyższych danych optymistyczny wniosek, że młodzież dała wyraz stabilizacyjnym nastrojom dominującym w społeczeństwie.

Stabilizacja społeczna nie jest pojęciem statycznym, lecz ewolucyjnym. Tylko to społeczeństwo można nazwać ustabilizowanym, które rozwija się harmonijnie — innymi słowy w którym „Establishment” nie jest wyłączony z procesu ewolucji. Wszystkie konflikty i niepokoje społeczne w historii wywodziły się z prostego faktu, że rządzący ewoluowali wolniej, lub w innym kierunku niż rządzeni.

Aparatus polityczny wszędzie i w każdym ustroju wykazuje tendencje zachowawcze i za ideał uważa „stabilizację”. Raj biurokratów jest pokratkowany, ustabilizowany i bez niespodzianek. W ustroju demokratycznym do owego ustabilizowanego raju element dialektyczny wprowadza opozycja. Przez „opozycję” w tym kontekście rozumiem aktywny potencjał radykalizmu społecznego.

Idealne społeczeństwo komunistyczne jest społeczeństwem nie tylko bezklasowym ale i bezkonfliktowym. W tym schemacie Nowego Jeruzalem nie przewidziano jednak faktu, że z konfliktów zrezygnować można tylko za cenę rezygnacji z postępu. Rozwój rodzi konflikty. Bezkonfliktowe społeczeństwo byłoby zbiorowiskiem „bywszych ludzi”, bez perspektyw i przyszłości. I dlatego radykalizm ważniejszy jest niż marksizm czy jakkolwiek określony socjalizm. Bo dogmatycznie-programowa doktryna w chwili choćby częściowego wprowadzenia jej w życie — staje się konserwatywnym *status quo*. Pchnąć ją o jeden szczebel wyżej na drabinie ewolucji — mogą tylko radykałowie a nie wczorajsi rewolucjoniści którzy dziś są stabilizatorami *status quo*.

Charakterystyczną cechą sytuacji w kraju jest nie stabilizacja i bezkonfliktowość lecz paraliżujący niedorozwój spowodowany karzeniem góry w proporcji do szybko rosnących dołów. Z każdą nową fabryką, z każdą nową szkołą, z każdym nowym rocznikiem dyplomantów wyższych uczelni — obecny skład KC i aparatus politycznego staje się coraz większym anachronizmem. Podobnie w pewnym sensie w ostatnich latach dwudziestolecia — kompromitującym anachronizmem byli dygnitarze z „awansu legionowego”, którzy w przeciwnieństwie do kadr nowej fachowej inteligencji — nie posunęli się o krok naprzód od 1918 roku. Nie posunęli się o krok naprzód, niczego nie rozumieli ale nie chcieli zrezygnować z władzy i przywilejów. Obecnie kraj przeżywa podob-

na katastrofę niedorozwoju rządzącej elity. W obu wypadkach jedyną legitymacją tych panów była i jest przeszłość.

Gomułka nie umie dobrać sobie ludzi. Z każdym dniem coraz mniej rozumie społeczeństwo, które narasta, społeczeństwo kraju uprzemysłowanego, społeczeństwo w niezmiernie trudnym i skomplikowanym okresie rozwojowym. Społeczeństwo, w którym występują kontrastowe różnice już nie pokoleń, ale ćwierćpokoleń.

Nikt nie może mieć pretensji do Gomułki, że nie był zagra nicą, że nie zna z własnych obserwacji społeczeństw przemysłowych i ich problematyki, że nie ma ani perspektywy ani skali porównawczej. Powszechne uczucie zawodu w odniesieniu do jego osoby, spowodowane jest faktem, że nie awansował z towarzysza Wiesława na polskiego męża stanu. Gomułka jest prowincjonalnym działaczem partyjnym i niczym więcej. Chruszczow jest partyjnikiem i wybitnym politykiem. Gomułka w 80% swą karierę zawdzięcza nie sobie lecz koniunkturze historycznej. Chruszczow zawdzięcza wszystko swym niewątpliwym zdolnościom i sprytowi. Gomułkę przed Stalinem uchroniło polskie więzienie. Chruszczowa przed „antypatią” chroni — jak dotąd — jego własny spryt.

Byłoby stokroć lepiej dla Polski, gdyby w bieżącym okresie szef polskiej partii komunistycznej górował inteligencją i politycznym kalibrem nad szefem sowieckiej partii komunistycznej. Niestety jest odwrotnie — co nie ułatwia naszej sytuacji vis-à-vis Rosji. Nigdy nad Rosją nie będziemy górowali przemysłem, obszarem czy wojskiem. Jeżeli pozwolimy Rosji górować nad nami również inteligencją, sprytem taktycznym i polityką — nie wydobędziemy się z satelictwa.

Lecz to wszystko jest tylko margines.

Radykalizm i antykonformizm w Polsce, można przyrównać do samochodu, który ma tylko tylny bieg. Można nim jechać tylko do tyłu, cofać się w przeszłość — ale na tym koniec. Wolno krytykować okres dwudziestolecia — kampanię wrześnieową, rządy londyńskie, Powstanie Warszawskie i eksplodować wszystkie narodowe mity po kolei. Komunistom wydawało się, że będzie można zdyskontować po tej linii katastrofalny upadek 2-giej Rzeczypospolitej i nadać w ten sposób polskiej rewolucji rumieńce autentyzmu.

Każda rewolucja składa się z dwóch faz — niszczy stary porządek rzeczy i gruntuje nowy. Do zniszczenia przeszłości nie potrzebna jest wolność. Można zaprzeczyć się i opluć własną przeszłość w więzieniu. Naród pobity i ujarzmiony może przekłać swoich dawnych wodzów i wieszczów. Ale do budowy nowego porządku rzeczy, do tworzenia nowej autentycznej hierarchii wartości — wolność jest niezbędna.

Prof Jan Szczepański pisał na łamach „Przeglądu Kulturalnego”:

„Gwałtowna i radykalna dezaprobatą społeczną dla

celów, które niegdyś były wysoko cenione powoduje, że jednostka znalazła się w próżni, że pozbawiona została oparcia, prestiżu i że zakwestionowano społeczny sens samych podstaw jej aktywności”.

„Jednostka znalazła się w próżni...”. To jest ów antyklimat Polski Ludowej. Poprzedził go — antymit, antybohater, antysarmata, antykołtun. Ukoronował ów proces człowiek z „Kartoteki” Różewicza, który wyzwolony z rozbitych mitologii wyłądował na pustyni — w owej próżni prof. Jana Szczepańskiego.

Komuniści prąd rewizjonizmu historycznego starali się ująć w swoje żagle. Wydawało im się, że „zidiotyżowanie” historii polskiej, wyszydzenie i ośmieszenie bohaterszczyzny, sarmatyzmu, szarż kawalerskich, łatwej gotowości umierania za ojczyznę — jednym słowem, że pogrzebanie tradycyjnego polskiego mitu stworzy podatny grunt dla przyjęcia nowej rzeczywistości.

Dewaluacji owych celów „niegdyś wysoko cenionych” — dokonali pisarze spod znaku antymitu. Wilhelm Szewczyk w artykule ogłoszonym w „Życiu Literackim” stwierdził: „Antypolonizmem jest twórczość literacka, która w swym historycznym rewizjonizmie poszła zbyt daleko, skrapiając patriotyczne porywy nihilistyczną mgiełką”.

Antymit okazał się jednak ślepą uliczką. W „Pamiętniku Antybohatera” Kornel Filipowicz doprowadził do etycznego absurdu realizm i postawę szyderców, antybohaterów i antyromantyków.

I co dalej? Posłuchajmy co mówi Zbigniew Żałuski w artykule „Wyważanie otwartych drzwi”.

„Tymczasem wchodzi w życie następne pokolenie, następne i odmienne, choć ledwie o pięć lat młodsze. To pokolenie nie zna smaku drwiny. Przykładnie nosi kwiatki na narodowe cmentarze, zaczytuje się Sienkiewiczem i Wańkiewiczem... Jutro sięgnie po Conrada. Ten schemat znamy. Zaczyna się od zabawy w Bitwę pod Grunwaldem, po dziesięciu latach przychodzi czas na „Lorda Jima”, a potem pisze się własne „Kamienie na szaniec”.

I tak oto koło antyklimatu zostaje zamknięte.

Osobiście nie jestem entuzjastą bohaterszczyzny. Przeciwnie jestem zwolennikiem rewizjonizmu historycznego. Obwiniam polską historiografię za wychowanie nas w fałszywej perspektywie z której wydobyć się jest niezmiernie trudno. Nasz anty-talent polityczny tutaj bierze swe źródło. Bo historia jest w biegu zatrzymaną polityką. Takich się ma polityków jakich się ma historyków. Nieobiektywna, romantyzująca historia produkuje nieudolnych, niepraktycznych polityków. Stąd ten zdumiewający kontrast, jakże dla Polski charakterystyczny. Mieliśmy i mamy wielu utalentowanych historyków — nie mieliśmy i nie mamy utalentowanych mężów stanu.

W Polsce Ludowej rewizjonizm przeszłości — w aspekcie lite-

rackim wyrodził się w pewnych momentach w nihilizm i w antypolonizm, a w aspekcie historycznym nierządki w paszkwilantstwo i fałsz. Dlaczego tak się stało? Rewolucja podobnie, jak krytyka składa się z akcji negatywnej i pozytywnej. Tam gdzie nie ma miejsca ani możliwości na akcję pozytywną — negacja musi się wyrodzić w nihilizm. Krytyka i rewizja przeszłości nie mogą dać rezultatów — jeżeli z owej krytyki nie można wyciągnąć pozytywnych wniosków. Rewolucja to nie tylko obalenie dawnej hierarchii wartości, ale budowa nowego systemu wartości. I ów kreatywny moment jest najistotniejszy. Bez niego rewolucja — by użyć słów Robespiera — jest tylko nową zbrodnią, która likwiduje starą zbrodnię.

Po klęsce i upadku drugiej Rzeczypospolitej — 90% Polaków było gotowych do zasadniczej rewizji przeszłości. Rewizji i krytyki dokonać można nawet w niewoli czy pod okupacją. Ale cóż komu ze swobody burzenia, skoro plan nowego gmachu przyjąć trzeba bez dyskusji. Rewizjonizm historyczny zburzywszy wszystko co było do zburzenia — w wielu wypadkach stał się motorem odbudowy tradycjonalizmu. Nie można żyć na pustyni. Jeżeli nie ma warunków i możliwości budowy nowego systemu wartości — wraca się do dawnej hierarchii wartości. Wraca się do Kraszewskiego, Sienkiewicza, Conrada i pisze się własne „Kamienie na szaniec”.

Intelektualiści zaadaptowali się dwojako do antyklimatego Polski Ludowej. Bardzo wielu wycofało się świadomie z czasu teraźniejszego. Piszą studia o Szekspirze, o poetach dwudziestolecia — innymi słowy operują na bezpiecznych terenach. Druga grupa usiłuje podtrzymać rolę i tradycję „błazna” w sensie jaki temu terminowi nadał Kołakowski.

W pewnej mierze pisarze w Polsce są w lepszej sytuacji niż ich koledzy na Zachodzie. Do grupy rządzącej nie należą ani tu ani tam. Ale w Polsce literatura tworzy jeszcze ciągle potencjalnie owo „trzecie królestwo” — podczas gdy na Zachodzie tym królestwem już dawno być przestała.

Sympatyzują z poglądami F.R. Leavis'a, który głosi, że potrzebujemy nie tylko standardów życia, ale i standardów jak żyć. Leavis sądzi, że jednym z kryzysowych symptomów naszej cywilizacji jest fakt, że literatura i humanistyka zawiodły w tej dziedzinie.

Literatura w Polsce jeszcze ciągle mogłaby odegrać rolę, której w Anglii już nie mogłaby odegrać. Choć sympatyzują z poglądami dr. Leavisa, sądzą, że racja jest po stronie Malcolma Bradbury. W Anglii klasy społeczne, które podtrzymywały literaturę i stanowiły fundament tzw. czytającej publiczności — utraciły spójność i uległy przeobrażeniu. Literatura i humanistyka wycofują się z życia społecznego za mury uniwersytetów. W nowoczesnym społeczeństwie humanistyka, która występowała zawsze przeciwko specjalizacji sama staje się jedną z specjalności. Nie tylko pisanie dzieł literackich, nie tylko krytyka literacka, ale nawet lektura dzieł literackich jest dziś domeną specjalistów.

W moim przekonaniu przemiany społeczne, kultura masowa, zmiany zainteresowań czytającej publiczności, która szuka albo rozrywki albo informacji, moralnie neutralnej — nie wyczerpują problemu „wyobcowania” literatury. Ciśnie się pod pióro krzywdzące i nieobiektywne zdanie, które jednak zawiera cień prawdy. W Polsce literatura miałaby coś do powiedzenia, ale nie ma po temu możliwości — w Anglii miałaby możliwości, ale nie ma niczego istotnego do powiedzenia.

My mamy „słonia” a Anglicy go nie mają. Mamy „słonia” ze sprawy polskiej, a w Anglii słonie są tylko w ogrodach zoologicznych. A jednak bez „słonia” nie ma wielkiej literatury i tylko poprzez „słonia” samotny twórca może *belong*, może przewyciężyć „wyobcowanie”. Dla Hemingway'a owym „słoniem” była Hiszpania — dla Orwella i całej galerii pisarzy angielskich mit lewicy, który w ramach *welfare state* stał się rzeczywistością i tym samym przestał być „słoniem”.

Na wymieranie wielkich spraw zwrócił niedawno uwagę John Lehmann. Sprawy o które walczyło jego pokolenie pisarskie były realne — faszyzm, bezrobocie, *slummsy*, nierówności społeczne. O *slummsach* można było napisać „Road to Wigan Pier” (Orwell) — o wojnie w Hiszpanii poemat „Spain” (Auden) — ale trudno jest napisać porywający epos o jednostronnym atomowym rozbrojeniu czy o Kongresie Pokoju w Moskwie. Lehmann sądzi, nie bez słuszności, że współczesne problemy na Zachodzie są albo zbyt trywialne albo zbyt mgliste i szerokie.

Ale nas to nie dotyczy, bo na wymieranie spraw Polak nie może się uskarżać. Nasze problemy nie są mgliste, lecz realne i konkretne. Niestety o wielu z nich nie wolno pisać.

Przywilej czapki błażeńskiej z dzwoneczkami polegał na tym że błażen za cenę swego błażeństwa mógł królom i dostojnikom mówić bezkarnie prawdę. Człowiekowi inteligentnemu i dowcipnemu w pewnych układach społecznych warto było być błażnem dla tego wspaniałego przywileju. W Polsce Ludowej błażnów i kandydatów na błażnów nie brak, ale żaden z nich nie ma przywileju mówienia pełnej prawdy.

Krajowcy często wygłaszają następujący pogląd: „Gdyby nie narzucono nam po wojnie ustroju komunistycznego — Polska byłaby do dziś w 80% państwem rolniczym. Wątki przemysł znajdowałyby się w rękach zagranicznych kapitalistów, a rządy sprawowałyby jakiś generał w oparciu o skrajną prawicę i hierarchię kościelną”.

Może tak źle by nie było — jednakże skłonny jestem przypuszczać, że tempo rozbudowy przemysłu byłoby słabsze i osiągnięcia mniejsze.

Lecz dosłownie ci sami ludzie, którzy wygłaszają poglądy przytoczone powyżej — stwierdzają, że gdyby dziś w Polsce przeprowadzić wolne wybory to 60-70% głosowałoby na partię prawicowo-katolicką, 15-20% na partię mieszczańsko-liberalną, a część młodszego pokolenia głosowałaby na socjalistów.

To jest chyba jednym z najdziwniejszych przejawów pol-

skiego antyklizmu. Ludzie oceniają niewątpliwe osiągnięcia ustroju, lecz gdyby mieli swobodę wyboru nigdy by go nie wybrali. Nie wybraliby go zarówno 17 lat temu jak i dziś, kiedy za tym ustrojem świadczą osiągnięcia dla wszystkich widoczne.

Czym to wytłumaczyć? Fakt, że bilans ustroju w oczach większości jest ciągle ujemny — dowodzi zasadniczej dysproporcji pomiędzy ofiarami a osiągnięciami.

Ofiary mogą być bardzo wielkie, ale muszą mieć ludzki sens. Za uprzemysłowienie trzeba płacić — trzeba płacić klasycznym przyciągnięciem pasa na ostatnią dziurkę w dosłownym i przenośnym tych słów znaczeniu. To każdy rozumie i akceptuje.

Lecz ceną za szybkie uprzemysłowienie nie musi być dehumanizacja życia społecznego. Czy walka przeciwko religii ma jaki związek z Nową Hutą — czy przybędzie tona cementu jeżeli wszystkie pisma Stawara wyrzuci się z bibliotek — czy stoczniom gdańskim potrzebna jest cenzura prasy, literatury, historii, filozofii i komenderowanie całą humanistyką?

To wszystko nie są koszty uprzemysłowienia. To są koszty dyktatury. Teoretycznym celem komenderowania humanistyką jest dostarczenie argumentów za dyktaturą. Paradoxem owej operacji jest natomiast fakt, że owo komenderowanie uznane jest przez ogół za najwymowniejszy argument przeciwko dyktaturze.

Komuniści w prywatnych rozmowach wysuwają zawsze argument: „jeżeli nie byłoby dyktatury partii — mielibyśmy dyktaturę reakcji jak w Hiszpanii”.

De-humanizacja życia społecznego, terroryzowanie niezależnej myśli, więzienie za przekłady zagranicznych książek — to wszystko ureakcyjnia naród. Dyktatura nie może istnieć bez terroru. Jeżeli rozluźni się go na chwilę — zaraz powstaje podatny grunt dla ujawnienia się reakcyjnego oblicza narodu — co natychmiast zmusza dyktaturę do zaostrzenia represji.

Dyktaturą i represjami nie można „odreakcyjnić” społeczeństwa. „Usocjalizować” społeczeństwo można tylko poprzez humanistykę. W Polsce leży wiele „zamówień społecznych” niepodjętych przez literaturę — co pogłębia poczucie frustracji. Dyktatura może budować przemysł, ale nie literaturę. A bez wielkiej literatury „wielkie sprawy” nie mogą się stać wielkimi. Socjalizm polski miał wielką literaturę, ale nie ma jej dziś. Dlatego „szklane domy” Polski Ludowej zamieszkuje naród, który w przytłaczającej masie oddałby swój głos na prawicowo-katolicką partię. „Szklanymi domami” nikogo nie nawróci się na socjalizm. Tej skali „zamówienia społecznego” dokonać może tylko humanistyka i literatura, która socjalizm uzna za wielką sprawę. To się nie stanie dopóki trwa dyktatura, która z jednej strony ureakcyjnia społeczeństwo a z drugiej strony nakłada kaganiec na humanistykę.

I jeszcze jeden charakterystyczny motyw polskiego antyklizmu. Uprzemysłowienie, kultura masowa i produkowane przez nią „sztance” — zbliżają Polskę do współczesnej zachodniej

Europy. Lecz w gruncie rzeczy za tymi „sztancami” nie kryje się własna, oryginalna treść. W znacznym procencie to wszystko jest imitatorstwo.

Zachodnia Europa znajduje się w po-marxistowskim okresie. Można nawet zaryzykować twierdzenie, że w Anglii młode pokolenie pisarzy i intelektualistów — zazdrości starszym, którzy przeżywali okres „burzy i naporu” i doczekali się realizacji swoich postulatów. Wkład marksizmu w przebudowę Anglii był znaczny. Lewicowe publikacje z lat trzydziestych są przeważnie marksistowskie i pro-sowieckie.

W powojennych lewicowych publikacjach marksizmu jest już nie wiele. Lecz marksizm w Anglii nie uległ wrogiej propagandzie tylko przeżył się spełniwszy swoje ewolucyjne zadanie. Dziś w Anglii byłby anachronizmem ponieważ jego „ideologiczna receptura” nie odpowiada stadium rozwoju społeczeństwa brytyjskiego.

Istotą europejskości i zachodniości są ewolucjonizm, rozwój, postęp — będące rezultatem niezależnego badania we wszystkich dziedzinach i swobodnej gry sił społecznych na wszystkich polach. Nie jest ważny ani parlament ani procedura demokratyczna, które również ulegają przeobrażeniom. To są instytucje naszej cywilizacji, ale nie jej istota. Istotą zachodniej cywilizacji jest niezależny racjonalizm, który powoduje, że ewolucji podlegają nie tylko poglądy, lecz i „Establishment”.

Nie marksizm odcina Polskę od Europy — tylko dogmaty marksistowskie, które nie podlegają krytyce i wyłączone są z ewolucji. W miarę jak Polska przebudowywać się będzie w przemysłowe, nowoczesne społeczeństwo — dogmaty ideologiczne stawać się będą coraz większym anachronizmem. Postępująca laicyzacja ideologiczna znajdzie stopniowo swój wyraz nie tylko w modelu poglądów indywidualnych, lecz i w modelu ustrojowym kraju.

Jak trafnie zauważył pewien pisarz krajowy „każdy reżym staje się z czasem *ancien régime*’m”. Dogmatyczny komunizm nie ustanowi wyjątku od tej historycznej reguły.

Juliusz MIEROSZEWSKI

Kronika angielska

EMIGRACJA DO WZIECIA

Przed jedenastu laty w numerze 50-tym „Kultury” pisałem w Kronice angielskiej:

„Rząd zamierza powołać IV Radę Narodową. W czasie trwania uprzedniej Rady zarówno gen. Odzieżyński jak i Prezydent wielokrotnie zapewniali, że pragną stworzyć Radę Narodową, która składałaby się z przedstawicieli stronnictw politycznych oraz z radnych wyłonionych z uchodźstwa na zasadzie wyborów. Projekt dekretu Prezydenta o Ordynacji Wyborczej z dnia 10 maja 1950 roku przewiduje w artykule I-szym że *połowa* ustawowego składu Rady Narodowej obejmować będzie radnych pochodzących z wyborów”.

Od maja 1950 roku sporo wody upłynęło w Tamizie, ale z owych projektów nic nie wyszło.

Przed dziesięciu laty w Kronice angielskiej notowałem wiernie:

„Memoriał złożony Dowództwu Sił Zbrojnych Paktu Atlantyckiego przez wyższych wojskowych reprezentujących 8 krajów za „żelazną kurtyną” nie jest identyczny w swej treści z projektem kongresmanów Armstronga i Kerstena. Jak mnie poinformowano w oficjalnych kołach wojskowych — tekst tego dokumentu nie będzie ujawniony w bliskiej przyszłości. Memoriał dotyczy tylko tych narodów za „żelazną kurtyną, które tworzyły niepodległe państwa w roku 1939. Z tej przyczyny brak pod memoriałem podpisów ukraińskich. W naszej opinii należy dolożyć wszelkich starań, by formacje ukraińskie znalazły się na równi z innymi i na tych samych prawach w projektowanej „Armii Wyzwolenia”. Wojskowi, którzy podpisali omawiany memoriał — zbierają się w określonych terminach i na swego przewodniczącego jednogłośnie wybrali gen. Andersa. Jak wiadomo gen. Anders podpisał ów memoriał ze strony polskiej działając w porozumieniu z Prezydentem RP i Rządem”.

Tak to wszystko wyglądało jeszcze 10 lat temu. Mieliśmy prezydenta, rząd, Radę Narodową, gen. Andersa „działającego w porozumieniu z Prezydentem RP”, szykowaliśmy nieśmiertelne wybory i przygotowaliśmy plany „Armii Wyzwolenia”.

A dziś? Dziś również organizujemy wybory.

Gdybym jako kronikarz londyński miał wymienić jeden fakt, który zadecydował o zmianie profilu emigracji polskiej w Wielkiej Brytanii w porównaniu z 1952 rokiem — to przytoczyłbym następującą cyfrę: Polskę odwiedziło ponad 20 tysięcy Polaków brytyjskich. Jest to cyfra niemal dwukrotnie wyższa od cyfry Polaków, którzy wzięli udział w ostatnich tzw. „wyborach”.

Owych 20 tysięcy, których oddziaływanie na otoczenie jest bardzo znaczne — formuje swój stosunek do kraju samodzielnie i inaczej niż „Dziennik Polski”. Równocześnie ludzie ci zdobyli perspektywę umożliwiającą dojrzenie góry emigracyjnej we właściwym świetle i proporcji.

Rozmowy jakie przeprowadziłem pod tym kątem widzenia — umocniły mnie w przekonaniu, że ci, którzy wracają z urlopu spędzonego w Polsce — zachowując krytyczny stosunek do komunizmu — dostrzegają (często po raz pierwszy) jednostronność propagandy emigracyjnej.

Antykomunizm nie może być antypolonizmem. Z drugiej jednak strony pro-polonizm nie może być pro-komunizmem. W tej sprawie nie

ma łatwego rozwiązania i o obiektywizm jest trudniej niż w jakiegokolwiek innej dziedzinie.

W płaszczyźnie oficjalnej po obu stronach obowiązuje „sztanca” propagandowa, która z obiektywizmem nie ma nic wspólnego.

Aleksander Małachowski, który piętnuje londyński „Tydzień Polski” za „sztancę”, sam odpowiada „sztancą”. Nie ulega wątpliwości, że „Tydzień Polski” zużytkowuje każdy materiał prasowy pod kątem widzenia propagandy antykomunistycznej.

Lecz cała prasa krajowa bez wyjątku, jeżeli cytuje prasę emigracyjną, to również tylko i wyłącznie w celach anty-emigracyjnej propagandy. Odpowiedź Małachowskiego na artykuł w „Tygodniu Polskim” nie odbiega na milimetr od przepisowej krajowej, anty-emigracyjnej „sztancy”. Ten dwugłos jest fragmentem bezsensu naszych czasów: sztanca contra sztanca.

Zycie polskie, tak w kraju jak i na emigracji, w znacznym procencie toczy się w „podziemiu”. Tylko w „podziemiu” zdejmujemy maski i rozmawiamy jak Polacy z Polakami.

Krajowcy w prywatnych rozmowach domagają się zawsze „taryfy ulgowej”. Stale powtarza się fraza: „pan wie, że nie mogłem napisać inaczej...”, pan wie, że nie wolno was cytować inaczej niż z krytycznym komentarzem...”.

Wówczas zawsze odpowiadam: „dlaczego ma pan pretensje do „Dziennika Polskiego”? Dziennikarz emigracyjny również nie może cytować bez krytycznego komentarza i jemu, w Londynie, tak samo zależy na posadzie, jak panu w Warszawie. Może nawet bardziej. U nas w prasie oficjalnej obowiązuje taka sama „sztanca” jak u was i dlatego „taryfa ulgowa” winna obowiązywać po obu stronach”.

Jednak między emigracją a krajem jest jedna zasadnicza różnica. W kraju, według katalogu „Ruchu”, wychodzi 361 dzienników i tygodników oraz 249 pism naukowych. Wśród tych z górą 600 pism nie ma ani jednego pisma nieoficjalnego i nie podlegającego cenzurze. Na emigracji natomiast mamy, na szczęście, pisma nieoficjalne, w których żadna sztanca nie obowiązuje. Do tych pism należy „Kultura”.

Liberalnie myślący ludzie skłonni są przypuszczać, że sztance, cenzury, „tabu” — mijają się z celem i nie spełniają wyznaczonego im zadania. Niestety tak nie jest. Klisze propagandowe, jeżeli są dostatecznie długo stosowane, przynoszą rezultaty.

Nie ulega wątpliwości, że, w wyniku długotrwałego propagandowego uwarunkowania, na 150 tysięcy Polaków brytyjskich co najmniej jedna trzecia myśli o Polsce współczesnej kliszą „Dziennika Polskiego”. Zaś na 30 milionów Polaków w kraju, sądzę, że tylko kilka tysięcy osób ma wyrobiony, obiektywny, sąd o emigracji polskiej w Wielkiej Brytanii.

Stosunek emigracji do kraju i *vice versa* jest idealnym terenem do oddziaływania propagandowego. Liczyć można bowiem na znaczną ignorancję po obu stronach barykady. Ignorant, choćby nawet nieufnie odnosił się do propagandy — po pewnym czasie przyjmuje jej główne tezy.

Prasę krajową na emigracji czytają tylko specjaliści. W kraju prasę emigracyjną czytają również tylko specjaliści. Przeciętny emigrant czyta przede wszystkim prasę angielską — następnie prasę emigracyjną i dobrze jeżeli raz na miesiąc przejrzy numer „Przekroju”. Dokładne czytanie prasy

krajowej wymaga dużego przygotowania, pochłania mnóstwo czasu i na emigracji uprawiane jest wyłącznie przez specjalistów.

Innymi słowy, tak przeciętny emigrant, jeżeli chodzi o wiadomości z kraju, jak i przeciętny krajowiec — jeżeli chodzi o wiadomości o emigracji — skazani są przeważnie na wiadomości z drugiej ręki. Tą „drugą ręką”, która dostarcza wiadomości jest — w kraju wyłącznie propaganda, a na emigracji przeważnie propaganda. Dialog w takich warunkach możliwy jest tylko w podziemiu — w kawiarni londyńskiej lub w kawiarni warszawskiej, ale nie na łamach prasy polskiej. Ulbrichta na szczęście nie mamy, ale mur jest, i to wysoki.

Emigrację polską na Wyspach Brytyjskich podzielić można na trzy grupy. Do pierwszej grupy, najmniej licznej, należy obóz oficjalny i jego sympatycy. Grupa druga — najliczniejsza, obejmuje Polaków ustosunkowanych krytycznie do obozu oficjalnego. Owych 20 tysięcy emigrantów, którzy odwiedzili kraj — należy do tej kategorii. Do grupy trzeciej zaliczam emigrantów, którzy całkowicie odeszli od polskości. Jest ich nie wielu, ale są.

Tzw. „wybory”, przeprowadzone przez obóz oficjalny, przyczyniły się niewątpliwie do wyjaśnienia sytuacji. Około 90% emigrantów udziału w wyborach nie wzięło. Nie oznacza to bynajmniej, że 90% emigracji opowiada się za programem stronnictw opozycyjnych, które wybory zbojkotowały. Oznacza to natomiast, że te 90% uważa obecną górę polityczną emigracji i ideologię przez nią reprezentowaną za anachronizm.

Głosowało około 13 tysięcy ludzi. Innymi słowy nie głosowała nawet jedna trzecia czytelników „Tylonu” Karola Zbyszewskiego. Numer z „Tylonem” ma największą poczytność i sądzę, że czyta go każdego piątku 25-30 tysięcy osób.

Ale sam „Tylon” nie wystarczy. „Skupianie się wokół wodza” może być nie tylko ideologią, ale i propozycją handlową pod warunkiem, że za wodzem opowiada się 90% społeczeństwa a nie 10%. Obóz oficjalny nie utrzyma pisma — a jeżeli „Dziennik Polski” stanie się wyłącznie organem obozu — ludzie spoza obozu przestaną go prenumerować.

Co to jest obóz? Obóz to jest sanacja i endecja. Osobiście cenię i szanuję Adama Ciołkosza, ale jego Komitet Odbudowy PPS — to nie jest PPS. Sanacja nigdy nie była partią polityczną, a tylko grupą, opartą o zasadę „führer-prinzip”. Partią polityczną z prawdziwego zdarzenia w obozie oficjalnym jest tylko endecja.

Nie jestem endekiem i bilans endecji oceniam negatywnie. Jest to klasyczny przykład bankructwa tzw. partii historycznych. Endecy zdradzili swój program dla sojuszu z pogrobowcami sanacji. W emigracyjnym tygielku przetopiono cały bagaż historyczny na bezpostaciowy plastyk. Nie ma już żadnej różnicy pomiędzy Dmowskim, Piłsudskim czy Daszyńskim. Wszystko to są dziś honorowi członkowie SPK — oddział „Egzekutywy Zjednoczenia Narodowego.

Podzieliłoby emigrację polską w Wielkiej Brytanii na trzy grupy. Członkowie pierwszej grupy to są sympatycy obecnej góry politycznej. Ta „góra” reprezentuje 10% polskiej emigracji w Anglii — co jej jednak nie przeszkadza przemawiać nie tylko w imieniu 10 milionów Polaków zagranicznych lecz również w imieniu 30 milionów Polaków w kraju. Wodzowie nie powinni nigdy bawić się w wybory. Bo jeżeli wybory mają być

sukcesem, trzeba je fałszować — jeżeli natomiast są uczciwe, nie mogą być sukcesem. Wybory o których mówimy sukcesem na pewno nie były.

Przyjrzyjmy się z kolei drugiej grupie, która obejmuje 80-kilka procent emigrantów zamieszkałych na Wyspach Brytyjskich. Dlaczego ci ludzie nie wzięli udziału w wyborach? W artykule pt. „Antyklimatek”, który Czytelnik znajdzie na innym miejscu w bieżącym numerze „Kultury”, starałem się wykazać, że kierownictwo partii nie ewoluje również szybko co masy społeczne w kraju. Niemiejszą przepaść pomiędzy reprezentacją a reprezentowanymi obserwujemy na emigracji. Co może łączyć prezesa stronnictwa, którego mandat i epoka świetności są historią starożytną sprzed ćwierć stulecia — z emigrantem, który w Anglii stworzył sobie nowe życie. Z emigrantem, który dorobił się sklepu, domu, często samochodu — który jednym słowem przez te 23 lat dzielące nas od Września — przeszedł daleką ewolucyjną drogę. Ów prezes i nasz emigrant to są dziś, zupełnie różni ludzie, różni w sumie doświadczeń, w poglądach politycznych, w ocenie przyszłości.

Obserwacja terenu skłania mnie do wniosku, że władze PRL zaczynają być selektywne w polityce wizowej. Przypuszczam, że chodzi tu o dwa zagadnienia. Władze PRL nie chcą dopuszczać do kraju emigrantów, którzy mogliby oddziaływać niekorzystnie, zwłaszcza na koła intelektualne i inteligentkie. Do kategorii niepożądanych turystów należą pewni dziennikarze, pisarze i naukowcy. Nie wszyscy.

Stosowanie polityki selektywnej ma również inny cel na oku. Chodzi o stworzenie kadr lojalnej Polonii.

Odwiedza kraj p. Kowalski, który jest technikiem budowlanym czy mechanikiem. Po pierwszym wizycie przekonuje się, że „sztanca” „Dziennika Polskiego” nie pokrywa się z rzeczywistością krajową. Po powrocie do Anglii p. Kowalski zaczyna dostawać regularnie specjalną prasę krajową na użytek Polonii. Dawniej p. Kowalski nie interesował się tymi pismami, lecz po pierwszej i drugiej wizycie w kraju spojrzal na te druczki innymi oczyma. Niektóre z nich, jak „Poland”, są pięknie wydane i warto je pokazać znajomym Anglikom. W jednym z tych pism p. Kowalski znalazł artykuł pt.: „Co możemy ci dać?” (artykuł autentyczny) — „Możemy ci dać identyczność” — pisze autor krajowy — „tobie, obywatelowi brytyjskiemu, możemy dać rodowód i związać cię nie tylko z wspaniałą przeszłością Polski, ale i z budzącymi podziw współczesnymi osiągnięciami twojej dawnej ojczyzny. Nie musisz być byłym uchodźcą, czy byłym Dipisem. Możesz być obywatelem brytyjskim dumnym ze swego polskiego pochodzenia”.

Można być obywatelem brytyjskim „dumnym ze swego polskiego pochodzenia” — ale czy można być obywatelem brytyjskim i politycznym emigrantem?

Tzw. „Ordynacja Wyborcza do Rady Jedności Narodowej na Obszarze Wielkiej Brytanii — projekt przyjęty w połączonych komisjach 17 maja 1961 r.”, Polakom obywatelom brytyjskim przyznaje tylko bierne prawo wyborcze.

Innymi słowy panowie Kowalscy, których cyfra rośnie z każdym kwartałem — ku radości władz PRL — zostali odpisani na straty.

Przed kilku laty rozważając te sprawy pisałem na tych łamach, że jeżeli przyjąć jako kryterium „polityczności” stosunek do komunizmu — to Polonia jest w równej mierze polityczna jak emigracja, ponieważ w

znakomitej większości jest antykomunistyczna. Ale Polonii brytyjskiej nie ma. Trzeba by ją dopiero stworzyć.

Polak przyjmujący amerykańskie obywatelstwo staje się amerykańskim obywatelem polskiego pochodzenia. Natomiast Polak przyjmujący brytyjskie obywatelstwo staje się Brytyjczykiem poprzez naturalizację. Nie ma terminu „Brytyjczyk polskiego pochodzenia”. W rozumieniu ustawodawstwa brytyjskiego Polak przyjmujący obywatelstwo brytyjskie traci swą dawną narodowość, ponieważ zyskuje nową, brytyjską.

Polacy stanowią największą grupę narodowościową na tych Wyspach. I mogliby ustanowić precedens w tej ważnej sprawie, odbiegający od tradycji i praktyki brytyjskiej. Do tego nie potrzeba nowego ustawodawstwa — konieczna jest tylko postawa indywidualna i określone formy organizacyjne. Jeżeli dziesiątki tysięcy Polaków, którzy przyjęli, względnie w przyszłości przyjmą, obywatelstwo brytyjskie — uważać się będą za obywateli brytyjskich polskiego pochodzenia, jeżeli głosować będą w swych okręgach na tych posłów, którzy — powiedzmy dla przykładu — wobec przedstawicieli Polonii wypowiedzą się za uznaniem granicy na Odrze i Nysie — wówczas drogą praktyki zostaną stworzone fakty dokonane, z którymi Brytyjczycy z wrodzonym sobie *common-sensem* pogodzą się bez sprzeciwu. Opinia brytyjska przyjmie do wiadomości, i z czasem uzna to za zjawisko normalne, że Polacy będąc lojalnymi obywatelami Zjednoczonego Królestwa — zachowują nie tylko sentyment lecz i aktywne zainteresowanie dla kraju swego pochodzenia. Mamy zorganizowaną Polonię w Stanach Zjednoczonych, w Australii, w Kanadzie — nie ma powodu dlaczego nie mielibyśmy mieć zorganizowanej Polonii w Wielkiej Brytanii.

Obóz oficjalny reprezentuje 10% Polaków brytyjskich. W sumie panowie ci nie mają ani zaplecza ani następców. Z nimi „Akt Zjednoczenia”, TRJN, Egzekutywa, Rada Trzech — znikną z powierzchni życia. Wielu z tych panów zdaje sobie trzeźwo sprawę z sytuacji, ale chcą wytrwać na stanowisku, by zapewnić sobie „niesplamione miejsce w Historii”. Kometowanie Historii jest jedną z naszych narodowych specjalności. Niedawno czytałem w jednym z londyńskich pism emigracyjnych krytyczną wypowiedź pod adresem obrońców Westerplatte. Powinni byli zginąć co do nogi — wówczas z Westerplatte stworziliby polskie Termopile. Autor cytowanej notatki nie mógł darować ani pojąć, jak można było zmarnować tak wspaniałą okazję!

Panom z oficjalnego obozu należy okazać wyrozumiałość i tolerancję. Natomiast poważną pracę polityczną musi podjąć ktoś inny.

Sceptyczny Czytelnik zapyta w tym miejscu: „Czy to jest konieczne? Czy nie lepiej pozostawić wszystko w spokoju i nie zanudzać ludzi polityką, która ich najzupełniej nie interesuje?”.

Jeżeli tego nie zrobimy my — po pewnym czasie za nas zrobią to władze PRL. Polonia brytyjska znajduje się w okresie formatywnym. Jedną z przyczyn, dla których emigrant bierze paszport brytyjski i staje się członkiem Polonii jest chęć odwiedzenia kraju. Ani z Kanady ani z Australii czy ze Stanów Zjednoczonych tylu Polaków nie odwiedza kraju co z Wielkiej Brytanii. Do Polski jest stosunkowo blisko, komunikacja jest dobra, pobyt tani i im więcej paszportów brytyjskich i samochodów w rękach Polaków, tym więcej odwiedzin.

Wizyty w kraju — jak już zaznaczyłem — oddziaływują dwójako. Po

pierwsze budzą zrozumiałą reakcję: „panowie z Egzekutywy i z „Dziennika Polskiego” nie byli w Polsce od 23 lat i chcą pouczać mnie, który co roku tam jeżdżę”. To jest reakcja ludzka, choć nie zawsze słuszna. Można bowiem jeździć do kraju co roku i o Polsce mieć niedostateczne, a nawet mylne, wyobrażenie — i można Polski nie odwiedzać i być dobrze poinformowanym co się tam dzieje. Niemniej ci, co byli, uważają nieodmiennie, że górują nad tymi, co nie byli. Górować w tym wypadku nie jest trudno, bo obóz oficjalny i jego prasa posługują się propagandową sztancą, która od lat nie uległa najmniejszej rewizji czy zmianie. Następuje więc pierwszy rozdźwięk w sprawie zasadniczej, tj. w sprawie poglądu na kraj.

Drugą reakcją jest poczucie „emigracyjnej deklasacji”.

Polak, który wziął paszport brytyjski i odwiedza rodzinę w kraju, na emigracji staje się obywatelem „drugiej klasy”. Może płacić na Skarb Narodowy, ale nie może być wybrany do Rady Jedności Narodowej. Innymi słowy może płacić ale o jego pieniądzach decydować będą emigranci „pierwszej klasy”, którym przysługuje tak bierne jak i czynne prawo wyborcze.

I w tym miejscu zjawiają się warszawskie organizacje łączności z Polonią, które nie uprawiają żadnych dyskryminacji w stosunku do Polaków, którzy przyjęli obce obywatelstwo. Przeciwnie, tylko Polak — obcy obywatel jest mile widziany — bo, po pierwsze może odwiedzać kraj a po drugie przestał być emigrantem politycznym.

Od czasów Bieruta wiele się zmieniło. Dziś repatriantom czy odwiedzającym nie proponuje się roboty szpiegowskiej na terenie Anglii celem „zasłużenia się Polsce Ludowej” — jak to dawniej bywało. Dążeniem władz PRL nie jest tworzenie z emigracji 5-tej kolumny. Cel, który przyświeca Warszawie, jest znacznie skromniejszy. Chodzi po prostu o odpolitycznienie Polonii i odcięcie jej od „bankrutów politycznych”, reprezentujących resztki polskiej reakcji. Polityka PRL zmierza do wykazania, że emigrant ma przed sobą tylko dwie drogi. Albo obóz „bankrutów politycznych” — albo status polonijny z uznaniem władz Polski Ludowej, z paszportem brytyjskim i z wizytami w kraju.

Uznanie *de facto* władz PRL nie jest równoznaczne z akceptacją ideologii. Tego nikt od Polaka, obywatela brytyjskiego, nie wymaga. Wystarczy jeśli przyjmie postawę ideologicznie neutralną i odetnie się od jawnych antykomunistów.

Polacy obywatele brytyjscy są pewną siłą polityczną. To nie są bowiem tylko Polacy, ale i ich żony, często Brytyjki, rodzina i przyjaciele. W obwodach wyborczych o marginesowych większościach — głosy trzystu miejscowych Polaków i ich żon mogą zdecydować kto dostanie mandat. W Anglii na ogół głosują rodziny — to znaczy wszyscy głosują tak, jak ojciec. Kandydaci poselscy i posłowie obu głównych partii brytyjskich zaczynają zwracać coraz większą uwagę na wyborców polskich.

W sprawie granicy na Odrze i Nysie wszyscy Polacy są zgodni. Ale są i inne zagadnienia: Niemcy, bazy amerykańskie w Anglii, wspólny rynek, i przede wszystkim polityka brytyjska w stosunku do Sowietów. Kto będzie wpływał na opinię polskich wyborców w tych sprawach?

Gdybyśmy podsumowali nasze dotychczasowe rozważania to należałoby stwierdzić co następuje:

Rada Trzech, która „pełni zastępczo funkcje prezydenta RP”, Egze-

kutywa itd. — są instytucjami legalistycznymi, które dla Polonii są prawnie i faktycznie nie do przyjęcia. Rządem dla Polaka, obywatela brytyjskiego, jest tylko rząd Zjednoczonego Królestwa i na tym kropka. To samo dotyczy przyrzeczenia czy osób zastępczo pełniących jego funkcję.

Koncepcja legalistyczna miała sens dopóki istniała nadzieja, że wrócimy do kraju. Znakomita większość Polaków zamieszkałych na tych Wyspach już dawno minęła punkt nie-powrotu. Nawet gdyby sytuacja w kraju uległa radykalnej zmianie, większość pozostałaby tutaj.

Nie jestem obywatelem brytyjskim, ani nikt z członków redakcji „Kultury” nie jest obywatelem brytyjskim czy francuskim. Jesteśmy czystej krwi emigrantami politycznymi. Lecz pozycja zespołu „Kultury” jest nie typowa. Nikomu nie doradzamy i nikomu nie odradzamy przyjmowania obcego obywatelstwa. To jest sprawa, którą emigrant rozstrzygnąć musi sam, w związku ze swoją osobistą sytuacją. Stoimy natomiast na stanowisku, że przyjęcie obcego obywatelstwa nie zwalnia Polaka z polskości — choć jego obowiązki niewątpliwie modyfikuje.

Wiem pozytywnie i z pewnych źródeł, że rośnie cyfra emigrantów, którzy biorą polskie paszporty konsularne. Starania o paszport brytyjski trwają około roku. Paszport konsularny można mieć zaraz. Z tym paszportem można jechać z wizytą do kraju. Teoretycznie paszport konsularny nie przekreśla możliwości wzięcia w okresie późniejszym paszportu brytyjskiego. Jeżeli ktoś mieszka legalnie w Anglii przepisaną ustawą ilość lat, ma prawo starać się o obywatelstwo brytyjskie.

Polak, który bierze paszport konsularny, nie tylko przestaje być emigrantem, nie tylko uznaje za legalny rząd polski w Warszawie, lecz również przyjmuje dobrowolnie obywatelstwo Polski Ludowej. Jeżeli ktoś odwiedza kraj na brytyjskim paszporcie zaopatrzonej w polską wizę turystyczną — nie oznacza to ani uznania rządu ani akceptowania ustroju. Przyjęcie natomiast dobrowolne — poprzez paszport konsularny — obywatelstwa Polski Ludowej — jest równoznaczne z uznaniem rządu i akceptacją ustroju.

Niepokojąco rosnąca cyfra amatorów paszportów konsularnych dowodzi z jednej strony aktywności placówek PRL — z drugiej strony ignorancji emigrantów w tej materii. Byli żołnierze biorąc paszport konsularny tracą wszystkie przywileje przysługujące b. członkom Polskich Sił Zbrojnych w Wielkiej Brytanii. W razie kryzysu czy zaostrzenia się sytuacji międzynarodowej — Polacy legitymujący się paszportem konsularnym traktowani będą jako *enemy alliens* — a więc tak, jak obywatele niemieccy traktowani byli w Anglii w czasie ubiegłej wojny.

Obóz oficjalny dyskretnie milczy w tej sprawie, liczył bowiem, że część „konsulowców” weźmie udział w wyborach. Na ogół — nikogo nie pytano o żadne dokumenty. Ponieważ wzięcie udziału w wyborach bardzo wydatnie zmniejszało szanse uzyskania wizy do kraju — większość „konsulowców” wstrzymała się od głosowania.

Wielu Polaków w Angli wzięło paszporty konsularne nie zdając sobie w pełni sprawy ze związanych z tym konsekwencji i sądząc, że jest to najmniej kłopotliwa operacja, umożliwiającą odwiedzenie kraju. Tym Polakom w ich własnym interesie — doradzamy, by jak najszybciej pozbyli się tych paszportów.

Szczytem obłudy jest fakt, że z jednej strony wyrzuca się z Harcerstwa instruktora za odwiedzenie rodziny w kraju — a równocześnie liczy się

na głosy „konsulowców”. „Konsulowcy”, jeżeli głosują, są dobrzy — instruktor harcerek, który ma uczyć polskości — jeżeli odwiedzi Polskę, jest zły.

W Anglii byłby już najwyższy czas powołać do życia organizację polonijną, która pozwoliłaby odegrać polityczną rolę zarówno Polakom-obywatelom brytyjskim jak i tym emigrantom, którzy „wyrosli” już z legalizmu. Obie powyższe grupy obejmują około 90% Polaków brytyjskich. Trzydzieści tysięcy popiera „obóz oficjalny” — sto trzydzieści tysięcy jest do wzięcia.

Jeśli nie powstanie tego typu organizacja, rezultat jest łatwy do przewidzenia. Obóz trzydziestu tysięcy będzie wymierał i topniał z każdym kwartałem, a „emigracja do wzięcia” stanie się niezorganizowaną masą penetrowaną coraz wydatniej przez agendy warszawskich organizacji łączności z Polską zagraniczną.

LONDYŃCZYK

PRZEDSTAWICIELSTWO BANKU P.K.O.

**PRZEKAZY
PIENIĘŻNE
DO POLSKI**

CENTRALA WYSYŁKOWA

HASKOBA LTD

121 Earls Court Rd, London S. W. 5



OSTATNIE WIADOMOŚCI

**Jedynie pismo polskie w Republice Federalnej Niemiec
UKAZUJĄCE SIĘ TRZY RAZY TYGODNIOWO
W KAŻDĄ NIEDZIELĘ DODATEK.**

**Redakcja, administracja, drukarnia:
Mannheim-Schoensu, Lilienthalstr. 301**

Sąsiedzi

Problem w uśpieniu

(Na marginesie numeru litewskiego „Głosu Polskiego”)

Ukazujący się w Buenos Aires od lat 37 tygodnik „Głos Polski” (obecnie pod redakcją Romana Dąbrowskiego) wydał niedawno specjalny 10-ciostronicowy numer poświęcony Litwie i stosunkom polsko-litewskim.

Ten drobny pozornie fakt, który by przed ćwierćwieczem mógł ująć niepostrzeżenie, w roku 1962 zwraca na siebie uwagę, jest wydarzeniem niepowszednim i znamionym. Wówczas, przed laty, byłby niechybnie służył propagandzie stanowiska i argumentów polskich w toczącym się z Litwą sporze. Wówczas oskarżano się wzajemnie, po tej i tamtej stronie „martwej granicy”, o gnębienie „mniejszości narodowej”. Jakże fałszywie brzmiał ten ligonarodowy termin na mieszanych ziemiach b. W.X. Litewskiego. Ale polityka polska i litewska istotnie niewiele różniły się od siebie pod tym względem. Obydwie we wzajemnym stosunku były małostkowe, złośliwe i niemoralne.

Być może, ludziom po tamtej stronie Żelaznej Kurtyny i dziś jeszcze takie spory wydają się częstką „świętej sprawy narodowej”, dla której warto zamykać granice, zrywać stosunki i zatruwać życie całym społeczeństwom. Być może, i wśród obu emigracji pokutują jeszcze przestarzałe wyobrażenia o wyłączności jednego języka i jednej kultury w jednolitych narodowych państwach. Ale wielu z nas, rozsianym po świecie, to wydzieranie sobie wzajemnie jakiegoś miasta czy skrawka ziemi po to, aby go wbrew organicznie powstałej różnobarwnej rzeczywistości uczynić jednolitym i tego drugiego narodowo przemalować lub wygnać — wydaje się zapewne żenującym pieniactwem, zabytkiem minionej epoki w Europie.

Dziś, w roku 1962, inną, wolną od obciążeń przeszłości, jest treść „numeru litewskiego”, inne są jego cele i inne, znacznie poważniejsze znaczenie. Zabierają w nim głos przedstawiciele

obu stron, niedawno spór ze sobą wiodących, i wypowiadają myśli sobie nie przeciwstawne. Już w tym mieści się ważne novum w stosunkach polsko-litewskich. Aby to sobie uświadomić rzucmy okiem przy tej okazji na ich niedawną przeszłość.

Pomost i obręcz

Problem litewski ciążył nad polityką polską przez całe 20 lat międzywojnia. Można by go nazwać piętą Achilleusa polityki polskiej, gdyby nie to że takich pięt było więcej.

Obszar Republiki Litewskiej, powstałej na szczytkach wschodnich koncepcji niemieckich, wisił nad północno-wschodnią ścianą Polski i wraz z Prusami Wschodnimi tworzył obręcz geopolitycznie i strategicznie zamykającą Polsce dostęp do Bałtyku na całej przestrzeni od Poługi do ujścia Wisły. Litwa stała się naturalnym pomostem pomiędzy ZSSR a Niemcami, co nabrało szczególnego znaczenia po zawarciu traktatu w Rapallo w r. 1922.

Charakter stosunków polsko-niemieckich i polsko-sowieckich nakazywał obu kontrahentom omijanie terytorium Polski w ich tajnej współpracy. Przynosiło to Litwie poważny zysk (tranzyt ludzi i towarów), a jednocześnie umacniało jej polityczną pozycję pomiędzy dwoma potencjami. Zwiększało też znacznie odporność jej na jakiegokolwiek kompromisowe rozwiązanie sporu z Polską.

Ten układ rzeczy trwał aż do proklamowania przez Hitlera haseł antykomunistycznych. Po zawarciu w r. 1936 polsko-niemieckiego układu zbalansowana dotąd sytuacja Litwy zachwiała się, a dla polityki polskiej otworzyły się nowe możliwości.

Dziś jest rzeczą jasną, że ultimatum polskie z maja 1938 roku było zupełnie zbędnym sforsowaniem otwierających się już powoli drzwi. Mimo tych i dalszych niezręczności, stosunki polsko-litewskie mogły się znormalizować i w dłuższym procesie znaleźć obustronnie korzystne rozwiązanie odsuniętego jedynie na bok sporu. Wojna 1939 roku przekreśliła te możliwości.

Wspólny los

W roku 1962 Litwa i Polska od lat 23 — czyli dłużej niż trwał okres ich niepodległości — sąsiadują na niewielkiej przestrzeni (pow. Suwalski) w warunkach zakreślonych przez trzecie mocarstwo, które rozstrzygnęło siłą ich spór, wtrącając jedną ze stron w sytuację kolonii z pewnym samorządem, a drugą — protektoratu z pozorami samodzielności. Na barkach licznie małego narodu litewskiego, broniącego swego duchowego i cywilizacyjnego oblicza spoczywa niezmiernie trudne zadanie.

Na kształtowanie się stosunków polsko-litewskich nie mają dziś wpływu ani Warszawa ani Wilno. Zbytek wzajemnego zainte-

resowania mógłby narazić rządzące w Litwie i w Polsce grupy komunistyczne na podejrzenia co do jego natury i celów. Zainteresowanie to, zresztą, nie istnieje i, przeciwnie, cokolwiek nasuwa na pamięć obrazy dawnych związków polsko-litewskich, jest uprzątane z pola widzenia nowych pokoleń obu narodów.

Inne przyczyny złożyły się na to, że obie emigracje również nie podjęły przewentylowania przeszłości z myślą o przyszłości. Swoje okres „młodzieńczy” zmarnowały przez oparcie swej akcji na argumentach formalnych, na naiwnej wierze w „wojnę powszechną o wolność ludów” itp. — aż, nie będąc zasilane sokami żywotnymi z rodzimej gleby, zaczęły więdnąć i usychać.

Wykorzenieni

Emigrantom polskim z ziem utraconych na rzecz ZSSR nakazywała stać na gruncie traktatów określających wschodnie granice Polski ich więź uczuciowa. Związki Ziem Wschodnich od lat 20-tu opierają swoją działalność na statycznej tezie, legalnie bezspornej, lecz politycznie bezskutecznej, powrotu do *status quo ante* w razie upadku władzy sowieckiej. Teza ta archaizowała się w miarę upływu czasu, który na wschodzie działał na naszą niekorzyść w równym niemal stopniu jak na zachodzie na naszą korzyść.

Rozłam emigracji niepodległościowej w 1954 roku i nieumiejętność jego usunięcia w ciągu lat 8-miu przypieczętowały niezdolność i małość polityczną jej przywódców. Była to pierwsza jej klęska.

Rozłupała ona i sparaliżowała również Związki Ziem Wsch. Nie wyszła od nich odtąd żadna inicjatywa zastrzyknięcia zmarwialemu programowi Związków świeżej krwi, wyjścia poza banalną retorykę rewindykacji rzeczy niepowrotnych. Próby paru jednostek nie znalazły oddźwięku w szeregach. Koła emigracji litewskiej i białoruskiej zapatrują się na Związki Ziem Wsch. w ten sam sposób jak Polacy na niemieckie związki uchodźców i wysiedleńców. Od lat kilku Związki Ziem Wschodnich są już tylko grupkami quasi-partyjnymi, starzejącymi się bezpłodnie po obu stronach zmuszanej emigracyjnej barykady (1).

Rozłupanej emigracji polskiej zadały ciężkie cios wypadki październikowe 1956 roku w Polsce. Nastąpiły rządy nacjonal-komunistów, nie dających się prześcignąć w hołdowaniu narodowym totemom dotychczasowym monopolistom — narodowym radykałom. Zmiany październikowe odbiły się głębokim — choć cichym — echem wśród emigracji. Poprzez wszystkie elementy o psychicznym podłożu nacjonalistycznym, od socjalistów do narodowo-radykałów, przeszła fala afirmacji tego co się stało w Polsce.

(1) Nie rzucam kamyka do *cudzego* lecz do *własnego* ogródka, jestem bowiem dotąd członkiem jednego z tych związków, a w ciągu wielu lat należałem do jego władz.

Ciągoty ku otwartym możliwościom *realizowania hasel narodowych w komunizmie* ogarnęły nie tylko radykalnych nacjonalistów. Aktywne resztki politycznej emigracji, zamiast tworzyć alternatywę programową w stosunku do polityki krajowej, albo zaczęły stawać się jej dalekim echem, kibicować i doradzać, albo zastępyły w sferze pojęć i smartwiały tez Polski Rydza Śmigłego.

Emigracja litewska

Przemianom tym nie uległa emigracja litewska, gdyż zmiany w jej kraju nie poszły dalej, niż to się stało w ZSSR po XX zjeździe partii. Wpływy z Litwy prawie jej nie sięgają, młode pokolenie wsiąka w otaczające środowisko na równi z polskim, starsze, zachowując łączność organizacyjną, stoi niezmiennie przy zasadach i hasłach swego 20-lecia. Nadzieje na odzyskanie wolności swego kraju opiera emigracja litewska na ogólnych przemianach w świecie, jako wyniku gry wielkich sił, poddając się kierownictwu czynników amerykańskich, opiekujących się tzw. narodami ujarzmionymi.

Dodatnią pozycję bilansu przymusowej „przyjaźni” litewsko-sowieckiej — uzyskanie Wilna z okręgiem — przyćmiewa w jej oczach powolna lecz ciągła zmiana składu narodowościowego Litwy sowieckiej na niekorzyść Litwinów, — rezultat świadomego działania „wierchuszki” sowieckiej w republikach peryferyjnych. W sowieckiej Litwie nie odbywają się procesy, które by mogły stwarzać pro-krajowy konformizm emigracji litewskiej, analogicznie z emigracją polską. Rozwój życia narodowego w Litwie jest znacznie więcej podporządkowany interesom komunizmu, niż w Polsce. Na postawie starszego pokolenia ciąży jeszcze hasła walki z Polską o stolicę. Jedyne pokolenia ukształtowane psychicznie na emigracji nie mają już zapewne apriorycznej nieufności lub niechęci do swoich rówieśników polskich. Ale płaszczyzna ich stykania się jest szczupła i przypadkowa.

Odwrócona karta historii

I oto w takim schyłkowym okresie emigracji po 2-jej wojnie światowej pojawia się po drugiej stronie Atlantyku publikacja z udziałem autorów z obu stron traktująca o kompleksie polsko-litewskim w sposób nie antagonistyczny, rzeczowy, poważny i — *sit venia verbo* — przyjaźnielski. Ten dwugłos objawia zgodność poglądów w trzech zasadniczych punktach: 1) że istnieje wzajemna zależność niepodległego istnienia Litwy i Polski, 2) że wskutek tego tereny obu państw są dla nich terenami największego zainteresowania, 3) że, ergo, należy dążyć do trwałego porozumienia.

Było to jasne i przedtem, a jednak przez lat 20 toczyła się wojna dyplomatyczna. Konflikt wynikł na tle *sprzecznej koncepcji*

stosunku Polski z Litwą, a spór terytorialny powstał dopiero jako konsekwencja tej sprzeczności. Ani utworzenie województwa w Wilnie ani wytknięcie granicy tam gdzie ona w latach 1922-1939 przebiegała nie leżało w planach polityki polskiej, dopóki ster jej tkwił w zdrowych rękach Marsz. Piłsudskiego.

Nie ma dziś warunków do nawracania do pierwotnej koncepcji Piłsudskiego — restauracji dawnej Rzeczypospolitej, jako państwa federacyjnego. Po upływie pół wieku i więcej, utraconych ziem na wschodzie Polska zbudowana na zasadzie narodowej odzyskać nie może. I jeżeli na nich upadnie kiedyś przemoc sowiecka, objęte one zostaną natychmiast przez władze na miejscu powstałe. Rosję, z którą Rzeczypospolita toczyła walkę o te ziemie przez całe wieki, zastąpią w owym momencie narody tam w większości osiadłe — Litwini, Białorusini, Ukraińcy, tworząc własne państwa narodowe, dziś już w zasadniczej konstrukcji istniejące. Żaden przytomny rząd polski odbierać od nich siłą tych utraconych ziem nie będzie.

To nie znaczy, że przyszła Polska ma się do nich odwrócić plecami i zapomnieć. Państwom tym wypadnie wybierać pomiędzy orbitą rosyjską a orbitą europejską, pomiędzy Rzymem a nowym Bizancjum. Ten schemat ma jednak inny wyraz dziś, niż miał kiedyś. Nie sądzę, aby rację mieli ci, którzy twierdzą, że Rosja nie jest częścią Europy, jako pewnej jedności cywilizacyjnej. Kultura i typ psychiczny rosyjskich warstw oświeconych są wybitnie atrakcyjne i bliższe cywilizacji łacińskiej, niż cywilizacja anglo-saska. Ta atrakcyjność kultury rosyjskiej bardzo dopomaga polityce Moskwy wchłonięcia narodów nie rosyjskich ZSSR — nielicznych lub o nie rozwiniętej jeszcze kulturze.

Oczywiście, Polsce zależeć będzie na tym, aby wybór jej dawnych pobratymców wypadł w kierunku na zachód, aby Polska stała się pomostem pomiędzy nimi, być może wraz z Rosją, a Europą zachodnią. Naród polski u siebie takich tendencji okazać nie może. Zadanie to przypada emigracji. Ale dorobek jej w tej dziedzinie jest, niestety, bliski zeru. I to też jest klęską tej emigracji.

Problem Litwy

Spośród trzech wschodnich sąsiadów Polski Litwini najłatwiej unikną rozterki. Wybór przez nich orientacji zachodniej nie ulega wątpliwości, datuje się już bowiem od czasów Jagiełły i Witolda.

Z pewnością, wolna Litwa będzie chciała zawrzeć bliższe związki z Łotwą i Estonią, a nawet, być może, z państwami skandynawskimi. Prawdopodobniejsze i bardziej naturalne jednak jest wejście Litwy wraz z Polską z innymi narodami bałtyckimi i obecnymi satelitami ZSSR do jakiegoś związku śród-kowo-europejskiego.

Suwerenność państwowa — według pojęć z ery przed atomowej — jest rekwizytem, usuniętym z kulis sceny światowej

do rupieciarni. Tamże zapewne złożone zostaną kiedyś szczątki ekskluzywnego nacjonalizmu, jako bazy konstrukcji politycznych.

Wszelkie tego rodzaju zagadnienia, w obecnym układzie sił, zdawałoby się, nierealne a nawet fantastyczne, mogą się zaktualizować w ciągu miesięcy a nawet tygodni. Mogłyby też stać się tematem studiów i dyskusji. Ale na to potrzebna jest pewna doza wzajemnej wiedzy i zainteresowania. Nie łudźmy się, że ona w młodym pokoleniu obu narodów istnieje.

Numer litewski „Głosu Polskiego” trzeba powitać jako pierwszy krok po tej drodze. Wprawdzie jedna jaskółka nie robi wiosny ale w końcu ta wiosna przychodzi. Gdyby nawet po tym kroku nie nastąpiły zaraz dalsze, nawiąże do niego kiedyś bieg rzeczy na naszym nadbałtyckim pojezierzu. Dlatego trzeba go skrętnie zanotować. Czego nie zrobiono w „politycznym” Londynie, podjęła grupa ludzi w dalekiej Argentynie. Zwróciła uwagę na potencjalny problem wielkiej wagi i zakreśliła ogólne ramy jego rozwiązania w redakcyjnym słowie wstępnym na początku numeru.

O przeszłości

W numerze litewskim „Głosu Polskiego” umieszczone są prace 17-tu autorów, o ile się nie mylę, 4-ch Litwinów i 13 Polaków, wzgl. Polek.

Na szczególne podkreślenie zasługuje fakt, że, oprócz 2-ch czy 3-ch osób, reszta autorów rekrutuje się z sił miejscowych, oraz że wszystkie wypowiedzi cechuje dążenie do pojednania i porozumienia.

Treść publikacji można podzielić na część historyczno-informacyjną i część polityczną. Nie zamierzam poddawać szczegółowej krytyce, do czego, przy tym, nie czuję się uprawniony, artykułów poszczególnych autorów — nierównej, zresztą, wartości. (Ktokolwiek interesuje się zagadnieniami wschodnimi Polski i Litwy, zawsze żywymi, choć znajdującymi się chwilowo w letargu, powinien nabyć i przeczytać numer litewski „Głosu Polskiego” co nie przedstawia żadnej trudności). Ale kilka uwag ogólnych, raczej przykładowych, nie zawadzi.

Autorom traktującym o historii Litwy — p. N. Bowczysowi i ks. Walkowskiemu — można zarzucić, że mitologia i legenda często wkraczają u nich w dziedzinę historii; w artykułach ks. Walkowskiego, zresztą wyróżniających się ścisłością i wytrawnością pióra, brak omówienia, a nawet czasem wzmianki o takich pomnikach cywilizacji W.X. Litewskiego, jak Zwody Iatopisów, z XIV i XV wieku, jak Statut Litewski, „Wołoczna Pomiera”, Kronika Augustyna Rotunda itp.

P. W. Gilski w art. o „Odrodzeniu narodowym Litwy w XIX wieku”, podając statystykę ludności W. X. Litewskiego u schyłku unii z Polską (1791?) stwierdza: „Był to kraj 8-miu narodowości i 8-miu religii”, tym jednym zdaniem uwydatniając odrębność

i awangardowość struktury narodowościowej Wielkiego Księstwa. W krótkim i obiektywnym szkicu o „Sporze o Wilno” nie wspomina, niestety, p. S. Chorzewski o licznych próbach porozumienia ze strony polskiej w ciągu lat 1918-1920, o Samoobronie polskiej Wilna w styczniu 1919, o projektach Hymansa rozstrzygnięcia sporu, o kryzysie 1927 roku i zjawieniu się marsz. Piłsudskiego w Genewie. Wierny i obiektywny jest p. S. Czechowskiego skrót dziejów 20-lecia niepodległej Litwy, choć niesłusznie pomija autor szczególną koniunkturę lat 1919-1934 (współpraca sow.-niemiecka), która silnie zaważyła na sytuacji Litwy w ciągu tego 15-lecia. Michał Szeżewiczus (nie Kazys) był przywódcą nie socjalistów, lecz ludowców („laudinkai”).

Z następnych, coraz krótszych artykułów w tym dziale muszę zakwestionować tezę p. M. Szumiłły (w art. „Tragedia neutralnego narodu”) jakoby odmowa Litwy uderzenia na Polskę wspólnie z Niemcami we wrześniu 1939 była przyczyną rewizji umowy sierpniowej niem.-sowieckiej i oddania Litwy do sfery wpływów sowieckich. Ta zmiana była po prostu ceną, którą Niemcy zapłaciły Sowietom za odstąpienie im terytorium polskiego między Wisłą, Bugiem i Narwią, w sierpniowej umowie przyznanego Sowietom. „Monstrualna łapanka — 30.455 osób spośród inteligencji litewskiej” — o której pisze autor — odbyła się nie w nocy z 14 na 15 lipca 1940, lecz w rok później w czerwcu 1941, przed wybuchem wojny sow.-niemieckiej. Przy tym, dotknęła ona nie tylko inteligencję i nie tylko litewską, lecz wszystkie warstwy społeczne miejscowe i wszystkie narodowości. Podaje też p. Szumiłło ciekawe zestawienie spadku procentowego ludności litewskiej i wzrostu rosyjskiej w Litwie, a szczególnie w Wilnie w latach po aneksji Litwy przez Sowietów.

O „Litwie sowieckiej” pisze p. Michał Wiernicki, a o „Polakach w Litwie niepodległej” p. B. Lutyk, — obaj zbyt lakonicznie. Dobre szkice dają: p. Halina Jundziłł o „Litewskiej literaturze”, a p. Grażyna Heybowicz o „Osobliwościach języka litewskiego”.

Szkoda, że redakcja „Głosu Polskiego” nie zdołała — jak przypuszczam — pozyskać kompetentnych piór dla uzupełnienia numeru artykułami, dającymi choćby ogólnikowy obraz o bardzo umiejętnej gospodarce litewskiej w latach niepodległości, oraz o rozwoju sztuki plastycznej, muzyki i dziennikarstwa. A może tylko ograniczony rozmiar stanął temu na przeszkodzie? To co w tych szczupłych ramach zrobione zostało na dalekiej obczyźnie zasługuje w każdym razie na wielkie i szczerze uznanie.

Spojrzenie w przyszłość

W części politycznej numeru zabiera głos po dwóch autorów z każdej strony: P. Vaclowas Sidzikauskas, długoletni dyplomata, obecny prezes „Komitetu Wolnej Litwy” w New Yorku i O. Augustyn, duchowny, redaktor tygodnika „Laikas” (Czas) ze strony

litewskiej, oraz znany pisarz, Józef Mackiewicz i prof. Włodzisław Woysław ze strony polskiej.

Litwini są bardziej powściągliwi w precyzowaniu swego stanowiska *pro futuro*, podczas gdy Polacy dają folgę swoim publicystycznym temperamentom. Pierwsi trzymają się bliżej przeszłości, drudzy śmiało antycypują przyszłość.

P. Sidzikauskas pisze językiem wytrawnego dyplomaty, stwierdzając współzależność niepodległości obu narodów i popełnione błędy, oraz podkreślając potrzebę „zbudowania stosunków polsko-litewskich na zdrowszych podstawach”. Wzruszający jest peñen chrześcijańskich uczuć artykuł Ojca Augustyna M.I.C., apelujący by Litwini i Polacy stanęli „ramię przy ramieniu do walki o wolność swoich narodów, o wiarę ojców, zapominając o niezgodach dawnych i swarach”.

Obaj autorzy polscy wybiegają dalej naprzód. Obaj wypowiadają posłuszeństwo kanonom nacjonalistycznej doktryny i nawiązują do tradycji jagiellońskiej w swojej wizji przyszłości. P. Mackiewicz widzi rozwiązanie sporu polsko-litewsko-białoruskiego w przewyżczeniu samej idei nacjonalizmu. Prof. Woysław zaś pisze: „Sądzę, że epoka całkowicie suwerennych państw narodowych należy do przeszłości podobnie jak okres dynastyczny... Wiek XX wymaga pełnego współdziałania narodów mniejszych jako większej całości w określonej formie...”. Obydwa artykuły wśród morderczej monotonii publicystyki emigracyjnej są jak podmuch świeżego powietrza w zatęchłej izbie.

Mimo pewnych różnych odcieni w ujmowaniu problemu i w precyzowaniu form przyszłych stosunków polsko-litewskich, bardzo dodatnim objawem jest wspólne wszystkim autorom odwrócenie się od starych błędów, brak elementów przeciwstawnych w ich wizji przyszłości i zdecydowana wola zgody i porozumienia. O formach porozumienia narodów, zasiedlających między morze bałtycko-czarnomorskie zadecyduje kiedyś układ rzeczy i współczesne mu prądy w kształtowaniu życia zbiorowego. Wstępem do tego musi być dziś tworzenie zbiorowej woli do zgodnego współżycia.

Ze stanowiska polskiego znamieną jest wspólna wszystkim — zdaje się — autorom polskim afirmacja podstawowych elementów tej politycznej doktryny, która na mieszanych narodowo obszarach W. X. Litewskiego potrafiła wytworzyć wspólną rację stanu i przechowywać ją przez całe stulecie po upadku państwa. A że przychodzą do nas te głosy z Argentyny — jest to jeszcze jednym dowodem żywotności tej idei (2).

Kazimierz OKULICZ

(2) Ze szczególną satysfakcją notuję ten fakt w związku z uwagami na temat „kompleksów jagiellońskich” w zeszycie 7/8 „Kultury” z 1962 r.

Przeгляд niemiecki

DEMOKRATYZACJA

Czerwcową wizytą Adenauera we Francji stanowiła widowiskową popularyzację umów dawniej zawartych i przemian historycznych o zasadniczym znaczeniu dla jednoczącej się Europy. Prezydent de Gaulle, rezyserując gigantyczne widowisko spotkania z Adenauerem, demonstrował swemu narodowi i całemu światu ostateczną likwidację zamorskiego imperium, przesunięcie środka ciężkości polityki francuskiej do Europy, i — zawarcie zakrojonego na wielką skalę przymierza francusko-niemieckiego. Francuzi, w odniesieniu do przymierza przyjęli widowisko na ogół z uznaniem.

Kanclerz Adenauer, słuchając uroczystej sumy i „Te Deum” w Reims, gdzie przed siedemnastu laty podpisano bezwarunkową kapitulację Niemiec, a następnie przyjmując wspólnie z de Gaullem defiladę połączonych wojsk francuskich i niemieckich — w Mourmelon, w pobliżu olbrzymiego cmentarzyska poległych Francuzów i Niemców — demonstrował swemu narodowi ostateczne zakończenie konfliktu trwającego wieleset lat, oraz konieczność dopasowania demokracji Niemiec do wielkich wzorów Zachodu.

Wrześniowa wizyta de Gaulle'a w Niemczech była uroczystym przyłożeniem pieczęci pod zawartym przymierzem. „Francja składa wizytę Niemcom” — oświadczał de Gaulle i rozwijał cały kunszt swej wymowy i osobistego uroku, by zdobyć uczucia wszystkich warstw społecznych. Przemawiał po niemiecku przed ratuszem w Bonn, do robotników w Zagłębiu Ruhry, w auli uniwersytetu i w szkole wojskowej w Hamburgu, ze stopni Feldherrnhalle w Monachium, do organizacji młodzieżowych w Ludwigsburgu. Ścisnął dłonie spotkanym inwalidom wojennym i przygodnym rozmówcom z tłumu. Nie szczędził żadnego wysiłku, by pesymistów lękających się osi Paryż-Bonn utwierdzić w przekonaniu, że taka oś jest faktem dokonanym.

Skutki tego faktu długo będą emocjonować polityków i publicystów, gdyż na ten temat można snuć najbardziej przeciwstawne horoskopy. Pewna jest tylko zależność tych skutków od dalszego rozwoju sytuacji wewnętrznej obu krajów, a więc od dalszego przebiegu demokracji Niemiec. Jest to niezwykle skomplikowane zagadnienie, wymaga wiele czasu i nie daje uregulować się dekretem, lub wolą najbardziej nawet genialnego meża stanu.

W porównaniu z Francją i innymi demokracjami Zachodu inaczej rozwijała się historia Niemiec, krystalizując się ostatecznie we wszechwładzy państwowej Prus. Tę odrębność historycznego rozwoju do niedawna traktowano w Niemczech jako drogocenną wartość, której należy bronić wszelkimi siłami. Nie dostrzegano jak wielkim brakiem, wynikającym z omnipotencji państwa, jest bierność społeczeństwa przywykłego do posłuchu, a nie nawykłego do kształtowania i urzeczywistniania własnej woli.

Dlatego zapewne spoza demokratycznej fasady Niemiec Zachodnich stale wycierają dawne niezbyt demokratyczne nawyki. Dlatego zapewne głośne już dzisiaj w prasie światowej „memorandum ośmiu” przechodzi

we własnym kraju niezrozumiale dla zachodniego polityka koleje. Wprawdzie obfita, ale w skutkach jałowa, dyskusja na ten temat trwa dalej, jednak ani wielkie partie, ani rząd nie wyciągają z memorandum widocznych dla ogółu konsekwencji.

Jak dotychczas, jedynym uchwytym skutkiem memorandum jest mnóstwo listów kierowanych do autorów. Listy wyrażają często szczere uznanie, lecz nie rzadziej zawierają złośliwe uwagi. Nie brak oczywiście i zarzutów zdrady narodowej, a nawet pogrózek sądów i mordów kapturowych. Czy to przejawy neonazizmu? Nie. To tylko ciągłość historyczna: siła nawarstwionych tradycji.

Rzecznik landsmannschaftu Prus Wschodnich, dr Gille, ma za sobą kilkuletnie doświadczenie pobytu w łagrze sowieckim. Mimo to oświadczył niedawno, że nie sprzeciwiłby się zamknięciu wszystkich „Verzichtspolitiker'ów” za kratkami. (Przypominamy, że ten trudny w tłumaczeniu neologizm ma oznaczać Niemca rezygnującego, lub choćby tylko wąpiącego w możliwość przywrócenia przedwojennych granic wschodnich). Można podzielać, lub zwalczać pogląd dra Gille. Można podziwiać takie stanowisko byłego lajermika, albo się nim oburzać. Należy jednak przyznać, że tolerancja demokratyczna nakazuje poszanowanie i takich poglądów i nie zabrania ich wyznawcom łączyć się w takie czy inne związki, jeżeli te poglądy nie są sprzeczne z konstytucjami poszczególnych Krajów i Republiki Związkowej.

Jeżeli jednak urzędujący minister, jak na przykład minister Dolnej Saksonii, p. Erich Schellhaus, publicznie domaga się kary więzienia dla „Verzichtspolitiker'ów”, a rząd, którego członkiem jest p. Schellhaus, nie reaguje na takie wystąpienia swego kolegi, to należy stwierdzić, że wyrozumiałość wykracza tu dość daleko poza demokratyczne obyczaje.

W przeciwieństwie do wyrozumiałości sfer urzędowych — poważny organ prasowy nazywa ministra krajowego po prostu osłem. Hamburgski „Die Zeit” z 7 września rb. pisze: „W polityce wschodniej Republika Związkowa mało dotychczas miała szczęścia. Wielokrotnie próbowano nawiązać kontakty i wypiełgnować wątłą roślinkę porozumienia. Każdorazowo jednak znajduje się jakiś osioł — po tej, lub po tamtej stronie żelaznej kurtyny — który najspokojniej i bez żenady tę roślinkę zżera”. Dalej następuje opis ponownego wystąpienia Schellhauza, żądającego publicznie kary więzienia dla „Verzichtspolitiker'ów”.

W tym samym numerze „Die Zeit” publikuje artykuł profesora Golo Manna, w którym autor stwierdza że dla niemieckiej polityki wschodniej konieczne jest „dobrowolne uznanie nowego porządku terytorialnego w Europie Wschodniej. Uznania nie w pertraktacjach pokojowych, lecz przez swobodną manifestację woli, nim w ogóle nastąpią prawdziwe układy pokojowe”. A więc profesor Golo Mann winien znaleźć się za kratkami?

Skutki faktu dokonanego — osi Paryż-Bonn — uzależnione są od dalszej demokracji Niemiec, od zagadnienia, czy w najbliższych latach profesor Mann znajdzie się za kratkami, czy też może enuncjacje ministrów typu Schellhauza oglądać będziemy w muzeum osobliwości.

Heinz Reinefarth, były generał SS i jeden z „wybitnie zasłużonych” poskromicielei Powstania Warszawskiego, po wojnie burmistrz modnego ką-

pieliska Westerland na wyspie Sylt, jest oskarżony, że dowodził oddziałami przeprowadzającymi masowe egzekucje ludności na Woli. Prokuratura to wszczyna, to, z braku dowodów, zawiesza oskarżenie. W końcu września 1958 roku wstrzymano właśnie dochodzenia, co umożliwiło panu burmistrzowi kandydować do parlamentu krajowego i 25 października tegoż roku Reinefarth został posłem w Szlezwig-Holstein z ramienia partii BHE.

Historyk powojennego pokolenia, dr Hans von Krannhals, przygotowuje do druku obszerną pracę o Powstaniu Warszawskim. Wyjątki z tej książki ukazały się w prasie jeszcze w ubiegłym roku. „Według służbowych zależności” — pisze Krannhals — „piątego sierpnia 1944 roku jako wykonawcy masowych mordów wchodzi w rachubę tylko oddziały dowodzone przez Reinefartha”.

Reinefarth bronił się poprzednio twierdząc, że dopiero po 5 sierpnia, tzn. po dniu największego nasilenia masowych egzekucji, objął dowództwo. Dokumentacja wypowiedzi Krannhalsa opiera się na dzienniku wojennym 9 armii, znanym prokuraturze co najmniej od czasu ukazania się odpowiednich artykułów w prasie, czyli od jesieni ubiegłego roku. Jednakowoż były SS-general posłuje nadal w Szlezwigu i burmistrzuje w Westerlandzie, mimo ataków w wielu pismach.

I w tym wypadku, tolerancja parlamentu krajowego, prokuratury i mieszkańców Westerlandu — wybiega dość daleko poza demokratyczne wzory Zachodu.

Ciekawe czy bylemu generalowi SS, Reinefarthowi, dostępne są uczucia zwane sumieniem, a jeżeli tak to co go dręczy? Czy pamięć pomordowanych na Woli ofiar, czy może spartaczenie rozkazu Himmlera, który brzmiał wyraźnie: „...niewalcząca część ludności, kobiety i dzieci, również winna być zabita. Całe miasto winno być zrównane z ziemią”. (Z zeznań Bach-Zelewskiego w Norymberdze).

Minister Spraw Wewnętrznych Republiki Związkowej opublikował niedawno sprawozdanie o prawicowych ekstremistach, czyli po prostu o neonazistach w Niemczech Zachodnich. Można się domyśleć, że do tej publikacji skłoniły ministra alarmy prasy zagranicznej, wywołane przed dwoma laty antysemitkami wybrykami. Podane cyfry i daty najniewątpliwiej są bardzo skrupulatnie zebrane i nie „fryzowane”.

Dowiadujemy się z nich że istnieje około 90 „skrajnie prawicowych” organizacji, które w ciągu ostatnich dwóch lat utraciły około trzeciej części swego składu i w grudniu 1961 liczyły łącznie około 12.300 członków, w czym organizacje młodzieżowe nie więcej jak 2.100. Jeżeli uwzględnimy, że w tym mieszczą się także agenci i „usłudni” kierowani z zewnątrz, podane ilości okażą się bardziej niż znikome w porównaniu z 55 milionami ludności, a zwłaszcza wobec w tym samym sprawozdaniu wymienionych czterech i pół miliona młodzieży czynnej w normalnych organizacjach społecznych.

Z tej imponującej liczby 4,5 miliona młodzieży (ca 8% ludności) wyłoni się w niedalekiej przyszłości odpowiedź na pytanie czym jest demokracja niemiecka: fasadą, kryjącą despotyzm typu Schellhausa i mit

nietykalności szlif generalskich Reinefarthów — czy nowoczesną społecznością, kierującą się filozofią Bartha, Jaspersa i kardynała Doepfnera.

Na razie bliżsi i dalsi pobratymcy Schellhausa i Reinefartha bronią swych pozycji zaciekle. Zarysowuje się konflikt polityków przeciw uczonym. Czy uda się politykom taktycznymi gierkami pociągnąć za sobą młodzież, czy obłudna argumentacja głosząca, że uznanie granicy na Odrze wzmocni tylko reżym komunistyczny w Polsce, a więc jest szkodliwe i dla Polaków, zdola zamącić zdrowy rozsądek dorastającego pokolenia — można powątpiewać. W obecnych warunkach przedstawiciele wiedzy mają lepsze widoki.

Profesor Mann, stwierdzający, że Polacy mają wszelkie podstawy do braku zaufania do Niemców, i propagujący konieczność przede wszystkim zdobycia tego zaufania — jest czytany z uwagą i w skupieniu.

Wnuk Wilhelma II, Kronprinz Louis Ferdinand von Hohenzollern, oświadczył przed kilku tygodniami reporterowi popularnego pisma ilustrowanego, „Der Stern”:

„Zamek w Oels (tzn. stary zamek piastowski w Oleśnicy) i dobra tamtejsze są moją własnością i nigdy ich się nie zrzeknę. Nie może pan ode mnie — jako od króla pruskiego — spodziewać się innej odpowiedzi. Wyrzekać się? Uznawać granicę Odra-Nysa? Nigdy! Żaden rząd niemiecki nie może odważyć się na podpisanie takiego aktu. Dlaczego zresztą? Historia zmienia się tak szybko. Kto wie co nastąpi. Może za pięć lat wskutek rozwoju Chin będziemy sprzymierzeńcami Związku Sowieckiego. Wtedy załatwienie sporu wypadnie całkiem inaczej”.

Reporter „Sterna” potraktował wypowiedzi królewskie kurtuazyjnie lecz uszczypliwie, a większość młodych Niemców, którym podsuwałem reportaże, okazywała zażenowanie lub wybuchała śmiechem. Ale raz sam się mocno czerwiłem. Rezolutny student przeczytawszy tytuł „Wie Oels zu Oleśnica wurde” — jak Oels stało się Oleśnicą — i pierwsze zdanie: „Oels war eine alte deutsche Stadt”, z miejsca zapytał:

Czy kardynał Oleśnicki, kanclerz Władysława Warneńczyka, pochodził z Oleśnicy?

Nie wiedziałem.

Jeszcze w poprzedniej kadencji Bundestag uchwalił nową ustawę, w której szerokim gestem ulatwił wyjście z kłopotliwej sytuacji sędziom i prokuratorom z czasów wojny, mającym drakońskie wyroki na sumieniu, a pozostającym dotychczas w sądownictwie. Bundestag w lipcu ubiegłego roku postanowił: „Sędzia lub prokurator, który między 1 września 1939 roku a 9 maja 1945 roku współdziałał w wykonywaniu procedury karnej — może przedterminowo złożyć podanie o przeniesienie w stan spoczynku”. Ograniczono jednak termin składania tych przedterminowych podań do 30 czerwca 1962 roku.

W lipcu minister sprawiedliwości zawiadomił marszałka Bundestagu, że do 30 czerwca wpłynęły 143 podania. Wkrótce w prasie ukazały się imienne zarzuty przeciw sędziom i prokuratorom, którzy nie skorzystali z dogodnej okazji. Doszło nawet do skandalu. Minister sprawiedliwości został zmuszony do zwolnienia świeżo mianowanego generalnego prokuratora, Fraenkla, nim zdolał on objąć urządowanie.

Z licznych uwag prasowych można się spodziewać niejednego jeszcze podobnego skandalu. Nie ma to jednak większego znaczenia. Ważne jest, że przypływ młodych sił do palestry umożliwia już przeprowadzenie mocno spóźnionej „czystki” balastu Trzeciej Rzeszy.

W ubiegłym roku budżetowym rządy krajowe, łącznie z rządem związkowym w Bonn, wydatkowały dwa miliardy marek na wyższe szkolnictwo, instytuty badawcze i powiększenie personelu akademickiego. Wydatkowano o 25% więcej niż w poprzednim roku sprawozdawczym. Suma dwóch miliardów stanowi 0,83% dochodu narodowego. Projektuje się w najbliższej przyszłości budżet wyższej oświaty ustalić na jeden procent dochodu narodowego.

Ogółem studiowało w ubiegłym semestrze 237.547 studentów, z czego 176.732 (74%) w osiemnastu uniwersytetach, 53.446 (23%) w ośmiu politechnikach, 4.792 (2%) w zakładach uniwersyteckiej rangi, i 2.577 (1%) w filozoficzno-teologicznych i wyznaniowych wyższych uczelniach. Udział studentek wynosił 22%. Obcokrajowców studiowało 21.803 a między nimi 2.450 Afrykanów. W wyższych szkołach muzycznych, malarstwa i rzeźby, oraz sportu, było zapisanych 7.924 studiujących w czym 787 obcokrajowców. W tym samym czasie przynano 56.287 matur. (Według „Deutsche Kultur-nachrichten” styczeń, lipiec, sierpień 1962).

Osobliwością niemieckiego szkolnictwa jest brak centralnego ministerstwa oświaty w Bonn. Każdy z krajów związkowych posiada własne „Kulturministerium”. Jedyną ogólnoniemiecką instytucją koordynującą zagadnienia akademickie jest stała „Konferencja Rektorów”.

Zwolennicy centralizmu państwowego wysuwają wiele zarzutów przeciw temu systemowi, jednak w zagadnieniu demokratyzacji obecny stan rzeczy niewątpliwie odgrywa wysoce dodatnią rolę, a ze współzawodnictwa ambicji poszczególnych prowincji — zakłady naukowe odnoszą tylko korzyści.

W nadchodzącym semestrze zimowym przewidziana jest inauguracja szeregu nowych katedr, z których dwie wzbudzą nasze specjalne zainteresowanie: Katedra Historii Europy Wschodniej ze specjalnym uwzględnieniem Historii Polski w Getyndze, oraz taka sama katedra ze specjalnym uwzględnieniem Historii Rosji we Frankfurcie.

W dziejach uniwersytetów niemieckich katedra Historii Polski jest inowacją bez precedensu. Ordynariuszem jej będzie znany czytelnikom „Kultury” profesor Hans Roos. Katedrę Historii Rosji obejmuje profesor Dietrich Geyer, autor dokumentacji „Traktaty i układy Polski z innymi państwami w latach 1919-1957”.

Obaj nowopowołani ordynariusze są wychowankami uniwersytetu w Tybindze, obaj byli asystentami profesora Wernera Markerta i docentami w Tybindze. Dotychczasowe prace obu profesorów dają gwarancję, że nowe katedry staną się źródłami obiektywnej wiedzy.

Profesor Roos obiecał dać jesienią rb., po rozpoczęciu wykładów, obszerny wywiad dla „Kultury”.

S. W. KOZŁOWSKI

Sprawy i troski

Votum nieufności

W związku z niedawnymi wyborami na emigracji w W. Brytanii, rozpisany przez Tymczasową Radę Jedności Narodowej, redakcja „Dziennika Polskiego” zwróciła się do jednego z przywódców opozycji, p. Rowmunda Piłsudskiego z propozycją artykułu oceniającego te wybory. Artykuł jednak nie został w „Dzienniku” zamieszczony. Uważając tego rodzaju metody za niewłaściwe i uważając że społeczeństwo emigracyjne ma prawo zapoznania się ze stanowiskiem wewnętrznej opozycji TRJN, zamieszczamy odrzucony artykuł, jakkolwiek nie pokrywa się on z poglądami redakcji „Kultury”. Nasze stanowisko zostało sprecyzowane w bież. nrze w „Kronice angielskiej” (str. 77).

„Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło” — mówi stare polskie przysłowie. Można je zastosować także do imprezy wyborczej przeprowadzonej niedawno pośród Polaków w W. Brytanii. Mimo wielu bowiem stron ujemnych impreza ta miała także jeden skutek dodatni: wyjaśniła sytuację polityczną na emigracji.

Istota sporu

Od szeregu lat toczył się spór w Tymczasowej Radzie Jedności Narodowej na temat tego, jaki jest w rzeczywistości stosunek społeczeństwa emigracyjnego do kierownictwa politycznego. Stronnictwa opozycji twierdziły, że kierownictwo nie ma poparcia społeczeństwa, ponieważ organizacja, metody pracy i linia polityczna kierownictwa, wywodzące się z założeń ustalonych bezpośrednio po zakończeniu wojny, są przestarzałe i nie odpowiadają już ani sytuacji międzynarodowej i krajowej, ani dzisiejszym warunkom pracy emigracji na rzecz sprawy polskiej.

Domagały się więc one dostosowania tych założeń do zmienionej sytuacji, a w szczególności zastąpienia koncepcji „państwa na wygnaniu”, stanowiącej wciąż podstawę kierownictwa politycznego, przez zasadę powszechnych i demokratycznych wyborów.

Stanowisko grup tzw. większości, wytworzonej zresztą metodami nie zawsze zgodnymi z Aktem Zjednoczenia, było wręcz odwrotne. Dla grup tych czas jak gdyby zatrzymał się w roku 1945. Stąd, były one przeciwne jakimkolwiek zmianom emigracyjnego systemu politycznego twierdząc, że oparte o ten system kierownictwo nie tylko cieszy się pełnym zaufaniem społeczeństwa uchodźczego, ale ma także prawo przemawiać w imieniu narodu i państwa polskiego.

Wybory i ich charakter

Spór ten pozostawałby zapewne długo jeszcze nierozstrzygnięty, gdyby nie fakt kurczenia się wpływów Skarbu Narodowego. By naprawić ten alarmujący stan rzeczy, grupy większości, mające w swych rękach kierownictwo Zjednoczenia, postanowiły wykorzystać popularne w swoim czasie w społeczeństwie hasło wyborów. Nie miały one jednak na myśli wyborów w prawdziwym sensie tego słowa, które dałyby społeczeństwu możliwość zadecydowania zgodnie z jego wolą o tym, jak ma wyglądać po dwudziestu trzech latach na obczyźnie kierownictwo emigracji i jaką ma prowadzić politykę. Chodziło tylko o takie wybory, które by nie zmieniając dotychczasowego systemu politycznego stworzyły jednocześnie pozory, że ma on poparcie społeczeństwa.

By to osiągnąć, wprowadzono do ordynacji wyborczej trzy zasadnicze ograniczenia: 1) oddano na wybory tylko 30 miejsc w Radzie Jedności Narodowej na ogólną ich liczbę 101; 2) nie przyznano społeczeństwu prawa bezpośredniego wyboru nawet tej skromnej ilości członków Rady, a jedynie delegatów na Zjazd, który dopiero tych członków wybierze; 3) zastosowano zasadę powszechności wyborów tylko do czynnego prawa wyborczego, nie obejmując nią prawa biernego, to znaczy każdy mógł głosować, ale nie każdy ma prawo być wybrany na członka Rady.

Ograniczenia te pozbawiły wybory możliwości stania się drogą do uzdrowienia systemu politycznego emigracji i prawdziwego jej zjednoczenia, a równocześnie nadały wyborom piętno wyraźnie niedemokratyczne. Trudno więc się dziwić, że stronnictwa opozycji odmówiły udziału w takich wyborach, jako bezużytecznych z punktu widzenia potrzeb życia emigracji, a szkodliwych dla jej celów niepodległościowych, ponieważ osłabiających podstawę moralną i polityczną jej żądania demokratycznych wyborów w kraju, gdy sama nie przeprowadza ich u siebie.

W rezultacie wybory stały się czymś w rodzaju referendum za i przeciw obecnemu systemowi politycznemu na emigracji. Udział w głosowaniu wzięli bowiem tylko zwolennicy tego sys-

temu i niektórzy polityczni idealisci, zasugerowani hurra-patriotyczną propagandą pro-wyborczą.

Sens polityczny wyników

Wyniki tego referendum są już dziś znane. Według jego organizatorów głosowało 13 tysięcy osób, według obliczeń opozycji trochę ponad 11 tysięcy, ale nie będziemy się spierać o tę różnicę, ponieważ nie jest ona istotna dla politycznej oceny rezultatu wyborów. Istotny jest fakt, że bez względu na to, którą z tych cyfr przyjmujemy, okaże się, iż prawie 90% emigracji w W. Brytanii powstrzymało się od udziału w głosowaniu. Sens polityczny tego faktu jest prosty. Oznacza on druzgoczące votum nieufności dla kierownictwa politycznego. Długotrwały spór w TRJN został wreszcie rozstrzygnięty przez samo społeczeństwo.

Oczywiście różne były przyczyny tej masowej abstynencji od wyborów. Jedni nie wzięli w nich udziału z podobnych motywów, jak stronnictwa opozycji, inni — dlatego, że przestali się interesować emigracyjnym życiem politycznym, zniechęceni do niego ze skutecznego długoletniego odsuwania ich od wszelkiego wpływu na politykę polską, zresztą przez tych samych ludzi, którzy są autorami tegorocznych „wyborów”. Niezależnie jednak od tego, czy abstynencja była wynikiem świadomej woli, czy obojętności, sens jej w obu wypadkach był ten sam: brak poparcia dla istniejącego systemu politycznego i kierujących nim ludzi.

Ilość uprawnionych

Podjęmowane są obecnie dość oryginalne próby poprawiania wyników wyborczych. Ponieważ nie można zwiększyć znanej już ilości oddanych głosów, próbuje się więc obniżyć liczbę tych, którzy mieli prawo głosować. Szczególnie daleko posunął się w tym kierunku prezes T. Bielecki, który w swoim artykule w „Dzienniku Polskim” z dnia 30.7. br. twierdzi, że uprawnionych do głosowania było tylko 60-70 tysięcy osób. Nie wiem skąd pochodzą te cyfry, ale niewątpliwie dalekie są one od rzeczywistości. Według oficjalnych statystyk brytyjskich, zestawionych przez p. B. Czaykowskiego, autora książki „Polacy w Wielkiej Brytanii”, było w Zjednoczonym Królestwie w dniu 31 grudnia 1960 r. 94.447 Polaków nienaturalizowanych, powyżej lat 16-tu. Jednocześnie liczba Polaków, którzy uzyskali naturalizację od roku 1946 wynosiła w dniu 31 grudnia 1960 — 30.292 osób. Cyfra ta nie obejmuje dzieci urodzonych w W. Brytanii. W sumie więc liczba Polaków nienaturalizowanych i naturalizowanych wynosiła w dniu 31 grudnia 1960 — 124.739. Od tego czasu upłynęły blisko dwa lata, więc osoby, które wtedy miały powyżej lat 16-tu dziś mają powyżej lat 18-tu. Aby teraz ustalić liczbę osób, które według ordynacji wyborczej były w roku bieżącym

uprawnione do głosowania, trzeba od powyższej cyfry odjąć osoby między 18 a 21-ym rokiem życia, oraz wprowadzić poprawkę na roczny ubytek emigracji z powodu śmierci i innych przyczyn. Przyjmując, że młodzieży w wieku od 18 do 21 lat jest 10 tysięcy co raczej jest cyfrą wygórowaną, oraz że roczny ubytek emigracji wynosi ok. 1500 osób, otrzymamy, że uprawnionych do głosowania było ok. 112 tysięcy osób, a nie 60-70 tys., jak podaje prez. T. Bielecki.

Przemilczane wyniki

Są stosowane także inne metody zamazywania rzeczywistego obrazu wyborów. Jedną z nich jest niepodawanie do wiadomości publicznej liczby głosów z poszczególnych obwodów na prowincji, a tylko ogłaszanie ich zestawień dla całych okręgów. Powód tej taktyki jest prosty. Gdyby ujawniono wyniki głosowań w obwodach okazałoby się, że często największą abstynencją wyborczą miały duże, aktywne i uświadomione skupienia polskie, jak np. Sheffield (67 głosujących), Birmingham (215), Edynburg (89), Manchester (528), Liverpool (29) i szereg innych, gdzie liczba głosujących wynosiła czasami zaledwie parę procent uprawnionych do głosowania. Równocześnie wyszłoby także na jaw, że największą procentowo ilość zwolenników kierownictwa polityczne ma w osiedlach dla starców, hostelach i szpitalach, gdzie frekwencja głosujących — w przeciwieństwie do ośrodków miejskich — była bardzo wysoka. Innymi słowy okazałoby się, że jakościowe wyniki wyborów są jeszcze gorsze niż wyniki liczbowe.

Członkowie komisji wyborczych delegatami

Druga metoda polega na twierdzeniu, że wybory mimo wszystko były sukcesem, ponieważ rzekomo uaktywniły znaczną ilość nowych ludzi, którzy dotąd trzymali się na uboczu od zorganizowanego życia emigracji. Nie wydaje się jednak, aby uaktywnienie to w istocie nastąpiło. Przede wszystkim nie potwierdza tego liczba oddanych głosów, która nie tylko, że nie jest większa, ale raczej jest mniejsza od sumy członków wszystkich organizacji emigracyjnych. Po drugie, gdyby ten dopływ nowych sił miał w rzeczywistości miejsce, to czym należy tłumaczyć takie zjawiska, że w szeregu obwodów nie odbyły się wybory z powodu braku kandydatów na delegatów (np. w Barnsley, Chesterfield, Long-Eaton, Rotherharm), że w innych z tego samego powodu musiano zmniejszyć pierwotnie ustaloną ilość delegatów (np. Liverpool, Mansfield), że wreszcie w wielu obwodach kandydatami na delegatów byli członkowie miejscowych komisji wyborczych (co najmniej w 66 obwodach na ogólną ilość 117), a nawet ich przewodniczący (co najmniej 36). Na

marginiesie wypada zauważyć, że ten ostatni fakt, podobnie jak fakt przydzielania niektórym obwodom (np. Derby, Sheffield) nienależących się im, dodatkowych mandatów z miejsc, gdzie wybory się nie odbyły, pozostają w tak rażącej sprzeczności z powszechnie przyjętą praktyką wyborczą, że przy prawdziwie demokratycznych wyborach byłyby powodem ich unieważnienia.

Reasumując, żadne szminkowanie wyników wyborczych nie jest w stanie ukryć rozmiaru votum nieufności, którego są one wyrazem. Należy przy tym pamiętać, że doszło do wyrażenia tego votum nieufności, mimo że szpały jedyne polskiego pisma codziennego w W. Brytanii były podczas wyborów zamknięte dla stronnictw opozycji, a szeroko otwarte dla organizatorów wyborów, mimo że niektórzy członkowie Rady Trzech uważali za właściwe angażować się osobiście w akcji wyborczej, mimo że były wypadki wykorzystywania dla tej akcji nawet ambon, mimo wreszcie insynuacji, że ci, którzy odmawiają udziału w *takich* wyborach działają na korzyść reżymu.

Głos, ale jaki?

A teraz co dalej? Autorzy wyborów nigdy nie kryli tego, że głównym celem ich imprezy ma być nie wybór 30 członków RJN, lecz zorganizowanie w Londynie dwudniowej masówki 610 delegatów pod nazwą Zjazdu Polaków. Zjazd ten miał odegrać rolę głosu emigracji polskiej, który z jednej strony wyraziłby swoje pełne poparcie dla dotychczasowego systemu politycznego i jego kierownictwa, a z drugiej — potępił tych wszystkich, którzy uważają, że system ten jest przestarzały i chcą oprzeć organizację i działalność emigracji na nowych zasadach.

Powstaje pytanie, czy w świetle wyników wyborczych Zjazd może spełnić tę rolę. Nie wydaje się, aby było to łatwe. Delegatami na Zjazd są bowiem nie tylko członkowie Stronnictwa Narodowego, Ligi Niepodległości i Grupy Społecznej, którzy będą tak postępować, jak im przywódca nakażą, ale również ludzie niezależni, ci idealisci polityczni, uwiedzeni przez propagandę wyborczą, o których wspominałem uprzednio. Otóż należy wątpić, aby ludzie tego typu zgodzili się udawać głos emigracji, gdy wiedzą, że zostali wybrani przez jej znikomą mniejszość. Mogą oni natomiast spełnić odpowiedzialne zadanie z punktu widzenia interesu ogólnopolskiego, o ile staną się na Zjeździe głosem sumienia i rozsądku, domagającym się takiej zasadniczej reformy emigracyjnego systemu politycznego, aby mógł on zjednoczyć całe polskie uchodźstwo niepodległościowe, a nie tylko jego 10%.

Rowmund PIŁSUDSKI

Najnowsza historia Polski

Latrun

Klasztor Emaus, piątek 10 stycznia 1941 r.

Jest godzina dziesiąta wieczorem, czyli jestem tu dopiero od trzech godzin, zakwaterowany w dużym, wysokim, zimnym, oznaczonym nr 29 pokoju klasztorным. Piszę ołówkiem w pamiętniku na wielkim dębowym stole, obstawionym długimi ciężkimi ławami. Stojąca obok zeszytu lampa stajenna oświetla tylko część izby, w rogu której rozłożone są nosze przykryte śpiworem i dwoma kocami. Jest to moje samotne postanie na tę noc i zapewne wiele następnych. Pызaty księżyc wychyla się zza gałęzi drzewa mimozy i zagląda do wielkiego okna, kłócąc się ze słabym światłem lampy do której przyczepiona jest ostrzegawcza karteczka: „Zgasić przy alarmie lotniczym”. Oczywiście rozkaz ten nie odnosi się do księżycy.

Jakże się dostałem tutaj do samotnego, mocno rozbudowanego klasztoru na miejscu zwanym Emaus, gdzie Chrystus ukazał się uczniom swoim wkrótce po zmartwychwstaniu? Wszak jeszcze wczoraj przed południem płynąłem po modrych falach morza Śródziemnego naszym starym zasłużonym transportowcem „Warszawa”. Zajęła ta podróż niewiele ponad dwie noce i dzień, ale zawsze to już — podróż morską. Z portu tureckiego Mersyna wypłynęliśmy cicho bez sygnałów, skradając się o 2-iej w nocy na ósmego stycznia. Ranek wzeszedł jasny i pogodny, ale silna fala idąca z boku statku spowodowała objawy choroby morskiej naraz u paru set pasażerów. Kapitan Meissner z medyczką pełniącą funkcję lekarza okrętowego zwołał nas czterech lekarzy pasażerów i przydzielił nam służbę na najbliższe 24 godziny. Zaopatrzeni w torby z apteczki okrętowej obchodziliśmy pomieszczenia żołnierzy i uchodźców cywilnych. Tu dr Dąbkowska

Materiały drukowane w tym dziale zamieszczane są na odpowiedzialność autorów i nie są wyrazem poglądów Redakcji.

miała dużo pracy przy ratowaniu chorych kobiet i dzieci. Na dole statku u żołnierzy panował zaduch i gorąco. Poza tym kołysanie dawało się tu dotkliwie odczuwać. Poradziłem chorym wyjście na pokład, gdzie przynajmniej było czym oddychać przy odświeżających powiewach wiatru. Większość posłuchała i wyszła po stromych schodkach żelaznych. Natomiast jeden, starszego wieku, z grupy powstańców śląskich, leżąc na swym potarganym postaniu spojrzął na mnie złośliwie mówiąc:

— Co tu godocie... Jo słuchołem tylko jednego Korfantygo i nikogo słuchoł tu nie bede!

Oczywista, dłużej nie nastawałem. Zresztą i ten opozycjonista wyszedł również na pokład w godzinach popołudniowych. Odbywało się tam dla rozrywki pasażerów przedstawienie z obowiązującą „polką w szafliku” tańczoną przez żołnierza przebranego za kucharkę z dziarskim czeladnikiem mularskim. Pod wieczór porucznik Lutyk Wiśniewski miał zajmujący odczyt o przebytych przez niego walkach pod Narwikiem. Noc przeszła spokojniej i przed południem dnia wczorajszego zobaczyliśmy przy pięknej pogodzie wynurzającą się z morza długą, wysoką górę Karmel z bielejącym na niej miastem portowym Haifa. Wkrótce zatrzymaliśmy się przy wejściu do portu oczekując na pilota, który przybył na szybkiej motorówce i przeprowadził nas przez pole min, chroniące zatokę. Wzruszenie ogarnęło nas gdyśmy powoli wpływali do portu. Minione niebezpieczeństwo podróży, możliwości storpedowania przez łodzie podwodne włoskie i niemieckie, oraz nadzieja na dalsze słuzenie Ojczyźnie sprawiły iż staliśmy wszyscy na pokładzie, śpiewając ze łzami w oczach: „Jeszcze Polska nie zginęła”. Wreszcie dobijamy do mola. Najprzód wyładowują się wojskowi. Przy wyjściu ze statku stoi komendant stacji zbornej polskich żołnierzy podpułkownik Keller i porucznik Sławik, obok nich konsul polski z Jerozolimy Korsak. Szybko odbywamy z pułkownikiem Kornausem odprawę celną, po czym samochodem konsula zostajemy odwiezieni do Karmelian Court Hotel. Tu po obiedzie śpimy aż do pogodnego pięknego wieczora. Kupujemy mapy i przewodniki Palestyny, przy czym zmieniamy pieniądze. Podziwiamy zachód słońca tonącego powoli za czerwoną smugą światła w drobnych falach morza. Widok z przylądka, którym wrzyna się w morze góra Karmel na Emek Zevulum, jest śliczny. Nieco dalej widać ruiny starej Akry. Wszędzie naokoło zieleń gajów pomarańczowych schodzi prawie do błękitu wód, oddzielona jedynie wąskim pasem wydm nadbrzeżnych. Dwujęzyczne angielskie i hebrajskie szyldy na sklepach i rogach ulic, z których niewiele rozumiemy, popędzają nas do powrotu do hotelu i rozpoczęcia pierwszej lekcji języka angielskiego. Nadchodzi pułkownik Keller i miejscowy pułkownik angielski. Zaprasza on do messy, ale dziękujemy tłumacząc się znużeniem podróży, po czym idziemy spać. Dzisiaj od rana udałem się do komendy stacji zbornej, gdzie odbył się obrządek przyjęcia mnie do wojska. Punktem wyjścia jest pismo:

„Ambasada Rzeczypospolitej w Turcji. Attaché wojskowy nr 605/40
Ankara dnia 18 grudnia 1940 r.

Do Komendanta Ośrodka Zapasowego Brygady Strzelców Karpackich
w Palestynie.

Zawiadamiam, że Generał dr Sławoj Składkowski otrzymał od Naczelnego Wodza rozkaz zgłoszenia się w Ośrodku Zapasowym Brygady. Tadeusz Machalski, attaché wojskowy, pułkownik dyplomowany”.

Po zapisaniu w szeregu ksiąg ewidencyjnych, badający mnie doktor Berlin z Otwocka nadał mi kategorię zdrowia: A. Istnieje podobno kategoria A 1 dla młodych mogących służyć w kolonjach. Na pytanie oficera ewidencyjnego o moje odznaczenia i pochwały, odpowiedziałem że odznaczeń mam dosyć dużo, ale co do pochwał to w ostatnich czasach nikt mnie nie chwalił. Śmiech obecnych był świadectwem gorzkiej prawdy mego oświadczenia. Koło południa przyjechał samochodem generał Zamorski. Przywitał się uprzejmie ze mną i pułkownikiem Kornausem, po czym zjedliśmy należący się nam obiad z kotła żołnierskiego. Generał przeprowadził inspekcję stacji zbernej i zabrał nas do swego samochodu. Pojechaliśmy świetną asfaltową szosą wśród gajów oliwnych i pomarańczowych przez biały, piękny Tel-Aviv do m.p. Ośrodka Zapasowego, do obozu na wzgórzu Latrun, leżącego obok klasztoru Emaus. Nazwa Latrun pochodzi od łacińskiego „latro” — rozbójnik. Podobno zbójcy ukrywali się tu kiedyś na zalesionych wzgórzach, czatując na kupców wiozących przez wąwozy towary z portu Jaffy do Jerozolimy. Celem zapewnienia bezpieczeństwa krzyżowcy zbudowali na sąsiednim wznieśieniu mocny zamek, z którego zostały tylko ruiny. Obecnie na tym dawniej zbójcekim wzgórzu leży nasz uczciwy polski obóz. Wjechaliśmy doń przy zachodzącym słońcu obok prezentującego broń polskiego żołnierza i biało-czerwonej, zawieszanej na wysokim maszcie chorągwi. Serce biło, gdy po wygnańczej poniewierze znów ujrzałem uzbrojonych Polaków. Po kolacji w kasynie siedzę tu w swoim pokoju w klasztorze. Obok, pokój nr 30 zajmuje pułkownik Kornaus. Przy naszym korytarzu jest zamknięte kratą wejście do kaplicy z palącą się przed ołtarzem lampką oliwną. Już późno, kończę pisanie, by iść spać. Drzwi na klucz zamknąć nie można, gdyż w klasztorze są tylko klamki przy drzwiach, widocznie ze względu na możliwość stałej kontroli mieszkańca celi. Przymykam więc drzwi, odkładam zeszyt, gaszę lampę i mówię dobranoc ciągle patrzącej w okno białej, dobrze odżywionej twarzy księżycy.

Latrun, 19 stycznia 1941, niedziela

Piszę to w pustym kasynie znajdującym się na parterze w refektarzu klasztoru. Z powodu niedzieli większość oficerów wyjechała autobusem na przepustki do Tel-Awivu lub Jerozo-

limy. Pułkownik Kornaus opracowuje przy sąsiednim stole swoje tajemnicze papiery, dotyczące przeprowadzanej przez niego selekcji będących w obozie oficerów. Codziennie do późna w noc przeprowadza w swoim pokoju osobiście badania ofiar. Na moje niewinne pytanie o czym rozmawia z nimi tak późno odpowiada, że jest tu przysłany, by sprawdzić kto z cywila nadaje się do wojska, a kto z wojska musi iść do cywila. Nie podał przy tym wytycznych, którymi kieruje się przy swej selekcji. Wiadomo jednak powszechnie, że najgorszą rekomendacją jest gdy kto był w pierwszej Brygadzie Legionów. Kto tam nie był, no to jeszcze można z nim gadać i być może zostanie do wojska przyjęty. Na tym tle panuje w obozie ciężka nieufna atmosfera. Co do mnie, mają podobno wyjść specjalne zarządzenia naczelnego dowództwa w jaki sposób mnie użyć. Tak przynajmniej mówi nadeszła przed tygodniem depesza z Dowództwa Brygady Karpackiej, z Egiptu, podpisana „z rozkazu” przez pułkownika Zakrzewskiego. Generał Zamorski, u którego zameldowałem się na drugi dzień po przyjeździe, przyjął mnie uprzejmie, ale również nie mógł nic powiedzieć konkretnego w tej sprawie. Gdy byłem w Polsce ministrem spraw wewnętrznych, generał Zamorski był moim podkomendnym jako główny komendant policji. Obecnie role radykalnie się zmieniły: ja jestem jego podwładnym w wojsku. W tydzień po moim przybyciu generał oświadczył mi, że w rozmowie telefonicznej z dowództwem Brygady zaproponował, by mnie użyć do funkcji inspekcyjno-sanitarnych w podległym mu wojsku polskim na terenie Palestyny. Ma nadzieję, że odpowiedź będzie pozytywna. Jestem mu wdzięczny za ten życzliwy stosunek. Dużo pomaga mi w nowych warunkach obozowych również adiutant generała, b. komisarz policji, porucznik Nikles. W poprzednią niedzielę zaraz po obiedzie, który tu jest o pierwszej po południu, wybraliśmy się do odległego o 15 mil, zbudowanego przez Żydów nad morzem, miasta Tel-Aviv (znaczy Wzgórze Wiosny). Generał Zamorski jadąc do mieszkającej tam rodziny zabrał ze sobą generała Głuchowskiego, pułkownika Kornausa i mnie. Wijącą się wśród wzgórz asfaltową szosą mijamy osadę arabską Ramle, przecinając tor kolei biegnącej od Haify do Jerozolimy. Dalej do samego Tel-Awivu jedziemy wśród gajów pomarańczowych. W mieście rozpięchamy się każdy za swymi interesami. Zamawiam u pochodzącego z Polski krawca Eichenbrennera mundur, dwie pary spodni i furazerkę. Spotykam farmaceutę Hirschorna, który mnie poznaje, gdyż pracował kiedyś w fabryce dywanów Hillmana w Stanisławowie, gdzie widział mnie w czasie jednej z inspekcji. Obecnie wprowadza mnie do konsula generalnego Polski na Palestynę, Rozmaryna, z którym wspominamy dawne dobre czasy z sejmu polskiego. Konsul przyrzeka mi pomoc w sprowadzeniu rodziny z Latrun w nadmorskiej kawiarni Noga i samochodem generała Zamorskiego wracam do naszego obozu. W drodze umawiamy się iż od następnego dnia zaczniemy brać lekcje angielskiego od

przyjeżdżającego trzy razy w tygodniu do Latrun nauczyciela języków ze szkoły Berlitza w Tel-Avivie. Przygotowywać się zamierzamy do tych lekcji starannie. Tylko pułkownik Kornaus będzie miał trudności ze względu na „nocne rodaków rozmowy”.

Korzystając z większej ilości oficerów w obozie zaczynam zbierać dane o kampanii wrzesniowej, celem opracowania ich w związku z czynnościami mego rządu w tym ciężkim okresie. W piątek 17 stycznia byliśmy we trzech: generał Głuchowski, pułkownik Kornaus i ja w konsulacie w Jerozolimie, by ustalić nasze adresy dla korespondencji z rodzinami. Sprawy nasze zostały załatwione pozytywnie przez konsula Korsaka, wicekonsula Webera i oficera placu rotmistrza Płaskiego. Po pobieżnym zwiedzeniu starego miasta, udałem się do Domu Polskiego, by wręczyć mieszkającemu tam biskupowi Radońskiemu list od krewnego z Istambułu. Ksiądz kanonik Pietruszka pokazywał nam z płaskiego dachu Domu pełną religijnych pamiątek panoramę Jerozolimy. Czułem się bardzo nieswojo. Byłem pierwszy raz w Świętym Mieście, a niestety wjechałem do niego po prostu wojskowym samochodem. Wydawało mi się, że popełniłem jakąś profanację. Toż waleczny krzyżowiec Godfrey de Bouillon zdobywając Jerozolimę wszedł w jej mury na kłęczkach. Generał angielski Allenby, po odebraniu Świętego Miasta od Turków, zsiadł z całym swym sztabem z koni i udał się pieszo do świątyni Grobu Chrystusa. Tylko pyszałek Wilhelm II wjechał konno przez rozszerzoną dla niego bramę Jaffską. Dołączało się do tych niefortunnych przygnębiających porównań dziwne uczucie, że jestem w tych świętych miejscach nie z potrzeby ducha jako pokorny pielgrzym, ale niestety jedynie w sprawach służbowych. W minorowym nastroju i z bólem głowy wróciłem pod wieczór roztrzęsioną taksówką do naszego obozu.

Latrun; 27 stycznia, 1941, poniedziałek

W ciągu ubiegłego tygodnia zostałem ustabilizowany w wojsku polskim. Zaczęło się od Anglików. Gdy kwaterymistrz naszego obozu, major Kandel, zawiadomił telefonicznie naczelnego lekarza wojsk angielskich w Palestynie pułkownika Large o moim przybyciu do wojska, ten zaprosił mnie do swego biura w Jerozolimie na godzinę 11 rano we wtorek 21 stycznia.

Po uzgodnieniu sprawy z oficerem łącznikowym angielskim w Latrunie, majorem Crumb, wyjechałem do Jerozolimy. Zamel-dowałem się w biurze w King David Hotel. Pułkownik Large przyjął mnie uprzejmie i przedstawił swemu dowódcy generałowi Mean, który w dłuższej rozmowie interesował się przebiegiem naszych walk z Niemcami w Polsce. Później pułkownik Large pokazał mi duży pięknie urządzony szpital angielski. Był tam łącznikowy lekarz polski, laryngolog, podporucznik Mikolajewski i 12 polskich żołnierzy, chorych na zapalenie egipskie oczu, dezynтеріę i gruźlicę. Przejechaliśmy później do amerykańskiego

schroniska, zamienionego na jadalnię oficerską, gdzie spożyliśmy obiad, po którym pożegnałem pułkownika Large. Pod wieczór w biurach dowództwa angielskiego spotkałem generała Zamorskiego z szefem sztabu pułkownikiem Orskim i Kornausem. Po załatwieniu spraw służbowych zjedliśmy podwieczorek w kawiarni Vienna. Przy naszym wyjściu orkiestra zagrała widocznie na naszą cześć „Pierwszą Brygadę”, dźwięki której sprawiły pułkownika Kornausa w wyraźne zakłopotanie i znacznie przyspieszyły opuszczenie przez niego lokalu. Wieczorem zgłosił się w mój klasztorny pokój strzelec Engelherd, który zaofiarował się nawiązać dobre stosunki między mną a palestyńskimi Żydami, celem wyrównania tego nieszczęsnego „owszem”. Odpowiedziałem że dziękuję mu za dobre chęci, ale jestem obecnie w wojsku, więc nie mogę zajmować się polityką. Parę dni temu przeszliśmy alarm lotniczy. O godz. 10 wieczorem pogasły wszystkie światła w obozie. My, mieszkańcy klasztoru, stanęliśmy na zbiórkę na dziedzińcu. Samoloty przeszły bokiem nie atakując jasno oświetlonego elektrycznością, leżącego w pobliżu, pilnowanego przez Anglików obozu jeńców włoskich. Po pół godzinie spoglądania na gwiazdy, zmarznięci wróciliśmy do swych zaciemnionych pokoi i poszliśmy spać. Taka wojna nie jest straszna.

Przedwczoraj poznałem doktora Warszawskiego szefa sanitarnego naszego obozu oraz dłuższy czas gawędziłem o sprawach krajowych z postem Walewskim, redaktorem tutejszej gazetki obozowej. Po południu udałem się do księdza kapelana Grzondzieli, by dać na Mszę za zmarłego syna mego Miłosza, z powodu dnia jego imienin. W dniu Mszy ordynans Zadora obudził mnie o 7 rano. Ubrałem się szybko i wyszedłem na dziedzińiec. Nad Jerozolimą wstawały dopiero ranne zorze. Mimo panującego półmroku widoczna była różnica między naszym skalistym nagim wzgórzem Latrun, a pokrytym drzewami ogrodem klasztornego trapistów, wzniesieniem Emaus. Ksiądz kapelan Grzondziela czekał już na mnie przy wejściu do kaplicy. Msza była cicha, nawet bez dzwonka ze względu na regułę klasztorną. Dwie tylko świece zapalone na ołtarzu i czarny żałobny ornat potęgowały uczucie smutku i osamotnienia. Po Mszy kapelan zaprowadził mnie do księdza przeora Paul Couvreur'a. Przyjął on nas śniadaniem złożonym z sera trapistów z chlebem i białej kawy. Rozmowa z przeorem Francuzem zesłała rychło na smutne losy Francji. Wierzył on w odrodzenie swojej ojczyzny i bolał nad smutną rolą marszałka Pétain, który opromieniony sławą bohatera spod Verdun, wziął na siebie dobrowolnie niewdzięczny trud ratowania resztek niepodległości Francji. Poza tym przeor wyraził chęć poznania dowódcy naszego, generała Zamorskiego. Pożegnałem się i w ciszy pięknego ogrodu z napisami: „Pax” odpocząłem chwilę od ciężkiego nastroju prześladowającego mnie od początku wygnania. W obozie, na moją propozycję generał Zamorski zgodził się złożyć wizytę przeorowi. Odbyła się ona dzisiaj w godzinach rannych. Towarzyszyliśmy generałowi: ja i ksiądz kapelan Grzondziela. Tym razem przeor poczęstował nas butelką dobrej

malagi i otrzymał od generała przyrzeczenie opróżnienia, jak tylko to będzie możliwe, zajętych przez wojsko pokoi klasztor-nych.

W dzisiejszym rozkazie dziennym zostałem formalnie przyjęty do armii polskiej pod numerem ewidencyjnym 5730. Jednocześnie generał Zamorski definitywnie polecił mi inspekcjonowanie oddziałów wojska polskiego.

Oto treść tak ważnego dla mnie, bo dającego pracę w wojsku pisma:

„Komenda Ośrodka Zapasowego Sam. Bryg. Strzelców Karpackich
m.p. dnia 24 stycznia

Rozkaz nr 19

Inspekcja sanitarna na terenie Palestyny — powierzenie funkcji.

Z dniem 25.I.1941 r. powierzam Gen. Dyw. Składkowskiemu Sławoj Felicjanowi stałą inspekcję jednostek i instytucji Armii Polskiej na terenie Palestyny pod względem sanitarnym. Podstawa: telefoniczna zgoda D-cy S.B.S.K. z dnia 22.I.1941 r.”

Latrun, 26 lutego 1941, środa

Pierwszym rozkazem, jaki otrzymałem od generała Zamorskiego było zbadanie i przystosowanie porcji angielskiej do potrzeb, przyzwyczajają i wymagań naszego żołnierza. Zacząłem od badania stanu istniejącego. Wstawałem o godz. 5 rano, gdy było jeszcze ciemno i w towarzystwie oficera inspekcyjnego, często majora Kretowicza, znanego mi z Turcji, byłem obecny przy gotowaniu śniadania. Kapitan Emanuel Kożuszniak, oficer gospodarczy baonu, był już na miejscu, by dopilnować powoli ruszających się w zimnym wilgotnym poranku zaspanych kucharzy. Starszy sierżant Władysław Chojecki, jako władający angielskim, wyjeżdżał jednocześnie do pobliskiego obozu Sarafand, celem pobrania prowiantów od Anglików. Ten prowiant w urzędowym przepisie zatytułowany „Racja żywnościowa” wydawał się bardzo obfity i urozmaicony, ale zawierał wiele rzeczy nieużytecznych dla naszych żołnierzy, a zbyt mało tych, do których byli przyzwyczajeni. Czego by tam nie było: chleb, lub biszkopty, mięso mrożone, ziemniaki, rzodkiewki i kabaczki, mąka, margaryna, sól, herbata, cukier, mleko, cebula, ser, marmelada, pomarańcze, papierosy 10 sztuk, musztarda, pieprz, ryż, owoce suszone, jajka, kiełbaski, łośoś konserwowy, konserwy mięsne, śledzie, ryba, zapałki 2 pudełka na tydzień, rum, kakao. Oczywiście wiele z tych produktów zastępowało się wzajemnie w razie chwilowego braku dowozu. Po kilku dniach badania w jaki sposób przygotowywane są żołnierskie posiłki z tych produktów, zaproponowałem generałowi Zamorskiemu wyznaczenie komisji, złożonej z oficerów i podoficerów, by opracować najbardziej celowe

wykorzystanie otrzymywanego prowiantu. Sam nie czułem się dość kompetentny, jako świeżo przybyły do Palestyny. Wyłoniona z rozkazu generała Zamorskiego komisja zebrała się dnia 2 lutego 1941 pod moim przewodnictwem i po wysłuchaniu opinii kilkunastu oficerów i podoficerów ustaliła następujące zasady celem poprawy odżywiania żołnierzy.

1. Dać więcej kucharzy zawodowych, lepsze narzędzia i mniej zniszczone kuchnie, które mają być dobrze oświetlone przy gotowaniu i wydawaniu jedzenia.
2. Margarynę przetapiać z cebulą i dawać dwa razy w tygodniu do chleba, gdyż margarynę surową żołnierze wyrzucają.
3. Raz w tygodniu robić jajecznicę z cebulą na słoninie.
4. Rum wydawać w herbacie raz na tydzień w chłodne dni.
5. Utworzyć oddzielną kuchnię z dopłatą dla 221 podoficerów.
6. Mięso dawać: dwa razy w tygodniu gulasz, dwa razy sztuka mięsa, dwa razy kotlety siekane, jeden raz pieczeń z sosem.
7. Zupę dawać nie wieczorem lecz w południe, bo nasi żołnierze są przyzwyczajeni jeść więcej w obiad.
8. Herbaty robić mniej, ale bardziej mocną i w oddzielnych kotłach.
9. Nie dawać zupy z ryb, która jest przez żołnierzy stale wylewana do kubłów.
10. Badać starannie przyjmując prowiant zawartość worków z ziemniakami, gdyż dostawcy dają często na dzień worka zamiast ziemniaków pomarańcze.
11. Część żołdu żołnierzy oddawać na książeczkę oszczędnościową P.K.O., by uniknąć pijaństwa.

Generał Zamorski rozkazał wprowadzić te wytyczne w życie i praktyka wykazała celowość wielu z nich przy codziennym odżywianiu żołnierzy.

Dnia 3 lutego wygłosiłem w sali kina obozowego odczyt pt.: „Zwalczanie chorób w Palestynie”, konieczny ze względu na specjalne warunki klimatyczne w Palestynie. Przeprowadziłem inspekcję polskiego wojskowego szpitala w Sarafand, który jest częścią angielskiego szpitala etapowego nr 12. Komendantem angielskim jest col. Mackie, a polskiej sekcji major lekarz Bujwid. Kwatermistrzem jest kapitan Edward Suchorzewski. Stwierdziłem porządek i celowe leczenie chorych. Leży tam chory na gruźlicę pułkownik Rudka, który był kierownikiem wyszkolenia Ośrodka Zapasowego w Latrun. Stan zdrowia pułkownika jest ciężki. Spotkałem przy nim majora lekarza Wasilewskiego, szefa sanitarnego Karpackiej Brygady, który przyjechał służbowo do Latrun.

We wtorek dnia 4 lutego przy pięknej pogodzie wyjechał, wezwany do Naczelnego Wodza w Londynie, generał Głuchowski. Odprowadziliśmy go do stacji kolejowej Lydda, skąd odjechał do Egiptu. Życzylimy mu pomyślnej służby w wyższych sferach wojskowych. Był dla nas symbolem i nadzieją, że coś zmieni się i w naszej ciężkiej niewyjaśnionej sytuacji.

W sobotę 8 lutego wysyłamy z porucznikiem lekarzem Warszawskim do Jerozolimy depezę gratulacyjną z powodu awansu na generała brygady pułkownika lekarza Large. Jest on bardzo koleżeński i stara się zaspokoić nasze potrzeby lekarskie, często

nawet odmienne od przepisanych u Anglików. We wtorek 11 lutego odbył się na cmentarzu wojskowym w Ramle pod siekącym deszczem pogrzeb pułkownika Rudki, który zmarł tu na obczyźnie, daleko od Polski. Celebrował ksiądz biskup Radoński z Jerozolimy i był obecny dowódca Karpackiej Brygady generał Kopański, który przyjechał z Egiptu.

W czwartek 13 lutego 1941 wyjechałem do Haify, dokąd przybył drogą morską transport złożony ze 147 żołnierzy. W czasie inspekcji stwierdziłem suche, czyste pomieszczenia w barakach i namiotach, po pięć koców do przykrycia na człowieka. Kolaćka żołnierzy dobra, kasza z ziemniakami, okraszona boczkiem. Świeżo przybyli żołnierze są zadowoleni z przyjęcia, ale skarżą się na złe warunki na statku egipskim, którym przyплыли. W ambulatorium badam książki lekarskie przyjmowania do wojska, które prowadzi major doktor Dąbrowski i podchorąży dr Żurkowski. W drodze powrotnej wstępuję do biur konsulatu polskiego w Tel-Avivie, celem udzielenia wyjaśnień konsulowi Rozmarynowi. Rzecz w tym że przed paru dniami otrzymałem uprzejmy list od Organizacji Hechaluc Pionier, podpisany przez prezesów inż. A. Reissa i dra M. Pekera, zapraszający „do zwiedzenia osiedli i instytucji powstałych tu, w kraju, w których udział chaluco przybyłych z Polski jest przeważający”. Wyjaśniam konsulowi, iż z wielkim żalem nie mogę obecnie skorzystać z tak miłego zaproszenia, gdyż uważane to byłoby przez wyższe władze wojskowe za branie przeze mnie udziału w życiu politycznym. Po dłuższej rozmowie z konsulem stanęło, że napiszę list dziękujący na razie za zaproszenie i tłumaczący mnie nawałem pracy w wojsku.

Wracam do Latrun 14 lutego w piątek wieczorem. Przy meldowaniu, w namiocie generała Zamorskiego z rozmowy z konsulem i wyników inspekcji, pierwszy raz dowiaduję się że oficerowie podzieleni zostaną w myśl rozkazów Naczelnego Dowództwa na mających przydziały i pracę — czynnych czyli pierwszej grupy i nieczynnych pozostających bez pracy — grupy drugiej. Wiadomość ta już wywołała wielkie niepokój w całym naszym obozie. Staram się nie przejmować tą smutną możliwością. By zapelnic wolny czas zbieram skróty najczęściej używane w rozporządzeniach angielskich i zamierzam, za zgodą generała Zamorskiego, wydać krótki podręcznik wyjaśniający ich znaczenie. Będzie to duża pomoc dla naszych oficerów nie znających dobrze angielskiego. Odbyły się nabożeństwa żałobne za dzielnego pułkownika Rudkę w kościele przy klasztorze trapistów w Emaus i w Tel-Avivie w synagodze przy ulicy Herzel 85. Dnia 20 lutego miałem odprawę dla dwudziestu lekarzy pracujących w obozie Latrun i szpitalu Sarafand, celem uzgodnienia porządku pełnienia służby i pracy fachowej. Wieczorem tegoż dnia towarzyszyłem gen. Zamorskiemu wyjeżdżającemu do obozu Australijczyków pod Gazą: 17 Australian Infantry Training Battalion. Była to rewizyta za odwiedzenie nas przez sztab ich batalionu przed kilku dniami. Porządek w ich obozie nie jest gorszy

od naszego. Pałaca jest również sprawa małej ilości broni. My, na 600 ludzi ćwiczących, mamy tylko 150 karabinów. To samo, zdaje się, jest u nich. Zeby takie braki były w Polsce — gromy by leciały z nieba, a raczej z trąb opinii publicznej! Po zwiedzeniu obozu była wspólna kolacja, w ciągu której brzmiała wesoła figlarna piosenka: „We are the Anzac Army” — Jesteśmy wojskiem australijsko-nowozelandzkim. W czasie toastów dzielni, mili Australijczycy przyrzekali, że przy zawieraniu zwycięskiego pokoju będą bezwzględnie domagali się wspólnej granicy z Polską, jako krajem walecznych niezawodnych sprzymierzeńców. Upewniliśmy ich solennie, że my również będziemy żądali dla Polski sąsiedztwa z wiernymi dzielnymi Australijczykami. To hasło wspólnej granicy zostało powtórzone donośnie i obustronnie przy naszym odejściu z gościnnego przyjęcia.

Dnia 27 lutego otrzymałem urlop, by zająć się przyjazdem rodziny z Francji. Spotkałem w Tel-Avivie dyrektora Wacława Żyborskiego, który po długich trudach dotarł tu wraz z rodziną. Ucieszyłem się bardzo z tego spotkania z życzliwym mi kolegą. Odwiedziłem również chorego generała Jakuba Krzemieńskiego.

Latrun 18 kwiecień 1941, piątek w namiocie, który dzielę z generałem Zamorskim

We dniu jest już gorąco, zupełny brak deszczu i ciepłe piękne noce. Stąd, pragnąc świeżego powietrza opróżniliśmy dla klasztoru trapistów zajmowane przez nas w zimie pokoje. W ciągu ubiegłego czasu zaszły duże zmiany w mej pracy. Z początkiem marca wyznaczony zostałem jako stały delegat wojska do Polskiego Czerwonego Krzyża w Palestynie, z pozostawieniem mi obowiązków inspekcji sanitarnych w wojsku. Zaczęło się od następującego grzecznego lecz brzemiennego w następstwa pisma:

„J.W.P. Gen. Kordian Zamorski Kom. Ośrodka Zapasowego S.B.S.K.

W myśl uchwały Zarządu P.C.K. mamy zaszczyt uprzejmie prosić J.W. Pana Generała o łaskawe wydelegowanie stałego delegata na posiedzenia Zarządu P.C.K., które odbywają się raz w tygodniu, w środę o godzinie 11-ej przed połud. w lokalu Banku P.K.O. w Tel-Avivie. Z wysokim poważaniem Delegat P.C.K. na Palestynę T. Piech. Sekretarz B. Kruk”.

W skład zarządu P.C.K. wchodziły następujące osoby: Prezes Zygmunt Aleksandrowicz, wiceprezes dr N. Groskopf, dyrektor Izby Handlowej Polsko-Palestyńskiej. Wiceprezes dr A. Wołyński; skarbnik J. Herold, wicedyrektor Banku P.K.O.; sekretarz B. Kruk — dyrektor biura „Orbis”. Prócz tego wiele pracy codziennej poświęcała generałowa Zamorska. Prezes Aleksandrowicz, przemysłowiec łódzki i zasłużony organizator Czerwonego Krzyża bywał na posiedzeniach rzadko ze względu na słaby stan zdrowia. Zastępował go zwykle wiceprezes Groskopf. Odtąd bywałem na

wszystkich, co tydzień, zebraniach zarządu, w których w miarę potrzeby brał udział konsul Rozmaryn oraz delegat Rządu Lubaczewski. Jednym z pierwszych postulatów zarządu było zorganizowanie kursów pomocy sanitarnej, koniecznych ze względu na odbywające się od czasu do czasu bombardowanie Palestyny, a szczególnie Tel-Awivu przez samoloty włoskie lub niemieckie. Toteż na posiedzeniu w dniu 3 marca zapadła uchwała powierzenia organizacji kursów sanitarnych wśród uchodźców dr Dąbkowskiej, dr Wołyńskiemu i mnie. Po szeregu wstępnych rozmów Komisja Kursów Czerwonego Krzyża zebrała się dnia 15 marca w biurze „Orbis” u energicznego, zawsze chętnego i ofiarnego sekretarza B. Kruka. Przewodnictwo objęła kierowniczką Kursów dr Dąbkowska. Zatwierdzony został program, skromny, lecz obejmujący wszystkie działy wiedzy konieczne przy niesieniu pierwszej pomocy, szczególnie po bombardowaniu lotniczym. Odtąd mamy zbierać się co sobota o godz. 11, celem omówienia spraw kursu i uregulowania godzin wykładowych przeszło 10 lekarzy. Otwarcie kursów ratowniczych zainteresował się bardzo angielski gubernator — District Commissioner, Crosbie. Odwiedził wraz ze swą żoną świetlicę, gdzie mają odbywać się wykłady i na ich potrzeby zostawił 100 funtów palestyńskich. Zaprosił wraz z żonami na lunch w siedzibie gubernatora konsula Rozmaryna, sekretarza generalnego Hulanickiego, generała Zamorskiego, dyrektora Piecha i mnie. Przyjęcie odbyło się dnia 19 marca. Toteż wszyscy bez wyjątku zaproszeni pojechali na nie po wysłuchaniu Mszy na intencję Komendanta, mimo iż wtedy było to b. źle widziane. Otwarcie kursów odbyło się uroczystie w świetlicy Czerwonego Krzyża w obecności przewodniczącej generalowej Zamorskiej, konsula Rozmaryna i docenta Markusa. Przemawiali dyrektor Piech, dr Wołyński, dr Groskopf, ja w imieniu wojska, wreszcie jedna z 54 słuchaczek. Odtąd kursy odbywały się w świetlicy codziennie przez dwie godziny po południu. Całość energicznie prowadziła dr Dąbkowska. Ilość słuchaczek była duża, jeżeli uwzględnić, że w tym okresie było w Tel-Awivie około 300 uchodźców polskich. Po trzech tygodniach wykładów słuchaczki rozpoczęły praktykę w ambulatorium kasy chorych i w szpitalach Tel-Awivu. Te praktyczne ćwiczenia miały duży wpływ nie tylko na wyszkolenie, ale także i na samopoczucie słuchaczek, dzięki temu że się zetknęły z realnym życiem ludności Palestyny. Dyrektor Kruk, jako sekretarz Czerwonego Krzyża zorganizował dla słuchaczek kursu pożyteczną wycieczkę, celem zapoznania ich z urządzeniami zdrowotnymi Tel-Awivu.

Po zaprowadzeniu kursów pielęgniarskich zarząd Czerwonego Krzyża zajął się zebraniem i wysłaniem książek do czytania dla polskich rannych i chorych żołnierzy w szpitalu w Aleksandrii, a to za pośrednictwem przedstawicielki Angielskiego Czerwonego Krzyża. Poza tym do sekretarza B. Kruka nadchodzą liczne podania od uchodźców w Tel-Awivie o pomoc dla ich rodzin wywiezionych do Rosji. Przynoszą ludzie otrzymane tajemnymi drogami listy i kartki obrazujące okropności mordów i mąk,

masowego wywożenia z Polski i nędzę wygnania w Sowietach. Podobno położenie siedzących w więzieniach jest co do wyżywienia lepsze niż w obozach przymusowej pracy i na „posiesienu”. Wszyscy błagają o wysyłanie nie pieniędzy, bo te są rozkradane, ale paczek z żywnością, ubraniami, lub bielizną. Główną trudnością naszego Czerwonego Krzyża jest nie brak funduszy na wysyłanie paczek, ale brak ścisłych adresów zesłańców w Sowietach. W tej sprawie dyrektor Kruk stara się nawiązać łączność z wygnańcami przez Czerwony Krzyż Angielski i Centralę Polskiego Czerwonego Krzyża w Londynie, gdzie prezesem jest profesor dr Włodzimierz Koskowski, a sekretarką generalną Anna Paszkowska. Podobno niektóre wysłane przez to pośrednictwo paczki doszły do rąk adresantów w Sowietach. Brak jednak ścisłych wiadomości gdyż wojenna korespondencja trwa długo i odbywa się nieregularnie. Nawet depesza sekretarza Kruka do Londynu o przysłanie karetki ambulansowej typu angielskiego, 20 par noszy, środków opatrunkowych, instrumentów, leków i bielizny utknęła gdzieś w drodze i nie ma na nią żadnej odpowiedzi. Zupełnie niemożliwe jest okazanie stąd pomocy materialnej cierpiącym pod okupacją niemiecką w kraju. Są odcięci frontami wojennymi i granicami czterech stref okupacyjnych. Mimo to bohaterko prowadzą walkę podziemną z najeźdźcą. Tyle na razie o pracy Czerwonego Krzyża w Palestynie z siedzibą w Tel-Awivie, dokąd przyjeżdżałem dwa razy w tygodniu jako delegat wojska z obozu w Latrun.

W samym obozie za czas od końca lutego do połowy kwietnia 1941 roku mam do zanotowania następujące fakty. Omówiłem z szefem sztabu pułkownikiem Orskim sprawę należenia żołnierzy wszystkich stopni do Czerwonego Krzyża. Ze względu na przeciętną ilość w obozie około 500 oficerów i szeregowych razem wziętych ustaliliśmy wpłacanie drobnych składek ryczałtowo na trzy funty palestyńskie miesięcznie. Napiisałem w tej sprawie zachęcający artykuł w „Gazecie Obozowej” pt. „Dlaczego zostałem członkiem Czerwonego Krzyża?”.

Wykończony już przeze mnie wyjaśnienie skrótów używanych w wojsku angielskim oddałem szefowi wyszkolenia podpułk. Skinderowi, który zarządził drukowanie w Tel-Awivie małego podręcznika do użytku naszych oficerów. W początku marca obóz opustoszał, gdyż do Anglii wyjechało 80 lotników pod dowództwem ppułk. Haberka. Celem uzupełnienia brygady w Egipcie odeszło tam 40 oficerów i 170 szeregowych. Odbyła się przy tym defilada przed generałem Zamorskim, pierwszy raz przy dźwiękach pięknego marsza „Karpacka Brygada”, kompozycji Mariana Hemara. Odjechali ochoczo pełni animuszu. Zazdroszczą im wszyscy pozostający w obozie bez funkcji.

Dnia 19 marca 1941 roku odbyła się w kaplicy trapistów Msza św. za Komendanta. Nie wydano w obozie ani nakazu, ani też zakazu obecności. Kaplica była przepełniona.

W czwartek 27 marca por. lekarz Warszawski wygłosił odczyt: „Organizacja sanitariatu angielskiego w polu”. Wywołało to zain-

teresowania i dyskusję, w której główny udział wziął pułkownik lekarz Orłowski, świeżo mianowany szefem sanitarnym oddziałów polskich w Palestynie.

Sobota 12 kwietnia 1941 roku była bardzo ważnym dniem w naszym monotonnym życiu obozowym. W przeddzień wrócił z Egiptu, dokąd jeździł służbowo, gen. Zamorski. Wezwano wszystkich urlopowanych oficerów do obozu w Latrun na godzinę 8-ą rano. Dowiedzieliśmy się że o godz. 11.30 odbędzie się odczyt o wojsku polskim w Anglii, wygłoszony przez pułkownika Liebicha. Przyleciał on z Naczelnego Dowództwa na czele komisji złożonej z pułkownika intendenta Witeka i ppłk. artylerii Krajowskiego. Przeszło stu oficerów w obozie, z których połowa bez funkcji i przydziału, oczekiwała po tym przyjeździe jakiegoś pomyselnego rozwiązania swej sytuacji.

Pułkownik Liebich rozpoczął swe przemówienie słowami: „Przynoszę panom pozdrowienia od Wodza Naczelnego”. Dalej mówił o walkach i ewakuacji wojska z Francji. Podkreślił zasługi generała Sikorskiego, który wyleciał samolotem do Anglii na decydujące rozmowy z Churchillem, szukając możliwości walki na nowym teatrze wojny, gdy ich nie było już we Francji. Dla słuchaczy była to analogia z sytuacją opuszczenia Polski przez marszałka Śmigłego, tylko na szczęście dla Polski i generała Sikorskiego z lepszym wynikiem co do dalszego prowadzenia wojny. W dalszym ciągu pułkownik Liebich podał organizację wojska polskiego w Anglii i Szkocji. Wspomniął o nadziejach na mobilizację Polaków w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie, a zakończył opisem działań wojennych naszej floty i wspaniałych wyczynów naszego lotnictwa. O naszych dalszych losach, oficerów bez przydziału, nie wspomniął ani słowem i odleciał do Anglii po tajemnicznych parodniowych rozmowach z pułkownikiem Kornausem. Pułkownik Witek i Krajowski zostali w Latrun, by uregulować nasz stosunek do wojska i zakończyć to co rozpoczęła pułkownik Kornaus. Nastroje wśród oficerów po tej wizycie z Naczelnego Dowództwa zupełnie opadły, przechodząc w oczekiwanie całkowitego, lub częściowego usunięcia z wojska. Goryczą napełniało dążenie Naczelnego Dowództwa do werbowania Polaków w Stanach Zjednoczonych Ameryki z jednoczesnym pozostawieniem bez użycia setek doświadczonych oficerów, którzy przeszli dwie wojny i żądają jedynie możliwości walczenia o istnienie Polski, czyli prawa którego nikt im odebrać nie jest w stanie. Czyżby naczelne dowództwo miało już za dużo ludzi, by pokonać Hitlera?

Propaganda szeptana podsuwała najbardziej pesymistyczne rozwiązania naszej przyszłości. Niestety, nie były one dalekie od prawdy. Na pozór życie obozowe i służba szły zwykłym wyznaczonym porządkiem, ale ludzie zwani oficerami szli spać i budzili się w ciężkim niepokoju i niepewności. Szeregowi, będący w niewystarczającej liczbie czuli że są potrzebni, toteż nastroje wśród nich były znacznie lepsze.

Obóz Latrun, 22 maja 1941, czwartek, godzina 10 wieczorem

Piszę te wspomnienia w przeświadczeniu, prawie pewności, że obejmują one czasokres ostatniego miesiąca mego pobytu w wojsku. Już miesiąc temu, 24 kwietnia, gen. Zamorski idąc ze mną z obiadu w kasynie ostrzegł mnie, że na popołudniowej odprawie musi z wyższego rozkazu zakazać oficerom komunikowania się z członkami byłego, tj. mego, rządu i opozycyjnymi politykami. Proponował wobec tego, czy nie byłoby lepiej bym na tę odprawę nie przyszedł. Odpowiedziałem, że wolę być obecny, choć nie będę mógł reagować. Nie mogę przecież stanąć do raportu, gdyż jest to rozkaz Naczelnego Dowództwa, a prosić o zwolnienie z wojska w czasie wojny też nie chcę i nie mogę. Niech mnie sami zwalniają jeżeli jestem tak szkodliwy.

O godz. 5 ppoł. odbyła się odprawa dla wszystkich oficerów obozu w obecności pułkownika Krajowskiego jako delegata Naczelnego Wodza. Generał Zamorski podniósł:

1. Nieopanowane gadulstwo wśród oficerów o mających nastąpić zarządzeniach władz wyższych.
2. Utrzymanie nadal pełnych poborów dla oficerów z przydziałami, pracujących i połowy poborów dla będących bez przydziału.
3. Dla niezmobilizowanych w czasie wojny pobory zapewne będą mniejsze od połowy uposażenia.
4. Nie wolno oficerom komunikować się z członkami wrzesniowego rządu i z byłymi posłami sejmu oraz senatorami.

Wyszedłem po tej odprawie przybity, mimo iż byłem uprzedzony przez generała Zamorskiego. Nie chodzi tu o moją osobę, ale o sposób walki z moim byłym rządem. Rząd mój zrobił wszystko możliwe, by uniknąć wojny. Przyjął ją, gdy chodziło o całość i niepodległość Polski. Poniósł porażkę, ale pobite zostały również rządy Norwegii, Danii, Holandii, Belgii i, stawianej nam za wzór siły i wytrwania, Francji. Nikt z ministrów mego rządu nie uległ kuszeniom Niemców, gdy chcieli w Baile Herculane zrobić z nas rząd Quislingów polskich. Kto ma prawo bez sądu, lub trybunału stanu odsądzać nas od czci, wiary i nakazywać traktować jak zadzumionych? To krzyczące nadużycie władzy i niesprawiedliwość bolały mnie więcej niż sam fakt nakazanego bojkotu. Zresztą życie obozowe zadało kłam podobnym, podyktowanym chyba strachem, rozkazom. Oto dwa przykłady.

Wobec powstałego braku miejsca w barakach, z rozkazu szefa sztabu ppłk. Mercika biurko moje, jeszcze jako inspektora sanitarnego, zostało przeniesione do urzędowego pokoju szefa służby zdrowia ppłk. lekarza Orłowskiego. Ten powitał mnie nadzwyczaj życzliwie i udzielił wszelkich możliwych wygód przy urzędowaniu. W kilka dni później, w czwartek dnia 1 maja, miałem w sali wykładowej Emaus dawno przygotowywany i zapowiedziany odczyt pt.: „Zaopatrzenie armii gen. Allenby w kampanii palestyńskiej” (Trzecia bitwa o Gazę w końcu 1917 r.). Obecnych było przeszło 60 oficerów z generałem Zamorskim i

całym sztabem obozu na czele. Na wielkiej mapie Palestyny, a więc w terenie żywo nas obchodzącym, przedstawiłem przebieg walk i trudności zaopatrzeniowe armii angielskiej w wojnie z Turkami. Po odczycie wszyscy bili brawo, nie wyłączając pułkownika Kornausa, który nie wytrzymał i powiedział życzliwie:

— Cholera, toś się pan naumioł!

Tylko płk int. Witek i ppłk. Krajowski widocznie w myśl rozkazu unikania kontaktu ze mną — na odczyt nie przyszli. Wkrótce jednak musieli przyjść na piękny odczyt generała Zamorskiego i redaktora Walewskiego, który odbył się w sali kina dnia 3 maja po nabożeństwie i defiladzie. I tu jednak pułk. Witek siedział ponury i ani razu nie klaskał.

W ciągu kilku następnych dni robiłem inspekcje sanitarne szpitali i oddziałów razem z ppłk. Orłowskim. Nie będę tu ich szczegółowo opisywał, zaznaczę tylko, że odbyliśmy je w całkowitej harmonii dzięki uprzejmości i wyjątkowej znajomości służby pułkownika. We wtorek 6 maja pożegnaliśmy w kasyńce odchodzącego oficera łącznikowego angielskiego kapitana Crumba, a witaliśmy jednocześnie mówiącego doskonale po polsku majora Templina. Wyjechał on jednak wkrótce do Egiptu, a stanowisko po nim objął mówiący po francusku ppor. Normand.

W rocznicę śmierci Komendanta, 12 maja w poniedziałek wszyscy oficerowie i szeregowi, o ile chcieli, mogli być na Mszy porannej w kaplicy trapistów. Byli obecni wszyscy wolni od służby. Na czele modlących się stał pułkownik Bardel, zastępujący gen. Zamorskiego, który służbowo wyjechał do Egiptu do dowódcy Brygady generała Kopańskiego.

W czwartek 15 maja miałem dla 50 oficerów w sali klasztoru Emaus odczyt z najważniejszych i najbardziej charakterystycznych przepisów angielskich w „Kings Regulations”, czyli regulaminu służby wewnętrznej. Wypadło nie źle. Ze względu jednak na moje grożące przeniesienie do drugiej grupy na odczycie już nie było oficerów ze sztabu i przewodniczył płk. Tworzydło.

We wtorek dnia 20 maja 1941 wyjechałem z Latrun do Tel-Awivu na egzamin pielęgniarek Czerwonego Krzyża. W skład komisji egzaminacyjnej prócz mnie wchodzi: Dr Dąbkowska, dr Wołyński, dr Rozenblat i dr Dawidowicz. Na 55 słuchaczek 10 wycofało się przed egzaminem po naradzie z dr. Dąbkowską. Wolą zdawać przy następnym kursie. Pozostałe 45 podzielone zostają na grupy po pięć osób w każdej. Egzamin trwa dosyć długo ze względu na konieczność stwierdzenia wiadomości przyszłych pielęgniarek, mających nieść samodzielnie pomoc przy bombardowaniu lotniczym. Wobec tego wszystkie kandydatki zostały przepytane dopiero około godziny 6-ej popoł. następnego dnia. W czwartek 22 maja, w dzień Wniebowstąpienia odbyło się uroczyste wręczenie dyplomów w obecności konsula Rozmaryna, delegata Lechowskiego i gen. Zamorskiego. Przemówienia wygłosili: wiceprezes dr Groskopf, generałowa Zamorska i dyr. Piech. Od wojska przemówił do pielęgniarek ppłk. lekarz Orłowski. Po rozdaniu dyplomów przez dr. Dąbkowską, wdzięcz-

ność ze strony sanitariuszek wyraziła słuchaczka Grucowa. Uroczystość zakończyła wspólna fotografia przed domem P.K.O. Część sanitariuszek objęła od razu dyżur na stacji pogotowia, którą sekretarz Kruk założył obok swego biura „Orbis”. Wypuszczenie przeszło 40 sanitariuszek było dużym i ważnym dla życia emigracyjnego osiągnięciem Polskiego Czerwonego Krzyża w Palestynie.

Latrun, 24 maja 1941, sobota godzina 10 wieczorem

Piszę tę ostatnią kronikę z czteromiesięcznej służby wojskowej w Palestynie na spakowanej już walizce, gdyż jutro opuszczę obóz jako wyrzucony do II-ej grupy. Wczoraj zapowiedział mi to gen. Zamorski, dodając że władze polskie chciały przenieść mnie i ministra Grabowskiego jako niebezpiecznych na Cypr, ale Anglicy nie zgodzili się na to. Zostanę wobec tego w Tel-Awivie na połowie poborów. Generał oświadczył również, że był zmuszony polecić wycofanie z drukarni w Tel-Awivie, będącej już po pierwszej korekcie książeczki mojej, wyjaśniającej znaczenie skrótów nazw oddziałów i rozporządzeń angielskich, która miała służyć jako pomoc dla wojska polskiego. I to widocznie jest niebezpieczne!

Wczoraj również otrzymałem pismo z intendencji za nr 788/11/ /2/41 domagające się wpłacenia 148 funtów tureckich za pobyt rodziny w pensjonacie w Istambule w czasie przejazdu wraz z innymi uchodźcami do Palestyny. Figiel pułkownika Witeka polegał na doręczeniu mi pisma przed odejściem do II grupy, a więc, gdy jeszcze można mi było ściągnąć z pensji. Na ten „figiel” odpowiedziałem, że od jutra będę otrzymywał tylko połowę poborów. Za dwupokojowe mieszkanie dla pięciu osób rodziny płacić będę musiał 60% mej zmniejszonej gaży. Nie mogę więc obecnie tego długu spłacić.

W sali kina odbył się odczyt majora Kurowskiego o kampanii wrześniowej w Polsce. Prelegent krytykował wiele rzeczy, ale podnosił również nasze męstwo i determinację w walce z przeważającymi siłami. Boże! Nareszcie usłyszałem coś o Wrześniu mówione spokojnie, bez wymyślań, tendencyjnych przeinaczeń, gróźb i bezapelacyjnych oskarżeń. Jest to jedyna ośłoda mego wyjścia do drugiej grupy. Pożegnałem się z generałem, z kolegami czynnymi, oraz czekającymi również jak ja ciosu usunięcia z wojska. Szef sztabu płk. Mercik wręczył mi papiery na dalszą drogę żywota. Oto ich smutna treść.

„Komenda Ośrodka Zapasowego Sam. Bryg. Strzel. Karpackich. L. Dz. 1013 (tj) 41 m.p. dnia 27 maja 1941. Pan Gen. dyw. Sławoj Składkowski Felicjan w/m. Zawiadamiam Pana Generała, że w myśl rozkazu Szefa Sztabu Naczelnego Wodza L.1803 (Tj) z dnia 14.V. br. zostaje Pan Generał przeniesiony do Stacji Zbornej dla Generałów w Tel-Awiv (uposażenie II grupy) Załączam wyciągi:

- z pisma D-cy S.B.S.K.
- z depezy Szefa Sztabu N.W.
Komendant Ośrodka Zapasowego
(—) ZAMORSKI, Gen. bryg."

Do tego pisma dochodzą dwa załączniki.

1. „Wyciąg z pisma D-cy S.B.S.K. do Dowódcy O.Z. S.B.S.K. Sztab L. dz. 112/36/1/41 M.p. dnia 20. V. 1941. Dowódca O.Z. na Środkowym Wschodzie (do rąk własnych) Latrun ...Przeniesienie Gen. Składkowskiego do Stacji Żbornej w Tel-Awiv powinno nastąpić do dnia 21 bm... Dowódca S.B.S.K.
(—) KOPAŃSKI, Gen. bryg."

2. „Wyciąg z odpisu depezy. Naczelne Dowództwo. L. 1803/tjn. Londyn, 14.V.1941. General Kopański D-ca S.B.S.K.i generał Sławoj-Składkowski mają pozostać bez przydziałów służbowych”
(—) Szef Sztabu N.W.

Za godność wyciągu: Szef Sztabu O.Z. — Mercik pplk. dypl."

Ale dosyć pisania. Już godzina jedenasta. Zmieniają straże obozowe. Żegnaj mi, Latrunie! Byłeś dla mnie chociaż nikłym symbolem służby Ojczyźnie w czasie szarpiącej Ją wojny. Walkę o możliwość niesienia tej służby przegrałem. Od jutra czeka mnie bezczynność i surowy zakaz pracy dla Polski, podczas gdy o Jej istnienie jedni tu walczą, a inni cierpią prześladowania w kraju, więzieniach i na zesłaniu.

Mnie zostaje tylko poniżająca poniewierka na obczyźnie.

SŁAWOJ SKŁADKOWSKI

Polsko-szkocki Hotel

"STRATHGONA COURT"

(Właśc. C.C. Slezakowie)



Pokoje z ciepłą wodą, śniadaniem, telefonem, radiem, telewizją i obsługą o d 2 l s z y l i n g ó w
Przyjęcia towarzyskie i weselne do 70 osób
198, Cromwell Road, London, S.W. 5. Tel. FRE 7878/9
Stacje kolejki Earls Ct i Gloucester Rd, autobusy 31 i 74
W bezpośrednim sąsiedztwie stacji autobusowej lotniska londyńskiego.

Kronika kulturalna

Subskrypcja na pisma Józefa Wittlina

Pragnąc udostępnić czytelnikowi polskiemu, zarówno na emigracji jak i w kraju, twórczość Józefa Wittlina — Instytut Literacki ogłasza subskrypcję na jego tom esejów pt. „Orfeusz w piekle XX wieku”.

Tom ten, obejmujący ponad 600 stron, będzie kosztował w subskrypcji NF 23, lub 5 dol., lub 34/-.

Po zakończeniu subskrypcji — która będzie trwała do 31 grudnia 1962 r. — cena sprzedaży książki będzie znacznie wyższa.

Subskrypcja odnosi się wyłącznie do osób prywatnych i instytucji z wyłączeniem księgarni i sprzedawców.

„Orfeusz w piekle XX wieku” ukaże się w styczniu 1963 r. w ramach Biblioteki „Kultury”.

Przedpłatę należy przekazywać do administracji „Instytutu Literackiego”, (91 Avenue de Poissy, Maisons-Laffitte, S.-et-O. France) lub do przedstawicieli.



Nie znam Polaka mojej generacji, o żywym stosunku do słowa pisanego, dla którego Wittlin nie byłby symbolem kultury, talentu, czujnej rzetelności myśli: Wittlin-poeta, Wittlin-tłumacz, Wittlin-prozaik.

Wśród wyznawców Wittlina-poety o jednym chcę wspomnieć.

1942 rok, Kizyl Ribat pod Bagdadem. Widzę jeszcze Adolfa Bocheńskiego, wówczas instruktora nawigacji pustynnej, wśród namiotów ustawionych w nagiej pustyni. Pod rozgwieżdżonym niebem — a znał gwiazdy stokrotnie lepiej niż kiedyś swoje gali-cyjskie folwarki — deklamował głosem tubalnym i patetycznym wiersze pacyfistyczne Wittlina, w których się kochał ten najinte-

ligentniejszy ze znanych mi wojowników (poezję Wittlina przetykał deklamacją całych ustępów z „Fausta” w nieskazitelnej niemczyźnie).

WITTLIN-TŁUMACZ „polskim heksametrem” przełożył *Odysę*; dziesiątki lat pracował i do dziś dnia pracuje nad coraz to nowymi uściśleniami, ulepszeniami dzieła swego życia. Parę esejów o tej ogromnej pracy, o jej urokach, trudnościach, wątpliwościach, o jej związku ze stylami i modami, które na tłumacza działały i na tłumacza ciążyły, wejdą do „Orfeusza w piekle XX wieku”.

WITTLIN-PROZAIK — to autor drogiej każdemu Polakowi książeczki „Mój Lwów”, autor tłumaczonej na wiele języków „Soli Ziemi” — „jednego z nielicznych” — jak pisał Tomasz Mann — „utworów powieściowych, które mimo nowoczesnej analizy krytycznej sięgają tego co jest typowe, a przez to co mityczne i epickie”. Gabriel Marcel uznał „Sól Ziemi” za jedną z najpiękniejszych powieści, gdzie „poczucie humoru cudownie się splota z niewypowiedzianą litością dla nędzy ludzkiej która sama nie posiada głosu”.

WITTLIN-ESEISTA — podróżnik nie tylko w przestrzeni: od literatury polskiej i problemów polskich po Rosję, Ukrainę, Niemcy, Włochy, Francję, Anglię, aż po Amerykę, ale i podróżnik w czasie — od Hellady do dzisiaj. Umie on te dwa wymiary — przestrzeni i czasu — jak mało kto, nie tylko powiązać, ale stopić. Ten Wittlin właśnie, eseista, stanie się nam wszystkim wreszcie dostępny w „Orfeuszu”. Czego on tam nie porusza i jak się to wszystko wiąże w rozległą i religijną wizję świata. Subiektywizm autora, wyznania o sobie, to zwykle punkt wyjścia do najdalej posuniętych i wyzbytych wszelkiego egotyzmu rozważań i uwag ogólnych. Od sceny na statku — z autorem i innymi uchodźcami wojennymi jadącymi do Ameryki — zaczyna się jeden z najserdeczniejszych i najbardziej wittlinowskich esejów o „Panu Tadeuszu”. Pisząc o Tuwimie, o śmierci Lechonia i śmiechu Lechonia trafiamy do New Yorku, ale i do Sykstyńi i do Grecji. Jedna stronica o archaizacji stylu, jakże to beznamietna i wnikliwa ocena czym była Młoda Polska i czym ona żyła.

Intuicja i rzadkie bogactwo kryteriów dają Wittlinowi zdolność mądrej oceny pisarzy od niego tak bardzo różnych, a nie raz o wiele młodszych. Myślę tu o Gombrowiczu, Straszewiczu, Bobkowskim. Do zamierzonej książki wejdzie esej o Gombro-

wiczu. Każdy z rozdziałów tej książki wybiega poza oceny wyłącznie literackie, każdy dotyka ponad wszystko życia i jego istotnych problemów.

Wspomniałem na początku czym był i jest Wittlin dla ludzi mojego pokolenia. Ale czy dziś Wittlin czytany jest tak, jak na to zastuguje, czy na przykład wśród młodych na emigracji — nawet u młodych, którzy czytają — nie jest on nieraz tylko nazwiskiem z nieznaną prehistorii?

Któż temu winien?

Winien temu po części sam autor. Jego sławny „perfekcjonizm”, który każe mu każdy tekst sto razy przerabiać, stwarza, że nie on nas szuka ze swymi tekstami, ale, że my musimy je na nim zdobywać. Bo nigdy, ale to nigdy, nie wyrzeknie się swych surowych wobec siebie wymagań, by zwiększyć ilość czytelników i nic nie zmusi go do podniesienia swej wydajności na szkodę jakości.

Może jeszcze, na drodze między nim a przeciętnym czytelnikiem, poza trudnością dotarcia do jego tekstu, stoi podejrzenie, że pisarz o tak wielostronnej i wielotorowej tematyce musi być trudny, zbyt trudny? A przecie czytając zbiór tych esejów, szkiców, notatek i polemik, które wejdą do „Orfeusza”, uderza przede wszystkim jasność, aż przezroczystość jego prozy, zdolność uczytelnienia problemów najbardziej złożonych. Książka ta powinna trafić do każdego młodego, wrażliwego na słowo i głodnego wiedzy, bo uwaga z jaką Wittlin rozpatruje każdy temat, dar zachwytu, który posiada, oryginalność reakcji, wciągając nas na każdej stronie książki w światy, które postanawiamy sobie na nowo zgłębić. Ogarnia czytelnika dziwne, bo radosne, upokorzenie, że sprawy, które zdawały się nam znane, znaleźmy źle, powierzchownie i przysięgamy sobie do nich wrócić, by zachęceni przez Wittlina dać się nimi ogarnąć.

„Prawdziwa poezja rodzi się w samotności i każdy do którego ona przenika obcuje z nią samotnie” — pisze Wittlin w szkicu o Tuwimie — „choćby takich ludzi było milion, są to nie masy, ale milion samotników”.

W subskrypcji tej książki weźmy udział wszyscy. Nareszcie będziemy mogli mieć Wittlina nie tylko we wspomnieniach lub w rzadkich artykułach „Wiadomości” i „Kultury”, ale tuż przy sobie, dla własnej samotnej delectacji. Będziemy mogli z nim obcować naprawdę, bo Wittlin w najprozaiczniejszym ze swych tekstów jest zawsze i przede wszystkim poetą.

Józef CZAPSKI

Rola płyty gramofonowej

Niektórzy pedagogowie muzyczni odradzają swoim wychowankom słuchania płyt wybitnych artystów w obawie, by uczeń o niestabilizowanej jeszcze indywidualności nie pokusił się o imitację. Jeśli by tak było podobna obawa zachodzi gdy uczeń uczęszcza na koncerty lub słucha gdziekolwiek dobrej muzyki, np. przez radio. Płyta jest o tyle gorsza, mówią, że można wielokrotnie słuchać tej samej interpretacji i w końcu ulec jej wpływom (bynajmniej nie zgubnym).

Odpowiem, że dla bystrego ucha i pojedyncze przesłuchanie wystarczy, by się „zarazić”. Więc czyżby wśród studentów tylko idiotom należało polecać słuchanie znakomitej muzyki? Poza tym pojęcie wpływów jest bardzo szerokie. Powiedzmy, że *jednostronna* propaganda interpretacyjna, jak każda inna jednostronność, kryje w sobie pewne niebezpieczeństwo. Logicznym wyjściem byłoby zastosowanie odtrutki i słuchanie nie jednej, a dziesiątków płyt różnych artystów, wykonujących ten sam utwór. O ile jakiś szczęśliwy słuchacz zdoła sobie przyswoić same pluse Rachmaninowa, Giesekinga i Horowitza — mowa tu o pianistach — to najwyżej stworzy nowy typ super-wykonawcy, nad czym trudno ubolewać. Zresztą nie ma wirtuoza, którego sztuka jest pozbawiona wszelkich wpływów i wywoły o absolutnej indywidualności są grubo przesadzone. Istotną i decydującą sprawą jest to, co się potem z tymi wpływami robi, co się dodaje, co ujmuje, po prostu co i jak się przetwarza własną inteligencją i talentem.

Rola płyt gramofonowych w pedagogice i sztuce wykonawczej jest tak doniosła, że zarówno gramofon jak i domowy aparat do nagrywania na taśmie można uważać za błogosławieństwo naszej technologii. Jak wszystkie niemal wynalazki, i ten ma swoje ciemniejsze strony, do których powrócimy później. Co do znacznie liczniejszych stron dodatnich, to wystarczy przypomnieć że kompletny zbiór płyt fortepianowych datujący się od r. 1896, liczyłby wiele tysięcy nagrań, obejmujących całą literaturę klawiaturową od Scarlattiego do Strawińskiego. Niektóre kolekcje tych płyt zawierają ponad trzy tysiące bakelitowych egzemplarzy, często ten sam utwór dostępny w wykonaniu przedstawicieli skrajnych szkół i temperamentów. Pomyślcie, co za źródło dla porównawczej analizy, nie mówiąc już o innych, bardziej bezpośrednich, korzyściach i o czysto estetycznych wrażeniach, jakich mogą dostarczyć płyty tak wyszukanych wirtuozów przeszłości jak Pugno, Hofmanna lub Lhevinna.

Oczywiście sztuka lub system słuchania płyt gramofonowych odgrywa niemałą rolę przy tego rodzaju analizach. Nie każdy słyszy równie wiele i równie dokładnie — wymaga to często spe-

cialnego wykszolenia. Płyta jako źródło dla porównawczej analizy nastęrcza prawie nieograniczone pole do badań. Można porównywać artystów tej samej lub odmiennej epoki, w tych samych lub odmiennych kompozycjach. Można też porównywać i badać rozwój sztuki każdego z nich osobno, na podstawie płyt jakie nagrał w ciągu 25 lub 50 lat, często powtarzając ten sam repertuar parokrotnie, jak to miało miejsce z Chopinem Rubinsteina nagrany niedawno ponownie, po 30 latach. Możemy następnie przeprowadzić porównawcze studia nad techniką wybitnych wirtuozów, słuchając niektórych fragmentów ich nagrań w zwolnionym tempie, które wyjawiają szereg kuchennych sekretów. Dalsze badania z tej dziedziny wykażą, że imponujący poziom techniczny nie jest jedynie przywilejem pianisty dzisiejszego, i, może wyjąwszy fenomenalnego wirtuoza włoskiego Michelangeli albo Horowitza, nikt z obecnych pianistów nie osiągnął takiej technicznej perfekcji (plus kolorystyki) jaką władał Hofmann, a nawet Rachmaninoff, nie mówiąc o Pugno, którego pozostawiona płytowa spuścizna zawiera niezwykle nagranie 11 rapsodii Liszta (r 1904!) z lewą ręką w unisonach „bijąca” wszystkie lewe znane nam z współczesnych nagrań tej rapsodii. Również od strony artystycznej moglibyśmy się wiele, niestety zbyt wiele, nauczyć od naszych pianistycznych przodków.

Możemy badać styl gry ubiegłych generacji który bynajmniej nie zdradza jednolitego charakteru. Tak więc w okresie triumfów manieryzmu obok ich wybitnego przedstawiciela, Paderewskiego, odkrywamy jego zaprzeczenie w postaci takich artystów, jak De Greef, uczeń Liszta, którego gra jest prawie całkiem pozbawiona staromodnych naleciałości. Płyty pouczają nas dalej, że styl tego samego pianisty może się różnić nie tylko w różnych latach (Lamond) ale w różnych kompozycjach (D'Albert), a nawet w tej samej kompozycji (Hofmann). Ten ostatni często grał utwór za pierwszym razem chłodno, a za drugim deklamacyjnie, albo całą kompozycję traktował inaczej zależnie od okazji i nastroju, zawsze jednak z zadziwiającą logiką „wewnętrzzną”.

Co się tyczy tempa, szła szybkości nie jest wcale wyłącznym udziałem naszego stulecia i nic nie ma wspólnego — wbrew nudnym i chronicznym domysłom — z tempem współczesnych środków lokomocji. Gdy koleje posuwały się jeszcze w żółtym tempie, pan Pugno brał tempa raketowe, zaś w epoce prawie międzyplanetarnej komunikacji mamy pianistów jak Anda, lub Cliburn (nie mówiąc o Rosjanach), którzy — i na szczęście — znajdują dosyć czasu, by dać frazie odetchnąć do końca, miast dusić ją przedwczesną inwazją następnej. Dlatego pełne studium nad stylami poszczególnych generacji wykonawców wymagałoby ogromnie szczegółowej statystyki przykładowej, inaczej wszystko skończy się na gnuśnym gdybaniu.

Jeszcze dziś słysząc tu i ówdzie nadąsane głosy zwolenników HF, skierowane przeciwko płytom dawnego typu, 78, którym np. zarzuca się niedźwięczność. Jest to zapewne sylabowe nieporozumienie, które należałoby odczytać „Niewdźwięczność”. Za-

rzuty i nonsensy na ten temat wypowiedane osiagają szczyt wymowności gdy odmawiają płycie dawnego typu prawa historycznej dokumentacji, albowiem „dźwięk jest zniekształcony i nic pewnego nie można usłyszeć a już zupełnie wywnioskować”. Taki sąd pozostawmy tym, którzy cierpią na muzyczną głuchotę. Podczas gdy nowoczesna płyta jest często aktem świadomego oszustwa montażowego, płyty sprzed roku 1948 stanowią najmiarodajniejsze źródło dla obiektywnych badań nad sztuką wykonawcy. Dźwięk płyt sprzed roku 1925, a więc tzw. „akustycznych”, nawet gdy czasami jest nieco zniekształcony, zachował szereg autentycznych międzydźwiękowych stosunków i rzadko pianiści musieli wykonywać utwór inaczej niż zamierzali, aby osiągnąć z góry przewidziany i pożądany efekt. Tak źle znów nie było. Także sprawa nastroju jest mocno podkolorowana fantazją krytyków; znajdujemy najbardziej natchnione płyty Rachmaninowa nagrane w bez-nastrojowym studio, a także przykre przykłady nagrań z sali koncertowej gdy nieobliczalna brawa publiczności są jedynym usprawiedliwieniem wypuszczenia tak niegodnych dokumentów, świadczących raczej o hipnotycznych lub reklamowych, niż o artystycznych uzdolnieniach wykonawcy. Tu opinia samych pianistów nie musi być decydująca. Nawet Busoni, który szczerze nienawidził procesu nagrywania, pozostawił kilka cennych przykładów swej oryginalnej sztuki. Dodajmy, że gdyby płyta była tak marnym dokumentem dźwiękowym, jak niektórzy by tego pragnęli, nie udałooby się sporządzić z niej (na podstawie słuchania), manuskryptu z niewydaney i niezachowanej kompozycji Rachmaninowa, którą kompozytor improwizował na starej szumiącej płycie Edison. Oto jeszcze jedna korzyść płyty.

A studia nad manieryzmami? Morze informacji. Różnica między odchyleniami Friedmana i Paderewskiego, których uczył (nie koniecznie tych manieryzmów) ten sam Leszetycki i którzy nagrali szereg tych samych kompozycji, jak np. „Księżycową” Beethovena, albo niektóre etiudy Chopina. Płyty te ujawniają jak szeroki margines indywidualności pozostawiał ten genialny pedagog swoim równie genialnym uczniom. A cóż powiedzieć na zachowane nagrania co najmniej 11 uczniów Liszta — tak, samego Liszta. A o wpływach wzajemnych wirtuozów, ich szkół i nawet — przeciwników? A cóż o kompozytorach prezentujących własne kompozycje — czy je wykonują „lepiej” czy „gorzej” od innych pozostawimy przyszłym rozważaniom, istotne jest *jak* oni je sami rozumieli na klawiaturze i pod tym względem płyty dostarczają nieocenionej dokumentacji utrwaliwszy m.in. autorskie rendycje Saint-Saensa, Rachmaninowa, Bartoka, Prokofiewa, Strawińskiego, Vladigirowa, Szostakowicza itd. Wielu z nich, jak Rachmaninoff czy Bartok zaliczali się do najwybredniejszych wirtuozów swego pokolenia. Potrafili oni olśnić słuchacza także interpretacją innych kompozytorów, a nawet miernych kompozycji. Przypomnijmy Rachmaninowa grającego naiwny walczyk Czajkowskiego — estetyczne przeżycie nie łatwe do za-

pomnienia. Bartok, słyszany w sonatach Scarlattiego, przedstawia zdecydowanie najwyższej klasy pianistykę, kolorystykę i temperament. Można by tak wliczać do białego rana.

O ile kolekcjoner pragnie urządzić serię koncertów z płyt, może ułożyć kilkakaset charakterystycznych programów. Chopin w wykonaniu tradycyjnych polskich pianistów (Paderewski, Michałowski, Rosenthal, Godowski, Hofmann, Friedman, Rubinstein plus... Landowska z jednym mazurkiem na — klawikordzie); Chopin w wykonaniu tradycyjnych i współczesnych, powiedzmy, niemieckich wykonawców (Gieseking, Kempf, Gulda); rosyjskich — Rachmaninoff, Lhevinne, de Pachmann, Barere, Horowitz, ostatnio Ashkenazy, Dawidowicz, Nikolayeva, Tamarkina, Gilels, Flier, Ginsburg czy Zak. Z francuskich można by przeciwstawić Cortot Casadesusowi, albo osobno zaprezentować francuską szkołę pianistyki na tak wspaniałych przykładach jak Pugno, Risler, Diemer — wszystko najbielsze kruki odbite na czarnej płycie G&T (1901-5) i na płycie Pathe. Dodać tu można 70-letniego Saint-Saensa, który pozostawił kilka znakomitych płyt tejże firmy G&T. Bukiet mazurków, nie tylko chopinowskich, dałby wiele wrażeń, albowiem nagrano niektóre Balakirewa, Glinki, Scriabina, Debussyego i Szymanowskiego. Inną wysokowoltazową atrakcją byłby recital wspomnianych uczniów Liszta, wykonujących jego utwory, albo kompozycje innych autorów. Są nimi Rosenthal, Sauer, Da Motta, de Greef, d'Albert, Ansorge, Friedheim Lamond, mniej znany Weiss, rzadko uchwytny Stevenhagen, całkiem nieuchwytny Liebling. Na rolkach utrwalono grę Silotiego, Riesenauera (który imituje Liszta!) i paru innych. Lista nagranych uczniów Leszetyckiego przedstawia się równie imponująco, aby wliczyć tylko Moiseiwitscha, Hambourga, Gabrilowitscha, Kreutzer, Schnabla, Paderewskiego, Friedmana, Leginska, lub Brailowskiego. Następnie etiudy Chopina, wybrane, albowiem nikt nie nagrał wszystkich 24 idealnie. Tu można by urządzić konkurs kilkuset płyt który zapewne wygrałoby Friedman, Lhevinne, Rosita Renard, Horowitz i Ashkenazy (nie polski a rosyjski). Po tej drodze dojdziemy do pianistów, którzy czerpali tradycje bezpośrednio od uczniów Chopina: Michałowski (również studiujący z uczniem samego Beethovena, Moszelesem), Koczalski, lub Carreno (na rolkach). Albo płyty wydawców dzieł Chopina, którzy inaczej grają niż zalecali w swych wydaniach... Są nimi znów Michałowski, Friedman, Paderewski, Pugno, Cortot, Sauer, Friedheim, Kreutzer itd.

Czy nie dość? Czy można jeszcze kwestionować wagę płyty gramofonowej dla rozwoju kultury pedagogicznej i wykonawczej? Jeśli usłyszę jeszcze jedno „ale”, podam listę korzyści dwa razy obszerniejszą, a w międzyczasie życzę muzykalnemu czytelnikowi obfitego połowu znikających w przerażającym tempie starych płyt gramofonowych, które utrwaliły niektóre z najbardziej natchnionych duchów klawiatury wielu krajów świata.

Co się tyczy możliwości pedagogicznych maszyny do nagrywania na taśmę, pojawienie się jej spowodowało szereg niepo-

rozumień. Godne potępienia są montaż klecone w wytwórniach płyt i okłamujące naiwnego słuchacza, podziwiającego wirtuozskie wyczyny jakich żaden artysta w istocie nie dokonał i dokonać nie mógł. Ostatnio wymyślono maszynę do zwiększania tempa płyty bez podwyższenia jej tonacji, dającą nieograniczoną moc popełniania podobnych nie-do-wykrycia oszustw, zniekształcających dokumentację historyczną aż do śmieszności. Taśma daje jednakże poważne korzyści poza ekonomią materiału i czasu podczas nagrywania. Umożliwiła, po raz pierwszy, słuchanie siebie samego z dystansu, stosunkowo tanim kosztem. Nie każdy wirtuoz posiada tego „detektywa dźwięku”, może w przeświadczeniu, że słyszy doskonale bez taśmy słuchem wewnętrznym, albo bo jest zbyt nerwowy, aby narażać swój delikatny system na szwank. W każdym razie możliwości studiów naukowych przy pomocy taśmy nie zostały dotąd całkowicie wykorzystane i trudno się dziwić, że mimo tej niezwyklej sposobności słuchania i kontrolowania swej gry, poziom dzisiejszej pianistyki na szczytach sztuki bynajmniej nie przerósł naszych przodków, którzy w ogóle nie mogli korzystać z tych mechanicznych środków, ale których słuch był tak wyostrzony, że potrafił wszystko łapać i korygować podczas samej gry. I o ile dzisiejszy przeciętny pianista naprawdę ma lepszą technikę od przeciętnego wirtuoza sprzed 50 lat, to zawdzięczamy to ogólnemu postępowi pedagogiki w dziedzinie techniki, a nie ledwo wykorzystanej aparaturze do nagrywania domowych ćwiczeń. Co się dotyczy interpretacji, lub tzw. artystycznej koncepcji, oryginalności, i trudnego a znakomitego legata oraz cieniowania, można by długo debatować czemu tak rzadko słyszy się dzisiaj ten szlachetny typ gry. Nie należy przesadzać i przypuszczać, że każdy pianista 50 lat temu był Hofmannem lub Paderewskim, którzy i tak nie posługiwali się zbyt płytami swych wzorów lub wspomnianą maszyną do inowu. Jednakże same płyty bezsprzecznie wskazują na nieco głębsze muzyczne wykształcenie (np. spożytkowanie polifonii) dawniejszych asów, a nawet waletów fortepianowych.

Maszyny do nagrywania siebie, oraz szczegółowe studia nad płytami — o ile byłyby prowadzone przez specjalnie wykwalifikowane siły pedagogiczne, podniosłyby zapewne skalę wymagań, a następnie artystyczne ich zaspokojenie, przez wykonawców. Nie jest to sprawa dnia, ani roku. O ile próby zostaną przeprowadzone, być może następnym etapem pianistyki będzie stworzenie oryginalnego stylu interpretacyjnego, który, przejąwszy wszystkie cnoty mistrzów poprzednich generacji, odrzuci ich wady lub cechy zupełnie niedające się pogodzić z estetycznymi wymaganiami doby obecnej — a więc bogaty styl interpretacyjny minus manieryzmy. Bliski takiego ideału był Michelangeli, sądząc po jego nagraniach Bacha, Beethovena, Brahmsa i Ravela raczej niż Chopina. Niedaleko tych wyżyn znajdujemy sztukę sowieckiego pianisty Fliera z jego najlepszego okresu, lub Richtera w jego najmocniejszych momentach. Być może jednak, że ci pianiści obdarzeni są geniuszem niewymagającym tak dokładnej

analizy porównawczej z innymi wybitnymi poprzednikami. Jest rzeczą pewną, jednakże, że nauczenie się słuchania gry cudzej i własnej to pierwszy stopień do wysokich artystycznych osiągnięć, i na ten temat opinie największych wykonawców mniej się różnią niż ich muzyczne koncepcje. Dlatego można przypuszczać, że pogłębienie studiów muzycznych, opartych na płytach gramofonowych plus auto-analiza, oparta na badaniu własnej taśmy pozwoli na urzeczywistnienie jednego z najśmielszych marzeń muzycznych — na renesans gry odtwórczej.

Co się tyczy dalszego owdładnięcia całej naszej kultury artystycznej przez maszynę i tworzenie kompozycji przez komputer zamiast kompozytora, to nie sądzę aby jakkolwiek przewyższyła zdolność kiedykolwiek przewyższyć czy nawet dorównać twórczej sile ludzkiego mózgu, mimo że wiele jest dziś (i zawsze było) kompozytorów, których dzieła są nie więcej warte od płodów zabierających się do komponowania i konkurujących z nami maszyn. Ale co przyniesie przyszłość nie jest nam sądzone przewidzieć. I może tak jest lepiej.

Jan HOLCMAN

KONKURS LITERACKI ZWIĄZKU POLAKÓW W BELGII

Związek Polaków w Belgii w ramach programu „Millenium” ogłasza Konkurs Literacki na sztukę teatralną w 1 akcie, której tematem będzie epizod z historii Polski. Za najlepsze sztuki będą przyznane 3 nagrody: I nagroda — 3.000 fr.b.; II nagroda 2.000 fr.b.; III nagroda 1.000 fr.b. (50 fr.b. — 1 dol.).

Długość sztuki: czas grania 25 do 45 minut.

Udział w konkursie mogą wziąć wszyscy Polacy bez względu na miejsce zamieszkania. Prace konkursowe winny być zaopatrzone godłem i nie podpisane; wewnątrz koperta z nazwiskiem i adresem dokładnym autora.

Termin nadsyłania prac do dnia 1 stycznia 1963 roku na adres Przewodniczącego Jury: dr. Pomorski Edward Bruxelles 5, Avenue Emile de Béco 119, (Belgique).

Związek Polaków w Belgii, zastrzega sobie prawo wydrukowania prac nagrodzonych.

Książki

Przekłady z hiszpańskiego (dok.)

Galdos nie jest w Polsce pisarzem nieznanym. Po wojnie tylko wyszło sześć jego powieści z cyklu „episodios nacionales” oraz „Donia Perfecta”, rzecz o fanatyzmie religijnym i nietolerancji. Jest to jednak zaledwie cząsteczka stumtomowej spuścizny wielkiego pisarza i bynajmniej nie najcenniejsza.

„Złota Fontanna” jest pierwszym pokaźniejszym dziełem Galdosa i w pewnym sensie jej ukazanie się zapoczątkowało nową erę powieści hiszpańskiej. Mimo to, mamy do czynienia z pozycją niewielkiego kalibru i jej przekład na polski musi zdumieć znawcę twórczości Galdosa. Czyżby raz jeszcze względy pozaliterackie zadecydowały o wyborze książki, która w stosunkowo dużym nakładzie zaprezentowano czytelnikowi (5)

Znakomity piewca Madrytu drugiej połowy dziewiętnastego wieku i bojowy liberał w „Złotej Fontannie” daje pierwsze zapowiedzi swojego niepospolitego talentu. Ale nad powieścią zaciążyły dwie tendencje zapalczego pisarza: utopijność liberalnych przekonań i zaślepienie wobec politycznych przeciwników. Bozmediano, jeden z bohaterów powieści tak usprawiedliwia ekscesy rewolucyjnego motłochu:

— Ci, którzy pana zatrzymali — ciągnął wojskowy — nie są liberalami. Albo są to tajni agenci absolutyzmu, albo oschli głupcy, bez rozsądku i sumienia. Może po prostu nieoświeceni libertyni lub płatni awanturnicy. Czyż należy zabrać im wolność i nie oddawać jej do chwili, gdy otrzymają wychowanie lub odbędą karę? A więc istniałyby wolność dla jednych, a dla innych nie? Trzeba przecież dać ją wszystkim lub wszystkim odebrać. A czy słuszną jest rzeczą zrezygnować z dobrodziejstw systemu z tego powodu, że poszczególni ludzie czynią z nich użytek? Nie, raczej niech mają wolność setki, które jej nie nie rozumieją, niżby stracić ją miał jeden człowiek znający jej wartość.

(5) Perez Galdós Benito. *Złota Fontanna*. Przełożyła Zofia Szleyen. P.I.W., 1961.

Zło, jakie przez nią mogliby spowodować ludzie ciemni, mniejsze jest niż olbrzymie dobro, jakie jeden jedyny światły człowiek może przy jej pomocy uczynić. Nie pozbawiamy wolności jednego rozumnego po to, by odebrać ją stu niemądrym (52-53).

Rewolucyjne zaburzenia ostatnich lat rządów Izabelli II, których świadkiem był Galdos, pchnęły go do umiejscowienia akcji swojej pierwszej ambitniejszej powieści w czasach bardzo podobnych, a mianowicie w latach 1820-1823. Po buncie gen. Riego liberałowie przejęli stery rządu zmuszając Ferdynanda VII do zaprzysiężenia konstytucji z Kadyksu uchwalonej w czasie wojny z Napoleonem.

Bohaterem perypetii powieści jest młody Lazaro, chłopak z prowincji, członek klubu patriotycznego pragnący z młodzieńczym idealizmem reform i sprawiedliwości społecznej. W stolicy oszalała go rozpolitykowana młodzież, manifestacje i knowania. Wciągnięty do bojówki radykalnego odłamu liberałów, rewizjonistów dążących najprostszą drogą do szybkiego wprowadzenia w życie reform, reflektuje się w samą porę i widzi, że działa w służbie „obcej agentury”, w tym wypadku absolutyzmu monarchy knującego rzeź umiarkowanych liberałów przez żądnych akcji młodych. Lazaro ostrzega ministrów, którzy unikają zasadzki. Główny organizator brudnej roboty, wuj Lazara i ucieleśnienie „wroga ludu”, Coletilla, zapiekły czarny reakcjonista, dopada siostrenicę i zabija go. Taką przynajmniej wersję zakończenia zachował przekład polski choć Galdos napisał także zakończenie, odmienne, moim zdaniem ciekawsze. Lazaro uchodzi szczęśliwie z narzeczoną Klarą w rodzinne strony. Z polityką autor każe mu się rozstać na zawsze. Zrezygnowawszy z hałaśliwych sukcesów życia kawiarnianego oddał się pracy uczciwej i spokojnej, czego nigdy nie żałował.

Asturyjczyk Palacio Valdes (1863-1938) należy do powieściopisarzy najbardziej tłumaczonych. Dobrze się stało, że jego najwybitniejsza może książka ukazała się obecnie po polsku (6).

Siostra Sulpicja jest uroczą Andaluzyjką, młodką rezolutną, garnącą się do życia i uciech, lubiącą śpiew i taniec. Znalazła się w klasztorze z woli matki i jej przyjaciela dybiącego na znaczną fortunę jedynaczki. Nic dziwnego, że mimo habitu rozkochała w sobie studenta medycyny i poetę z Galicji, Ceferina Sanjurjo, za którego po rozlicznych perypetiach wychodzi za mąż. Tłem ich miłości jest Sewilla, miejsce idealne (choć trzeba się zastrzec, że Valdes nie hołduje zwyczajowi turystycznych pocztówek), dla przejść młodych, których zazdrości i przekora, zapalczliwość i upór znaczą zmienne koleje dramatycznej miłości.

(6) Palacio Valdés, Armando. *Siostra Sulpicja*. Tłumaczyła Kalina Wojciechowska. Czytelnik 1959.

Uroczą powieść świetnie się czyta w przekładzie Kaliny Wojciechowskiej. Co prawda swada tłumaczkii odpowiedzialna jest tu i ówdzie za drobne dodatki, ale całość na tym nie cierpi, a czytelnik zostaje uraczony doskonałą opowieścią dziewiętnastowieczną o kończącej się szczęśliwie romantycznej miłości. Przy tym barwność Andaluzji idzie w parze z subtelnym humorem i pogodą Asturyjczyka, po mistrzowsku kreślącego postacie kobiet, wśród których wybija się Gloria — siostra Sulpicja.



Wydanie dwu tomów Unamuna wypełnia dotkliwą lukę. Lektura znakomitego hiszpańskiego pisarza i myśliciela prowokuje do zastanowienia się nad naszą egzystencją z wszystkimi jej tragicznymi konsekwencjami. Unamuna (1864-1937), Baska rozmiłowanego w Kastylii, profesora greki i rektora uniwersytetu w Salamance, odważnego adwersarza zarówno monarchii jak dyktatury, a potem republiki, fascynuje człowiekiem. (Nie bez kozery oświadczy, że najprymitywniejsza forma bytu jest dlań stokroć cenniejsza od największego dzieła sztuki). Dla numerku w kartotece biurokraty czy pionka na politycznej szachownicy, lektura anarchisty i ideoburcy, jak nazwał siebie, stanowić musi rodzaj odtrutki. Ten sofista nowoczesny, lubujący się w nicowaniu i odbrażowaniu ukutych pojęć, zaraża swoją gorącą wiarą w człowieka, w jedyność i wyłączość ludzkiej jednostki. A przy tym respektuje czytelnika, nie narzuca lecz sugeruje, zdumiewa coraz to nowymi paradoksami życia, pobudza naszą ciekawość. Nienawidzi tyranii idei narzuconych z góry. W dobie kierowania duszami jest orędownikiem wolności osobistego dociekania i odczucia. Chrześcijanin nieortodoksyjny, a jednocześnie spragniony wieczności, wytyczający nową drogę dla Hiszpanii, a obawiający się że postęp może stać się gorszym i bardziej fatalnym zabobnem niż przesady, które atakuje. Na zarzut, że Hiszpanie są przeciwni nowoczesnej cywilizacji, Unamuno powie, że to nie żadna tragedia. Inkwizytor skazujący na śmierć heretyka dla zbawienia jego duszy jest mu bliższy od kupca, którego los klienta nie interesuje. Nieznosi systemów i na pieńku ma z intelektualistami, którzy generalizując i abstrahując od konkretności, przez nazwanie chcą uporać się ze zjawiskami otaczającymi ich. On sam widzi swoją funkcję w sianiu ziarna powątpiewania, nieufności, niepokoju, a nawet rozpacz. Ale równocześnie nie każe iść za sobą czy za kimkolwiek. Chce byśmy przemyśleli problemy sami, byli szczerzy i byli sobą.

„Mgła” należy do najpoczytniejszych jego powieści (7). Wydana w 1914 r. opiewa dzieje nieszczęśliwej miłości Augusta Pereza, człowieka chwiejnego, niezdecydowanego, cierpiącego na wszystkie dolegliwości typowego Hiszpana. Jego zaangażowanie

(7) Unamuno, Miguel de. *Mgła*. Przełożył Edward Boyé. Tłumaczenie przejrzała St. Ciesielska Borkowska. Książka i Wiedza 1958.

„głową” w beznadziejną miłość musi się skończyć tragicznie i położyć kres fikcyjnemu światu. Ten „anarchista mistyczny”, jak przeważa go don Fermin, wuj nieosiągalnej wybranki, obraca się w „zaklętym kręgu snów”, nie wie już co jest jawą, a co mrzonką, co życiem a co fikcją. Nic dziwnego że i struktura powieści daje tej niepewności wyraz. Bohater pod koniec książki staje w pracowni autora, aby walczyć o swoje życie, a gdy Unamuno perswaduje mu że klamka zapadła, że musi umrzeć, August Pérez zaperzony chce żyć, woli być nawet powtórnie oszukany byle nie umierać.

„Mgłę” przełożył udale E. Boyé, a jego edycję z 1928 r. przejrzała i poprzedziła esejem wstępnym prof. S. Ciesielska-Borkowska, autorka książki o Unamuno.

Ona też jest tłumaczką drugiej z kolei pozycji Unamuna, „Trzy nowele przykładowe i Prolog (8)”. Już tytuł nastreczył trudność: jak przełożyć słowo *ejemplares*. Z polskich odpowiedników, spośród „wzorcowych, przykładowych, przykładowych, budujących” — wybrano „przykładowe”. Chyba słusznie.

Nowele ukazują ludzi zniekształconych przez nadmiar woli. Karolina, którą przebudzona duma rodowa i kobieca pchną do czynów zuchwałych; Aleksander posiadający „potężną inteligencję na usługach piekielnej plebejskiej pychy”; wyrachowanie Racheli, która nie cofnie się przed niczym dla zdobycia dziecka, to trzy przykłady „nagich dusz”, które Unamuno ukazuje czytelnikowi przyzwyczajonemu do lektury powierzczonej o papierowych postaciach. Z zarzutem, że postacie są personifikacjami koncepcji, autor rozprawia się dowcipnie, broni się przed zbytnim utożsamianiem bohatera z jego twórcą, z przekąsem wyraża się o syntetycznych postaciach konstruowanych zmusznie przez nagromadzenie wielkiej ilości szczegółów i całej machiny obserwacji i wiedzy, każe bohaterów ukochać, obcować z nimi, aby się mogli artystycznie wyzwolić i narodzić.

Przekładowi brak gładkości. W noweli drugiej nie wyodrębniono dialogu. Wśród przeoczeń znalazło się tłumaczenie *teocratica* jako „teoretycznym” (str. 37) i *esposa* — „nałożnica” (str. 47). Nie wiadomo też dlaczego nie spolszczono odnośnika „Sigismundo bohater dramatu Calderona 'La vida es sueño'”, skoro chodzi o bohatera i sztukę szeroko znaną w Polsce.



Cela urodził się w 1919 r. W wojnie domowej brał udział po stronie zwycięzców. Uczeń i wielbiciel Pio Baroju, wysforował się na czoło powojennych powieściopisarzy hiszpańskich. Debiutował mocną „czarną” powieścią, „Rodzina Pascuala Duarte’go”, w 1942 r., odkąd datuje się renesans powieści w Hiszpanii.

Cela jest pisarzem odważnym. W „Ulu” stworzył powieść

(8) Unamuno, Miguel de. *Trzy nowele przykładowe i prolog*. Tłumaczyła S. Ciesielska Borkowska. Książka i Wiedza 1959.

traktującą o współczesnej Hiszpanii bez taryfy ulgowej, ba, może nawet z wyjątkowo skoncentrowaną dozą cierpkiego krytycyzmu (9). Przy tym obrał technikę i język nowoczesny, choć za wzór posłużyła nieśmiertelna powieść Iotrzykowska. (Nie na darmo nawiąże autor do najstarszej z nich w tytule jednej ze swoich powieści). Cela jest przeciwny postulowaniu w literaturze. Jego dzieło to strzęp życia wiernie odtworzonego. Nie cierpi bohaterów pozytywnych ani lakiernictwa:

„Kłamią ci, co chcą przybrać życie w blazeńską maskę literatury. Zła, które toczy dusze, tego zła, które ma tyle nazw, ile mu tylko zechcemy nadać, nie można uleczyć gorącymi okładami konformizmu, kataplazmem retoryki i poezji (str. 5).

Stukilkudziesięciu mieszkańców Madrytu roku 1942 podpartzonych na gorąco, ze sceptycyzmem i zjadliwością, z okrutną monotonią wizji, daje w sumie przygnębiającą panoramę miasta. Od straszliwej wojny domowej minęły zaledwie trzy lata. Katastrofę ideologiczną i moralną pogłębiła ruina ekonomiczna i izolacja na skutek drugiej wojny światowej. Nadzieje związane z nowym ładem rozwiały się. Po okresie szczególnego natężenia idealizmu, czy choćby parcia do akcji, do zmiany, wróciła apatia i nuda tym gorsze, że biedne i małe. Madryt przedstawiony jest jako jeden zbiorowy, żyjący organizm. Motorami akcji jego mieszkańców jest zaspokojenie głodu i seksualnego pożądania. Tu chyba leży słabość powieści.

Cela nie znosi miasta. Człowieka sprawiedliwego identyfikuje z chłopem. We wsi, szczególnie w pustynnych górach, odnajduje wiarę w ludzkość. Nie tylko aluzji do rządów Franca należy szukać w „Ulu”, ale nade wszystko awersji do wielkiego skupiska ludzkiego w ogóle, które nazywa grobem. Być może, że przy takim odczytaniu tekstu obraz sparaliżowanego miasta urośnie do rozmiarów symbolu ponurej metropolii współczesnego szarego człowieka.

Przekładu polskiego dokonała Kalina Wojciechowska. Jest on nieomal bezbłędny. Do drobnych uchybień zaliczam używanie języka warszawskich przekupek. Te wszystkie „cholera ci w bok”, „psia mać”, „pies ci mordę lizał z twoimi tajemnicami”, „rasowe kociaki” — są pomyłką. Tłumaczka tak sobie wzięła do serca postulat szukania ekwiwalentów słownych, że niejednokrotnie przeholowała. Niewinne hiszpańskie „i tak niczego się nie dowiesz” u tłumaczki brzmi dosadnie „i tak gówno się człowiek może stamtąd dowiedzieć”. Do tekstu hiszpańskiego dołączono więc polski obyczajowy postskrypt. Niepotrzebne jest również wprowadzanie i odmienianie słów hiszpańskich typu *cerillero* czy *limpia*. Należało zastąpić je słowami polskimi lub omówieniem.

„Ul” jest otoczony aurą owocu zakazanego, gdyż w Hiszpanii jest dostępny jedynie w pokątnych egzemplarzach edycji

(9) Cela, Camilo José. *Ul*. Tłumaczyła Kalina Wojciechowska. Czytelnik 1960.

południowo-amerykańskiej. Rzecz dziwna, że książkę tę tłumaczy się w krajach, których cenzura nie przepuściłaby rodzimej książki tego samego typu. Jesteśmy świadkami dziwnej gry: w Hiszpanii święci triumfy „Ósmy dzień tygodnia” Hłaski, gdyż ukazuje rozprzeżenie moralne społeczeństwa żyjącego pod dyktandem komunistyczną, natomiast zakazany jest mniej frywolny „Ul”, lansowany w Polsce za to, że zawiera „osąd współczesnej sytuacji w ojczyźnie autora” (S. Błaut w „Tyg. Pow.” nr 9/631). Ot, osobliwa wymiana kulturalna polsko-hiszpańska!

Niedawno doniósł mi Cela, że w Polsce tłumaczy się także jego „Rodzinę Pascuala Duarte’go”. Mimochodem wspomnę, że pisząc szkic o Sergiuszu Piaseckim, Cela zwrócił uwagę na podobieństwo Polaka do bohatera swojej pierwszej książki, dedykując szkic „A la memoria de Pascual Duarte”.

Zdolny młody pisarz Ignacio Aldecoa (ur. Vitoria, 1925) jest autorem trzech zbiorów opowiadań i czterech powieści. Trzy z nich tworzą trylogię „Hiszpania stojąca w miejscu”. Polski debiut przypadł drugiej części trylogii „Con el viento solano” (10). W pierwszej, miejscem akcji jest posterunek policji, do którego dotarła wieść, że jeden z policjantów został zastrzelony. Ponieważ wiadomość jest niesprecyzowana, żony czekają z niepokojem na wyjaśnienie się sytuacji. Zanim to następuje autor ma czas zaznajomić czytelnika z kolejami życia tych kobiet i ich mężów. Powieść „Con el viento solano” mówi o zabójcy. Cygan Sebastian Vazquez po krwawej bójce uchodzi przed policją. W desperacji dobywa pistoletu i kładzie jednego z nich trupem. Przez szereg dni ucieka, aby w końcu oddać się dobrowolnie władzom. Ostatnie dni na wolności upłynęły mu na ciągłych kontaktach z dołami społecznymi, z Cyganami, mulnikami, cyrkowcami, biedotą. Aldecoa z zadziwiającą pewnością oprowadza nas po środowiskach do niedawna rzadko ukazywanych we współczesnej powieści, aby raz po raz zaprezentować wspaniałą postać człowieka, który będąc nędzarzem zachował wielką godność i wiarę w świat i ludzi.

Autorem przekładu polskiego jest młody tłumacz Stanisław Zembrzusi. Z tekstem poradził sobie świetnie. Jedyne nieomal zastrzeżenie można mieć do samego tytułu polskiego. Aldecoa w oryginale dał motto ze Starego Testamentu „Os heri con viento solano”, które w tłumaczeniu ks. Wujka brzmi „Karałem was wiatrem palącym i suszą” (Amos, 4,9; Aggeusz, 1, 18).

Polak motto usunął. Aluzja do Biblii zaginęła. Zamiast „wiatrem” otrzymaliśmy „z wiatrem”. Sądzę, że z motta wynika wyraźne znaczenie tytułu. Palący wiatr znamionuje fizyczny i psychiczny stan po zabójstwie. Znajdziemy do tego liczne aluzje w tekście np. „Ucieczka to podzęgające słońce, które się czuje na plecach

(10) Aldecoa, Ignacio. *Z wiatrem Solano*. Przetłumaczył Stanisław Zembrzusi. Iskry 1961.

biegnąc przed siebie w ciemność (str. 41)" itp. Polski tytuł nic nie mówi.

Ukazanie się po polsku powieści Juana Goytisolo, jednego z pisarzy młodego pokolenia, pozwoli skosztować twórczości najświeższej (11) Co prawda mamy do czynienia z wyjątkiem, ale zapowiedziana jest edycja drugiej jego powieści, „Żałoba w raju” oraz książki innego współczesnego prozaika lepszej klasy, Corrales Egea, „Druga twarz”.

Juan Goytisolo urodził się w Barcelonie w 1931 r. Jego starszy brat, José Agostin jest poetą, młodszy Luis, również powieściopisarzem. „Popołudnia trędowatych” to debiut dwudziestoletniego Juana. Szajka złotej młodzieży zabawia się w buntowników przeciwko społeczeństwu. Tragiczne skutki nie dają na siebie długo czekać: jeden z chłopców, który nie potrafi zabić, zostaje zamordowany przez towarzysza zabaw dla uratowania „twarzy”.

Autor przeniósł konflikty charakterystyczne dla niektórych współczesnych społeczeństw do swojej ojczyzny, która zresztą dzięki spoistości więzów rodzinnych ma wyjątkowo nieznaczną przestępczość młodzieży. Ta oprawa obyczajowa, jako komentarz młodego człowieka do czasów i miejsc sobie znanych jest niewątpliwie jego własnym wkładem. Wartość dokumentu podważa sztabackość autora wyzierająca raz po raz z kart opowieści, widoczna choćby w popisaniu się dowcipuszkami o dewotce, która posłała mieszkającym w sąsiedztwie zakonnikom słodczyce przeczyszczające, aby móc delektować się widokiem biegnących do wygódki.

Konstrukcja, styl i język powieści pozostawiają jeszcze więcej do życzenia. Młody pisarz nie rozumie na czym polega dobra robota literacka, bo nie sposób przyjąć na serio jego oświadczenia, że powieściopisarz z natury rzeczy jest złym pisarzem. Dlatego śmiesznie brzmią kumoterskie peany krytyków polskich widzianych w dość przeciętnym utworze „sztukę pisarską wielkiego formatu” (A. Ziemiński, „Życie Warszawy”).

Wybór „Popołudnia trędowatych” nie należy więc do pociągających roztropnych i „Żałoba w raju” niewiele sytuację poprawi. Lepiej już było wydać jego dalsze powieści. Cóż kiedy probierzem zdają się być krytyki francuskie sprzed kilku lat, lub przekłady na inne języki. Cena jaką trzeba płacić za tak wątpliwą klapeę bezpieczeństwa jest jednak wysoka.

Maria Sten jest tłumaczką nową. Tekst potraktowała rzetelnie, aczkolwiek zdarzają się drobne opuszczenia. Zawzięte zwroty często tłumaczy doskonale, aby utknąć na takich prostych, zdało-

(11) Goytisolo, Juan, *Popołudnia trędowatych*. Tłumaczyła Maria Sten. Czytelnik 1959.

by się, słowach jak *manzana* (blok kamienic) czy *volante* (kierownica). Lubi widać dosadność bo oddaje „Que sentido comun ni que mandangas!” wulgarnym „Mam cię w dupie z twoim zdrowym rozsądkiem (str. 214)”. Mimo zadziezystości zdarzy jej się eufemizm, „Chce mi się rzygać” na „Vete a la mierda”.

Wreszcie czuję się w obowiązku zasygnalizować ukazanie się pozycji właściwie nie mieszczącej się w kategorii książek dopiero co omówionych. Jest nią „Zdobycie Meksyku” w tłumaczeniu Tadeusza Milewskiego (12). Wartość pieczołowicie wydanego dzieła jest podwójna. Po pierwsze, zawiera ono polską wersję azteckiego eposu opiewającego zdobycie Meksyku przez Hiszpanów pod wodzą Hernana Cortesa. Po drugie, tłumacz zaopatrzył tekst doskonałym, obszernym wstępem i pracowitymi przypisami. Cenną publikację Ossolineum ozdobią ilustracje i mapki.

Florian ŚMIEJA

(12) Aztek-Anonim. *Zdobycie Meksyku*. Przetłumaczył i opracował Tadeusz Mikulski. Ossolineum 1959.

Wyspa szczęśliwa

Ptak *mynah*, jak papuga naśladowując głos ludzki, powtarza melodyjnie wyrazy: *Attention! Here and now!* — Uwaga! Tu i teraz!

Fale biją o niedostępny brzeg wyspy. Odyseusz ma na imię William, a Nauzykaa jest dwunastoletnią dziewczynką, która wraz z młodszym bratem pierwsza dostrzegła rozbitka. „Will chciał się uśmiechnąć do dzieci, ale nie mógł jeszcze pohamować drzenia warg i to, co miało być przyjaznym uśmiechem, wypadło jak przerażający grymas. Przestraszony chłopczyk skrył się za siostrę... Will drżącą ręką pokazał na owoce, które dzieci miały w kobiałce. Manga, banany... Ślina naciekła mu do ust”. Dziwiąc się jego próbom porozumiewania się na migi, Nauzykaa spytała najczystszą angielszczyzną:

— Chce pan jeść?

— Skąd ty tak świetnie mówisz po angielsku?

— Tu wszyscy mówimy po angielsku. To znaczy wtedy, gdy nie mówimy językiem Pali.

— To twój ptaszek?

— Mój?! Ptaki są niczyje. Są wszystkich. Jak... jak na przykład elektryczność.

- A dlaczego on mówi te słowa?
- Bo go ktoś ich nauczył.
- Jasne. Ale dlaczego właśnie te wyrazy?
- Dlaczego „Uwaga... tu i teraz...”? No bo... bo o tym się najłatwiej zapomina. Zapomina się, że trzeba ciągle uważać na to, co się dzieje. Co się dzieje tu i teraz...
- Aha. I ptaki mają o tym przypominać?
- Tak. Jak się pan nazywa?
- William Farnaby. A ty?
- Mary Sarojini MacPhail.
- MacPhail?!
- MacPhail. Pan tu się dostał samolotem?
- Nie. Żaglówką.
- Ma pan żaglówkę?
- Miałem. Zanim...

W ten sposób w jednej z początkowych scen nowej powieści Adousa Huxleya „Island” (*) zawieramy znajomość z jej bohaterem, dziennikarzem angielskim, wyrzuconym przez wzburzone fale na brzeg tajemniczej wyspy Pala. Leży ona w pobliżu Sumatry, ale nie szukajmy jej w atlasie, bo jest wymysłem autora. Dziewczynka o angielsko-hinduskich imionach i szkockim nazwisku jest pra-pra-wnuczką szkockiego lekarza który w XIX wieku osiadł na tej wyspie, zaprzyjaźnił się z jej władcą Radzą Reformatorem i wspólnie z nim wprowadził tu w życie plan stworzenia idealnego społeczeństwa. Mieszkańcy wyspy należą do nieokreślonej bliżej rasy dalekowschodniej i są dwujęzyczni. Znajomość angielskiego — zgodnie z planem reformatorów — pozwala na korzystanie z tego, co wartościowe w kulturze europejskiej. Rzecz dzieje się dziś, mniej więcej po stu latach od zapoczątkowania eksperymentu.

Jak „Nowy wspaniały świat”, „Wyspa” jest utopią, ale tym razem nie satyryczną. Pokazuje, jak Huxley wyobraża sobie ideał wolnego i rozumnie urządzonego społeczeństwa, oparty na wyznawanej przez siebie filozofii. Do jej kardynalnych zasad należy wykorzystanie żalów za przeszłością i troski o dzień jutrzejszy. Stąd owo ptasie hasło: „Tu i teraz!”.

Celem twórców utopijnego społeczeństwa jest szczęście wolnej jednostki. Nie jest ono pojmowane tylko jako dobrobyt, choć minimum dobrobytu jest nieodzownym warunkiem wstępnym. Pala osiągnęła je dzięki łagodnemu klimatowi, urodzajności gleby, przejętym z Europy zdobyciom agrotechniki i ustabilizowaniu przyrostu naturalnego. O bogactwo jednak Wyspa nie dba. Odmawia towarzystwom naftowym koncesji na bogate złoża, bo nie chce mieszania się obcych w swoje sprawy.

Najważniejszym zadaniem społeczeństwa jest wychowanie obywateli na ludzi dobrych i szczęśliwych, rozumnych i uducho-

(*) Adous Huxley, *Island*, Chatto and Windus, London, 1962.

wionych Służby temu pomysłowa mieszanina nowoczesnej psychologii, farmakologii, medycyny, pedagogii z mistyczną tradycją buddyjską. Wychowawcy Pali wypowiedzieli zwycięską wojnę egotyzmowi, żądzy władzy, wszelkim postaciom fanatyzmu i nietolerancji. W miarę poznawania wyspy, Farnaby, sam cynik, nieszczęśliwa ofiara własnych namiętności i tragicznych kompleksów, przekonywuje się, że eksperyment się udał: ludzie są tu lepsi i szczęśliwsi.

Nad wyspą jednak gromadzą się chmury. Wdowa po ostatnim radcy i jej niepełnoletni jeszcze synalek, oboje cudzoziemcy we własnym kraju, bo wychowani poza nim, knują zamach stanu, dążą do obalenia wolnościowego ustroju i do unii z sąsiednim Rendangiem, rządzonym przez dyktatora typu castro-nasserowego, pułkownika Dipę. Następca tronu w rozmowie z Farnabym nie oszczędza obecnego demokratycznego rządu swej ojczyzny:

— Ci starzy idioci tylko tu i ówdzie uprzemysławiają Palę, a poza tym chcą, żeby kraj wyglądał jak tysiąc lat temu...

— A pan chciałbym pójść na całego? Uprzemysłowienie dla uprzemysłowienia, sztuka dla sztuki?

— Nie. Dla kraju. Dla jego siły. Aby nas inni szanowali. Niech pan patrzy na Rendang! Za pięć lat będą wyrabiać karabiny, moździerze, amunicję... Wkrótce potem czołgi. Tymczasem zresztą kupują je od Skody za dewizy zarobione na nafcie.

— A więc pana zamiarem jest wzmocnić siły zbrojne Pali?

— Wzmocnić? Nie, stworzyć. Pala nie ma teraz armii. Przecież tu sami pacyfiści. Będę musiał zaczynać z niczego, od zera.

— I uprzemysławiając kraj będzie się pan równocześnie zbroił?

— Rozumie się.

— Nawraca pan do szczytnych tradycji assyryjskich. Przejdzie pan do historii jako prawdziwy rewolucjonista!

— Mam nadzieję — odpowiada młokos z naiwną dumą, biorąc za dobrą monetę sarkazm dziennikarza.

Powieść kończy się najazdem zamachowców na wyspę, a raczej urywa się na tym, bo jest jasne, że to nie koniec, że Pala nie pogodzi się z nowym barbarzyńskim ładem, lecz stawi mu bierny opór w duchu Gandhiego. Mógłby to być — może będzie? — temat dalszego ciągu, drugiej powieści.

Jako powieść „Wyspa” nie daje czytelnikowi wiele zadowolenia. Jej anemiczne postaci, ich zdawkowo-rezonerskie rozmowy, których próbki (ze skrótami) dałem wyżej, i wątpliwa akcja są właściwie tylko pretekstem do wykładu filozoficzno-społecznych poglądów autora. Fizyczne zwycięstwo reakcji paradyżującej w przebraniu rzekomego postępu jest do przewidzenia już od pierwszych rozdziałów, nie wynika z ciekawych perypetyj, nie stanowi niespodzianki. Dobra powieść powinna przypominać taki mecz piłki nożnej, którego wynik pozostaje niepewny aż do ostatniego

gwizdka sędziowskiego. Atak, obrona, prowadzenie, wyrównanie błysk nadziei w fatalnym położeniu, nagły cios w korzystnym — tym i podobnym perypetiom sportowym winny odpowiadać powi-
kłańcia akcji powieściowej. U Huxleya tego nie ma.

Zawodzi „Wyspa” również jako dzieło fantastyki. Wystarczy porównać świat poczęty w wyobraźni Huxleya ze światem, na przykład, Kafki. Pomysły Kafki są fantastyczniejsze, dziwniejsze, a jednak wywołują nieodparte wrażenie rzeczywistości. Chyba dlatego, że — podobnie jak otaczająca nas rzeczywistość — nie dają się bez reszty wytłumaczyć, pozostają zagadkowe i tajemnicze? Nie wchodzę w to, czy teoretycznie rzeczywistość da się całkowicie zrozumieć, praktycznie jednak nikt nie ma dość wiedzy i czasu, by wszystko sobie wyjaśnić w najbardziej nawet pospolitym i realnym życiu. Niedostateczność wyjaśnień, doza zagadki i tajemnicy jest składnikiem najlepszych dzieł, nawet dalekich od fantastyki. Bardzo wyraźnie występuje na przykład u Conrada, którego postacie są nieraz dla niego samego zagadką. A Hamlet jest właśnie dlatego takim arcydziełem realizmu psychologicznego, że charakter i postępowanie królewicza duńskiego kryją w sobie tajemnice, o które już od wieków kłóć się komentatorzy Szekspira. U Huxleya fantazja jest zawsze skrupulatnie wyjaśniona i uzasadniona, stąd — paradoksalnie — jej bezkrwistość i nierzeczywistość.

W niedawnym radiowym wywiadzie na pytanie: „Którą ze swych powieści uważa pan za najlepszą?” — Huxley odpowiedział z ujmującą skromnością: „Mój Boże, byłbym szczęśliwy, gdyby mi się udało napisać choć jedną dobrą powieść!”. Nie udało się i tym razem. Mocną stroną Huxleya jest zawsze wyjaśnianie rzeczywistości, słabszą — jej obrazowanie, jest lepszym myślicielem i eseistą niż powieściopisarzem.

Ten powszechnie dziś przyjęty sąd znajduję także w recenzji z „Wyspy” w lipcowym numerze „Encountera”, ale obok tego słuszne podkreślenie, że nienajlepsza szata powieściowa utopii Huxleya nie powinna odstręczać od wnikięcia w jej ciekawą i bogatą zawartość myślową.

„Ludzie są nie tylko spadkobiercami dobrodziejstw kultury, w której wzrosli, ale i jej ofiarami. Kultura umożliwia rozkwit jednostki, ale też mrozi niejedną pąk lub sprawia, że w sercu kwiatu lęgnie się robak, który go toczy. Może się uda na tej zapadłej wysepce pozbyć się robaków, złagodzić przymrozki i pozwolić kwiatom, by rozkwitły pięknie?”.

Tak w swym najlepszym eseistycznym stylu ujmuje Huxley pytanie, które jest punktem wyjścia powieści o wyspie szczęśliwej. Utopie zwykle zakładają, że dobry ustrój niejako automatycznie obdarzy ludzi szczęściem i zdrowiem. Huxley odwraca zagadnienie: niech najpierw ludzie będą szczęśliwi i zdrowi, fizycznie i psychicznie, a wtedy bez trudu stworzą dobry ustrój!

Dlatego o wiele mniej zajmuje się ustrojem swej wyspy niż filozofią, która mieszkańcom Pali dała zdrowie duchowe i cielesne, a raczej duchowo-cielesne, bo filozofia ta, podobnie zresztą jak katolicka, nie godzi się na sztuczne odrąbywanie ciała od duszy. O ustroju więc dowiadujemy się niewiele ponadto, że Pala jest federacją samorządów terytorialnych, zawodowych i innych i że jej gospodarka spółdzielcza nie jest ani socjalistyczna, ani kapitalistyczna.

Filozofia Pali jest religijna, ale nie w sensie wyznaniowym czy doktrynalnym. Jest esencją, dość sztuczną, wywarzoną z doświadczeń i nauk mędrców, świętych, proroków i mistyków różnych wiar i kultur. Główne składniki tego wywaru są wysokiej jakości. Jest tu podstawowe przekonanie o złudnym, fałszywym obrazie życia, na jaki skazany jest człowiek nie umiejący się wyzwolić z więzów miłości własnej. Jest nacisk na samowiedzę i wszechogarniającą dobroć, *caritas*. Do najwyższych cnót zaliczona jest czuła, wnikliwa uwaga na wszystko, co się dzieje tu i teraz, dokoła nas i w nas, a do największych grzechów ucieczka od terażniejszości w stronę niewczesnych żalów i próżnych pożądań. Kardynalną zasadą jest „totalna akceptacja”, czyli po chrześcijańsku: całkowita zgoda z wolą Bożą.

Podejście Huxleya do religii jest przede wszystkim psychologiczne. W ogóle psychologia odgrywa doniosłą rolę w jego utopii. Jest królową nauk na Wyspie, panuje nad jej życiem politycznym. Najniebezpieczniejszą politycznie warstwą jest — zdaniem mieszkańców Pali — ta mniej więcej jedna piąta społeczeństwa, która się odznacza szczególną podatnością na sugestię i hipnozę i skutkiem tego najłatwiej ulega demagogii dyktatorów i awanturników politycznych. Ważnym zadaniem jest więc wczesne rozpoznanie takiej podatności i uodpornienie dotkniętych nią ludzi, którym aplikuje się potężną dozę semantyki, najlepszego lekarstwa na skłonność do brania pięknie brzmiących słów zbyt serio, na upajanie się hasłami. Najniebezpieczniejszymi jednostkami zaś — na szczęście dość rzadkimi — są te, z których przemożna żądza władzy robi materiał na tyranów czy choćby tylko kacyków. W Pali rozróżnia się dwa typy tych potencjalnych wrogów wolności: typ Hitlera i typ Stalina. Pierwszy jest okazem cherlaka, spóźnionego w osiągnięciu dojrzałości płciowej, co powoduje u niego groźne dla otoczenia kompleksy. Tu terapia jest prosta: za pomocą odpowiednich preparatów przyspiesza się dojrzwianie. Drugi typ nazywa się „muskularny” — jest to organizm psychofizyczny o nieprzeciętnej sile, żywotności, energii. W tym wypadku terapia polega na skierowaniu nadmiernej energii w pożyteczne lub bodaj nieszkodliwe koleiny: powierza się typom muskularnym niebezpieczne i ciężkie fizyczne prace, zaleca emocjonujące rozrywki w rodzaju wspinaczki wysokogórskiej. Wydaje mi się, że takie medyczno-psychologiczne podejście do podstawowych zagadnień politycznych, choć trochę schematyczne, zwłaszcza w streszczeniu, zasługuje niewątpliwie na uwagę także w naszym, rzeczywistym świecie.

Z psychologią w nierozzerwalnym związku pozostaje pedagogia. Wychowanie — a do niego, jak widzieliśmy, sprowadzają się też problemy polityczne — jest dla Huxleya kluczem do lepszego świata. Rozsiał on więc po stronicach powieści wiele ciekawych pomysłów wychowawczych, z którymi warto się zapoznać, ale nie sposób je tu szczegółowo omówić. Ich natchnieniem jest synteza nowoczesnej psychologii zachodniej z tradycyjną mądrością Dalekiego Wschodu.

Służką psychologii jest także ekonomia. Pała odrzuca zarówno kapitalistyczny mit konsumpcji jak komunistyczny mit produkcji. „Oparliśmy się” — mówi rzecznik szczęśliwych wyspiarzy — „pokusie nadmiernej konsumpcji. Nie wierzymy, że posiadanie dwu telewizorów podwaja zadowolenie, jakie daje jeden... Nie wychowujemy naszych dzieci ani dla masowej konsumpcji, ani dla siły państwa... Dostosowujemy naszą gospodarkę i technikę do ludzi, a nie naszych ludzi do czyjejs gospodarki i techniki”. Przykładem zastosowania tych zasad jest, że żaden mieszkaniec Pali nie poprzestaje na jednym rodzaju pracy: kto spędza pół roboczego dnia w fabryce, drugą połowę poświęca pracy na roli lub w lesie, pracownicy umysłowi nie stronią od pracy fizycznej... Nie sprzyja to może wydajności, tak jak specjalizacja, ale jest psychologicznie zbawienne.

Mniej szczęśliwe wydają mi się te pomysły reformatorskie Huxleya, które dotyczą życia płciowego i rodzinnego. „Lenin mawiał” — czytamy w „Wyspie” — „że elektryczność plus socjalizm równa się komunizm. My mamy inne równania. Elektryczność minus ciężki przemysł plus ograniczenie przyrostu równa się demokracji i dobrobytowi. Elektryczność plus ciężki przemysł minus ograniczanie przyrostu równa się nędzy, totalizmowi i wojnie”.

Nikt rozumny nie przeczy, że tak zwana eksplozja demograficzna jest groźnym problemem naszych czasów. Rozwiązanie Huxleya jest jednak chyba zbyt łatwe, aby mogło być właściwe. On sam zresztą jest jakby niezdecydowany w swych zaleceniach: nie umie wybrać pomiędzy pewną formą wstrzemięźliwości (tzw. w cnotliwej łacinie moralistów katolickich *coitus reservatus*) a środkami zapobiegawczymi i wprowadza jedno i drugie.

Nikt nie przeczy również, że represje i frustracje popędu płciowego są źródłami wielu nieszczęść. Ale proponowane przez Huxleya lekarstwa w rodzaju wolnej miłości praktykowanej już w wieku szkolnym są chyba gorsze od choroby.

Michał SAMBOR

„Pani Helena”

Dzięki Tymonowi Terleckiemu odżyła w naszej wyobraźni niezwykła postać, po której talencie, uroku, urodzie, głosie zostały jedynie wspomnienia, garść fotografii i kilka złych portretów, w rodzaju Carolusa Durand. Żadna taśma magnetofonu, żaden obraz filmowy nie przekazał dźwięku i akcentu jej mowy, gry fizjognomii, spojrzenia.

„...Widziałem w oczach tysięcy mieczy.
Nie zapomnieć. — Kto oczy od ocz tych uleczy?”

— pisał Wyspiański o Modrzejewskiej w roli Lady Macbeth.

Po słowach Julii szekspirowskiej ze sceny balkonowej:

„...takam w życzeniach niepohamowana
Żebym dobranoc wołała do rana...”

Stanisław Witkiewicz, zakochany w „najcudniejszej pani Helenie” miał podobno zemdleć. A modlitwa Marii Stuart Schillera, jednej z arcyról Modrzejewskiej, słowa królowej idącej na śmierć, odmawiającej szeptem psalm: *De profundis clamavi ad te Domine...* — brzmiały takim skupieniem, powiada Kotarbiński — współaktor w sztuce, taką powagą rezygnacji chrześcijańskiej, że go dreszcz przeszedł.

Praca Terleckiego jest dopełnieniem i korekturą „Wspomnień i Wrażeń”, które Modrzejewska pisała po angielsku w ostatnich latach życia dla potomności i dla amerykańskiego czytelnika. Wspomnień, w których niejedno przemilczała, inne przeinaczyła, m.in. dzieje pierwszej młodości i upakarzającego związku z Gustawem Zimajerem, jej pierwszym nauczycielem i reżyserem, ojcem jedyne, ukochanego syna Rudolfa — Ralpa Zimajera, który wymyślił jej nazwisko, jak powiada Terlecki, „z kapelusza”.

Mąż artystki, Karol Chłapowski, którego zdobyła znacznie później wszystkimi walorami swej osobowości, jako też trzeźwością i wyrachowaniem, pozostał do końca wiernym towarzyszem na trudnym stanowisku małżonka „gwiazdy”. Niezaradny, fantasta, trochę śmieszny, bardzo kulturalny, podbudował karierę sceniczną Modrzejewskiej pozycją towarzyską, której odmawiano jeszcze wtedy aktorkom, i arystokratycznym nazwiskiem.

W ciemnych latach spędzonych w objazdowej trupie aktorskiej, latach intryg i poniżających rywalizacji, pisała Modrzejewska

(1) Tymon Terlecki: *Pani Helena*. Opowieść biograficzna o Modrzejewskiej. Nkl. „Veritas”, Londyn 1962. Str. 282.

jewska do matki już pewna siebie: „Odplączę ja im się kiedyś za wszystko z procentem!”. Ale kiedy się wyzwoliła i prześcignęła wszystkie swoje zawistne rywalki, odwet tej niekiedy drażniącej kobiety przeobraziła się w uśmiechniętą wielkoduszną. Bo Helena Modrzejewska była nie tylko wielką artystką, ale też niepospolitym człowiekiem. Po ojcu, najprawdopodobniej Władysławie Sanguszcze, córka wielkiego rodu, po matce Józefie Bendowej, mieszkającej w Krakowie, zaradnej i energicznej rodzicielce dziesięciorga dzieci, odziedziczyła nieustępliwe dążenie, żelazną zdolność pracy, a także imponującą żywotność. Szła przebojem ze sceny na scenę, aż do samego szczytu, gdzie już nie było rywalek tylko równe jej wielkości, jak Sara Bernhardt, Eleonora Duse, Adelaida Ristori. Jej sceniczna kariera obejmowała około dwustu sześćdziesięciu ról, z których siedemdziesiąt kilka najważniejszych, dwujęzycznych. Dziesiątki i dziesiątki przeobrażeń, przewcieleń twórczych, olbrzymi kapitał wyobraźni, ładunek pamięci. Pominąwszy wszystko inne, jak pisze Terlecki, Modrzejewska nie przestanie nigdy być „zagadką, dziwem i cudem”.

Jako zupełnie początkująca wodewilistka, pod władzą Gustawa Zimajera, widziała już siebie w tragicznych rolach szekspirowskich Ofelii, Julietty, Porcji.

„Czemuż nie mówię po angielsku — rozpaczła wtedy — widzę te wszystkie postacie o tak różnych wyrazach, o jednej twarzy, a ta twarza ta twarz — jest moją!” (Wspomnienia).

I stało się. Była Ofelią, Juliettą, Porcją, Kleopatry i niezapomnianą Lady Macbeth i Małgorzatą z Fausta i księżniczką Fboli z Don Carlosa, a także Adrienne Lecouvreur Scribe'a i Damą Kameliową Dumasa, a w końcu Laodamią Wyspiańskiego i Marią z Warszawianki. Tę ostatnią grała we Lwowie mając lat 61. Słuch ją zawodził, nie mogła się zdać na suflera, tekst był trudny, zapadła więc w prostrację, płakała z tremy. Ale i tym razem stało się. Słowa poety przeistoczyły ją w młodą, zakochaną, zachwycającą Marię. Dwadzieścia razy wywoływano ją na scenę po przedstawieniu. „Nareszcie widzę moją Marię!” — miał zawołać Wyspiański.

Oklasków, kwiatów, uśmiechów i łez nie szczędzono Modrzejewskiej w Ameryce i w kraju. Ale miarą jej wielkości było, że w zgiełku sławy i w ciężkim jej jarzmie zachowała własną osobowość, prostotę słowa i gestu, że linia jej życia była tak szlachetnie i konsekwentnie jednolita. Na próżno łowcy sensacji szukaliby w jej życiu jakiejś pożywki. Tę samą prostotę odnajdujemy w jej wspomnieniach (2) wydanych po angielsku w 1910 roku, a dopiero w 1957 w tłumaczeniu polskim. Zagrała tu Modrzejewska swoją ostatnią, finezyjnie i wiarygodnie przemyślaną rolę. Jej patriotyzm, intuicja artysty, fenomenalna pamięć,

(2) Helena Modrzejewska: *Wspomnienia i Wrażenia*. Wyd. Liter. Kraków 1957. Str. 636.

a także zmysł humoru i zmysł reklamy wsparły to końcowe dokonanie. Tymon Terlecki rozplątał nici tego pamiętnika, oddzielił prawdę od legend, odsiał anegdoty, wzbogacił relacjami współczesnych, dopełnił korespondencją, kroniką teatralną, od pierwszych nieśmiałych głosów prasy galicyjskiej aż do potężnych trąb reklamowych prasy amerykańskiej. Szczególnie interesujące są strony książki poświęcone znaczeniu sceny polskiej w latach powojennych, zwłaszcza sceny warszawskiej. Mimo upaństwowienia teatru, tepej, często niedorzecznej cenzury, teatr był jedyną dozwoloną placówką polskości, jedyną publiczną manifestacją języka polskiego, gdzie indziej prześladowanego, jedynym miejscem gdzie pod osłoną symboli i hołdów składanych autorom, mogły dojść do głosu uczucia patriotyczne. Wpływ i znaczenie, z którym dziś wobec ekranów kinowych i niezliczonych sposobów szerzenia kultury mas, żadna scena nie może iść w porównanie. Na kartach obu tych książek spotykamy się nie raz z Marią Kalergis-Muchanową, szczególną opiekunką artystki i warszawskich teatrów. Po swojemu służyła sztuce polskiej. Jako żona „Moskala”, prezesa dyrekcji teatrów rządowych, przyczyniła się do podniesienia teatralnego repertuaru wprowadzając pod wpływem Modrzejewskiej na scenę sztuki Szekspira i „Mazepę” Słowackiego, mimo, że ocenzonego i bezimiennie. Umiała wyklócać się z cenzurą.

W 1862 pisał Norwid do K. Górskiej o krwi przelanej w 1848 w Paryżu i krwi wylanej w Ameryce, aby ludzie byli szczęśliwsi.

„Aneta robi herbatę — kończył — Rotschild gra w bursę. Pani Franciszkowa Potocka idzie za mąż, pani Kalergis jeździ po bruku warszawskim z kacapem na koźle...”

A jednak, mimo kacapa na koźle pani Kalergis-Muchanowa podjęta wtedy coś z tych „ziemskich celów”, niegdyś pogardzanych, spełniając nieświadomie jego ówczesną prośbę. Drugą kobietę Norwidową, Marię Tremblicką-Faleńską nazywała Helena Modrzejewska swoim sumieniem i pozostała do końca wierną jej korespondentką. W latach stromego wznoszenia się artystki Norwid zmagał się jeszcze ze swoim losem. A kiedy Modrzejewska ze swoją świtą postanowiła emigrować do Ameryki, w tym samym 1876 roku Norwid złożył broń. Miał lat 56. „Walczyłem do ostatka — pisał — nadwyrężyłem środków, planów, sił, nerwów... Musiałem kapitulować”. Pozostawało mu jeszcze siedem lat życia, nie dogorywania jak pisze Terlecki, bo lat twórczych, i względnie bezpiecznych, w przytułku św. Kazimierza.

Wiele lat później Modrzejewska poznała i pokochała Wyspiańskiego, grała jego sztuki. Ale „Pierścień Wielkiej Damy”, „Kleopatry”, „Za kulisami”, „Noc 1001” — leżały zapomniane, w rękopisach.

Po kosztownych próbach farmerskich, które pochłoneły wszystkie oszczędności, po miesiącach żarartej pracy nad językiem wróciła Modrzejewska na scenę. Dwadzieścia sześć tournées po Ameryce, od 1877 do 1907, które przynosiły jej po kilkadziesiąt tysięcy dolarów każda, to było osiągnięcie na miarę nie tylko

jej talentu, ale też sił fizycznych i wytrzymałości nerwowej. W tym okresie wracała kilkanaście razy do kraju, „córka niemarnotrawna”, „sempre la stessa”, zawsze oczekiwana i wielbiona, występując na scenach trzech zaborów, póki w 1893 na światowej wystawie w Chicago przemówieniem o pogwałconym narodzie polskim nie naraziła się władzom rosyjskim. Engagement na dziesięć przedstawień w Warszawie skreślił generał gubernator Hurko i prosił aby w 24 godziny opuściła miasto. Nigdy nie miała już wrócić do Warszawy.

Poza galerią najświetniejszych aktorów współczesnych H. Modrzejewskiej, polskich i zagranicznych, które obejmują już naszą epokę, bo oboje Solskich, Marię Dulębiankę, Adwentowicza i innych, spotykamy na kartach jej wspomnień i biografii mnóstwo drogich lub bliskich „znajomych”, od Bogdana Zaleskiego i Odyńca, Kraszewskiego i Ujejskiego, serdecznymi jej przyjaciółmi był Stanisław Witkiewicz, Chełmoński, Chmielowski (późniejszy brat Albert), Sienkiewicz, Wyspiański. W Ameryce poznała Walta Whitmana, 70-letniego już wtedy Longfellow'a, szczególnego jej protektora, w Anglii A. Tennysona, R. Browninga, O. Wilde'a, G.D. Rossetiego, J. Whistlera.

Podobnie jak Conrad pragnęła zakończyć życie w ojczyźnie.

„Mam zamiar osiąść na dobre w kraju, pisała, w jakimś kącie spokojnym... Różne plany robimy... Jesteśmy jak Twardowski zawieszni między niebem, a ziemią...”

Ale jak u Conrada nic z tych planów nie wynikło. Pozostali w Stanach, gdzie głębokie już puścili korzenie. Ostatnią tournée odbyła Modrzejewska mając lat 67. Słuch nie dopisywał, głos zanikał chwilami do szeptu. W 1909 wystąpiła raz jeszcze w Los Angeles na ofiarę trzęsienia ziemi w Messynie. Od tego wymówić się nie chciała, zagrała ostatkiem sił scenę snu lunatycznego z Macbetha. Umarła w trzy miesiące później, 8 kwietnia.

T. Terlecki nazwał pracę swoją opowieścią biograficzną, co nie znaczy aby ją upowieściował. Przeciwnie, usiłował przybliżyć jak najbardziej do opracowanie „do dzisiejszego stanu wiedzy źródłowej”, a mogło ono być spełnione w Londynie tylko dzięki niestrudzonej pomocy dwu teatrologów młodszego pokolenia w kraju, Józefa Szczublewskiego i Jerzego Grota. Źródła amerykańskie udostępnił autorowi znany z uczynności i wiedzy fachowej były bibliotekarz New York Public Library, dr Alfred Berstein.

W życiorys kobiety i półwieczną karierę artystki, zapoczątkowaną w Bochni, a zakończoną w Los Angeles, włożył T. Terlecki trud badacza i pasję teatrologa. Opisując blaski nie przemilczał cieniów, klęski poniesionej w Anglii, stopniowego wygasania światła, a także złożonych uczuć w stosunku do kraju, uczuć tęsknoty i winy. Rzetelność historyka kazała mu przytoczyć dziesiątki recenzji, na których odsianiu zyskałaby przejrzystość opracowania. Zastanawiające jest, że pod wpływem być może samej Modrzejewskiej, jej romantycznego repertuaru i młodzieńczego stylu korespondencji znajdujemy w tej opowieści nadmiar gwiazdzi-

stych nieboskłonów, brylantowych łez i lazurowych toni. Sama Modrzejewska w swoich wspomnieniach pozbyła się tego obrazowania, którym, chyba niechcący, zaraził się biograf.

Załowac należy, że książce Terleckiego brak indeksu nazwisk oraz bibliografii, z której uważny czytelnik niejednego mógłby się dowiedzieć. Zwykłe chronologiczne calendarium tego niezwykłego życia, rozpiętego na obu półkulach ułatwiłoby osadzenie w czasie najważniejszych ról Modrzejewskiej, scen na których występowała, 26-ciu tournées amerykańskich oraz 14 czy 15-tu gościnnych występów w Polsce.

Praca Tymona Terleckiego dopełnia naszą wiedzę o Modrzejewskiej mnóstwem wiadomości i nieznanymi szczegółów i daje niezapomnianą ewokację wielkiej artystki.

Maria CZAPSKA

Powstanie Wielkopolskie

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że powstanie Wielkopolskie — jakkolwiek nie było w stanie wyzwolić całego zaboru pruskiego — nie sięgnęło na Górny Śląsk, a i w stosunku do bardzo zagrożonego wtedy Pomorza nie wyszło ze sfery zamierzeń i planowania tylko — wzmocniło przeciw znakomicie pozycję polskiej delegacji na konferencji pokojowej w Wersalu, i wielce ułatwiło jej walkę o granicę Polski na zachodzie; walka ta — bez wielkopolskiej ofiary krwi, choć niezbyt wielkiej (trochę ponad tysiąc poległych) — byłaby w przebiegu o wiele trudniejsza, w skutkach zaś dałaby Polsce niechybnie o wiele mniej, niż przyznał ostatecznie traktat wersalski.

Nie tylko więc zrozumiały patriotyzm lokalny Wielkopolan, nie tylko ich duma z udziału w ogólnonarodowym wysiłku w walce o granice, lecz także wyczucie politycznego znaczenia grudniowego zrywu w Poznaniu jest tym źródłem, z którego dość wcześnie wyrastała zaczęta literatura pamiętnikarska i historyczna. Wyprzedził tu wszystkich por. St. Rybka, który w r. 1919 ogłosił swe „kartki z pamiętnika” pt. „Zerwane pęta”. Po nim, w r. 1920 mjr Bohdan Hulewicz wydał u Zygmunta Pomarańskiego w Zamościu swój „przyczynek do dziejów przewrotu z listopada i grudnia” pt. „Powstanie wielkopolskie”. Te dwie pierwsze broszury i późniejsze od nich „fragmenty” oraz „przyczynki” często były wręcz mieszaniną „urojeń i rzeczywistości” i przyczyniały się do zakorzenienia w umysłach raczej legend, niż prawdy.

Pierwszą próbę walki z tym stanem rzeczy podjęło „Towarzystwo dla badań nad historią powstania wielkopolskiego”, powołane do życia w Poznaniu w r. 1927 z inicjatywy gen. Juliana Stachiewicza, szefa Wojskowego Biura Historycznego w Warszawie, a kierowane w ciągu pierwszych 45 lat przez kpt. Tadeusza Fenrycha, „referenta historycznego” sztabu D.O.K. VII, w ścisłym kontakcie z gen. Stachiewiczem i przy wydatnej pomocy dyrektora Archiwum Państwowego w Poznaniu, Kazimierza Kaczmarczyka. Już w trakcie zbierania relacji i gromadzenia dokumentów stwierdzono braki w przekazanych Archiwum Państwowemu zespołach akt Naczelnej Rady Ludowej w Poznaniu; nie było tych brakujących dokumentów także i w zbiorach Poznańskiego Twa Przyjaciół Nauk. Poszukiwania brakujących akt nie dały pozytywnych wyników; „braki” te jednak istniały, gdzie starannie schowane, i udostępniane tylko wybranym jednostkom. Tak wyróżniony został np. gen. Józef Dowbór-Muśnicki, który w latach 1933-1934 spisywał swoje wspomnienia i do wydanych później w formie książki dołączył obfity dział „załączników” (1), gdzie m.in. powoływał się, czy przytaczał dosłownie lub ze zmianami i owe nie wiadomo gdzie i przez kogo ukryte części dokumentów Naczelnej Rady Ludowej.

Najświeższą próbą omówienia powstania jest wydana niedawno na emigracji broszura Zygmunta Wieliczki (2). Zygmunt Wieliczka brał czynny udział w powstaniu wielkopolskim, jako szef sztabu oddziałów powstańczych tzw. frontu południowego; później, od r. 1926-1927, współpracował z kpt. Fenrychem w „referacja historycznym” w sztabie D.O.K. VII w Poznaniu; jeszcze przed r. 1939 napisał i wydał: „Od Prosnego po Rawicz” — „wspomnienia z powstania wielkopolskiego” (Poznań, 1931) oraz, w tymże roku, broszurę: „Tło polityczne powstania wielkopolskiego”; w roku zaś 1933 redagował pracę zbiorową: „Szkice i fragmenty z powstania wielkopolskiego”. W broszurze, obecnie wydanej w Kurytybie, w obfitych przypisach wykazuje gruntowną znajomość literatury, związanej z tym tematem. Szkoda, że ograniczył się do napisania tylko broszury.

Praca Wieliczki jest cennym wkładem do naszej wiedzy o tym fragmencie najnowszych dziejów Polski. Autor wykazuje, jak na tle ówczesnej rewolucji niemieckiej działał polski samoczynny mechanizm powstańczy; obala nie jedną legendę, wyraża w kwestiach kierownictwa politycznego i operacyjnego, wyjaśnia równocześnie przyczyny słabości, raczej znikomości sił P.O.W. na obszarze Wielkopolski. Broszura nie mogła oczywiście wyczerpać tematu. Częściowo usprawiedliwić to mogą warunki emigracyjne, skąd dostęp do wszystkich niezbędnych źródeł jest bardzo utrudniony, czasami — wręcz niemożliwy, częściowo zaś jest to

(1) Józef Dowbór-Muśnicki, *Moje Wspomnienia*, Warszawa, 1935, na str. 277-281 oraz w dziale „Załączników”.

(2) Zygmunt Wieliczka, *Prawdy a legendy powstania wielkopolskiego 1918-1919*, Kurytyba, 1961, stron 51.

wynikiem faktu, że niektóre, bardzo istotne problemy, ani w polskiej, ani w obcojęzycznej literaturze nie doczekały się dotąd wyjaśnienia, np. sprawy rozejmu zawartego w Compiègne przez zwycięską koalicję tuż przed zakończeniem wojny. Artykuł XII rozejmu pozwalał Niemcom na pozostanie na obszarach okupowanych we wschodniej Europie. Są tylko pewne podstawy do przypuszczeń, że ten artykuł był wynikiem nie propozycji niemieckich, lecz dziełem Anglików, ulegających, poza swymi racjami, podszeptom ówczesnych „białych” emigrantów rosyjskich. Udowodnić tego jednak naukowo nikt dziś jeszcze nie zdoła. W związku z broszurą Wieliczki podjąłem taką próbę i mogę stwierdzić nast. fakty.

Clemenceau w swej książce o „Blaskach i nędzach zwycięstwa” ogranicza się do lapidarnego stwierdzenia, że spraw, związanych z zawartym zawieszeniem broni, nie omawia, gdyż uczynił to „przejrzycie” m.in. gen. Henri Mordacq w publikacji pt. „Prawda o zawieszeniu broni”. Ale generał Mordacq w relacjach swych („L'armistice du 11 Novembre 1918” i „Pouvait-on signer l'armistice à Berlin?”) nie mówi nic o sprawach, związanych z rosyjskim frontem na wschodzie Europy. W książce „Le Ministère Clemenceau”, w tomie drugim, przytacza instrukcję dla ówczesnego gen. Franchet d'Espéry, gdzie jest mowa o przygotowaniu ofensywy francusko-angielskiej w rejonie serbskiego Belgradu oraz o ewentualnym współdziałaniu armii angielskiej z obszaru Palestyny. Pewne materiały w sprawie rozejmu z listopada 1918 r. znaleźć można w pracy Mermeix'a: „Les négociations secrets” oraz w zbiorze: „Der Waffenstillstand 1918-1919”, redagowanym przez gen. Hammersteina, wreszcie u T. Komarnickiego w „Rebirth of Polish Republic” (3). Z publikacji tych wynika, że Rada Najwyższa, na posiedzeniu przedstawicieli Francji i Anglii, w dniu 2 listopada nie wiedziała, co począć z obszarami okupowanymi przez Niemców na wschodzie Europy; na posiedzeniu 4 listopada zwyciężył pogląd angielski (Balfoura), że obszary na wschodzie należy pozostawić pod okupacją niemiecką, ale pod nadzorem i pod dowództwem zwycięskich aliantów zachodnich; w przeddzień jednak zwycięstwa tej tezy, 3 listopada, reprezentanci Anglii doszli do porozumienia z Niemcami i zmodyfikowali odpowiednio „stare plany Buchanana” o przejęciu dziedzictwa polityczno-handlowego w rejonie nadbałtyckim, przy użyciu sił, zorganizowanych tam przez Niemców (generał Mannerheim, gen. von der Goltz). Stąd właśnie wyrosło późniejsze poparcie Anglików dla

(3) Nie zdążyłem, z powodu choroby, dotrzeć do takich prac, jak G.K. Königa „Der Kampf um die deutsche Ostgrenze im Versailles”, I.F. Iwaszina: „Očerki po istorii wneszniej politiki SSSR”, oraz do paru publikacji angielskich i amerykańskich, w których są może jakieś szczegóły dodatkowe w tej sprawie. Obszerny szkic K. Nowaka pt. „Rewolucja listopadowa w Niemczech”, ogłoszony w tomie IX poznańskiego „Przeglądu Zachodniego”, wbrew nadziejom, jakie budził może jego tytuł, żadnych informacji w interesującej tu nas sprawie nie zawiera.

tw. „pułkownika”, w rzeczywistości tylko kapelmistrza orkiestry pułkowej, Pawła Bermondta-Awałowa (4).

Sprawy te, bardzo skomplikowane, wymagałyby szerszego potraktowania, na co tu nie ma miejsca. Przy sposobności jednak warto zwrócić uwagę na moment, pozostający dla większości naszego społeczeństwa poza polem jego widzenia. Bo oto Roman Dmowski, w swoim głównym dziele o „Polityce polskiej”, przyznaje się — nawet z odcieniem dumy — że na wiadomość o ustalonych warunkach rozejmu zwrócił się do Lansinga z postulatem zatrzymania wojsk niemieckich na okupowanych przez nie obszarach wschodnich (5). W żadnej z wymienionych obcych relacji nie ma śladu potwierdzenia tych wyznań Dmowskiego. Nie kwestionuję jego prawdomówności — mógł on rzeczywiście „interweniować” u Lansinga, ale — bez skutku, bo warunki rozejmu, jak wiemy, już były ustalone, zgoda zaś na pozostanie wojsk niemieckich na okupowanych obszarach wschodnich wyrosła z powodów zgoła innych, o których Dmowski, ani tym bardziej Seyda, nic wtedy nie wiedział. Po cóż więc przypisywać sobie „zasługę” nie własną?

Wreszcie — w związku z broszurą Z. Wieliczki — warto podnieść tu jeszcze jedną kwestię. Po co, w jakim celu ukrywano tak długo i tak skutecznie część dokumentacji odnośnie tych spraw i wydarzeń? Odpowiedzialni za to mogliby podać wiele powodów, ale spośród nich nie wymieniliby chyba najważniejszego — ich walki z ówczesnym Naczelnikiem Państwa, Józefem Piłsudskim. Już Bohdan Hulewicz w swej broszurze (na str. 24) stwierdzał w r. 1920, że wytaczano „argument”, iż Wielkopolska „na pomoc Warszawy liczyć nie może”, bo „Warszawa sama nie może się uporać z Czechami i Ukraińcami” oraz, że „Piłsudski zaangażował się wobec socjalistów niemieckich” i „zrezygnował

(4) Paweł Bermond-Awałow i Rüdiger von der Goltz — zob. w drugim tomie mojej „Najnowszej Historii Politycznej Polski”, Londyn, 1956, na str. 187, tamże i na stronach dalszych szczegóły o akcji Niemców na Kowieńszczyźnie i na Łotwie oraz o działaniach politycznych i militarnych Anglików w rejonie Bałtyku.

(5) W książce „Polityka polska i odbudowanie państwa”, wydanie drugie, Warszawa, 1926, na str. 341: „Wojna kończyła się już faktycznie, kończyła się w ten sposób, że Europa środkowa, którą zwycięzcy mieli przebudować, nie znajdowała się w ich rękach. Konwencja zawierała dwa artykuły, dotyczące Polski. Jeden zapewniał sprzymierzeńcom komunikację z Polską przez Bałtyk i ujście Wisły, czyli przez Gdańsk... drugi zobowiązywał Niemców do natychmiastowego ewakuowania wszystkich zajętych podczas wojny terytoriów. Stanęło mi przed oczyma położenie Polski. Wojska polskiego właściwie w kraju nie ma, alianci ze swoim wojskiem nie przyszli, wojsko niemieckie usuwa się do Niemiec, a na jego miejsce wlewa się fala bolszewicka ze wschodu. Udałem się natychmiast do Lansinga i zażądałem uzupełnienia tego artykułu zastrzeżeniem, że na wschodzie ewakuacja wojsk niemieckich nastąpi dopiero wtedy, gdy państwa sprzymierzone tego zażądają... Za Dmowskim powtarza to samo M. Seyda — zob. jego „Polska na przełomie dziejów”, tom drugi, Poznań 1931, na str. 490-491.

z wcielenia Wielkopolski do Macierzy”... Skutek? Nie tylko „poznańska niechęć do Piłsudskiego”... Niemcy na długo przed r. 1933 wyzyskiwali to w swej antypolskiej propagandzie, a dziś historycy komunistyczni w Polsce twierdzą, że Piłsudski, jako Naczelnik Państwa i Naczelnny Wódz, „odgradzał się od wszelkiego udziału” w walce o Wielkopolskę, że „rządy Piłsudskiego” nie chciały dać pomocy, że Piłsudski, „zamiast pomóc” Wielkopolsce — „zapuszczał się w awanturniczą politykę na wschodzie”.

Wystarczy jednak nawet zajrzeć do książki Dowbór-Muśnickiego — książki, gruntownie u nas przez ogół zapomnianej, a przez wielu lekceważonej i chyba z tego względu przez badaczy naszej historii najnowszej niewyzyskiwanej zupełnie. Na stronie 277 swoich „Wspomnień” pisał Dowbór-Muśnicki: „Pewnego pięknego poranka miejscowy doktor zakomunikował mi, że jestem mianowany głównodowodzącym w Poznaniu. Wiadomość zacerpnął z gazet. Istotnie, na drugi dzień przyjechał oficer z wiadomością, że Komendant Piłsudski prosi mnie o przybycie do niego. Pojechałem”...

Tam, w Warszawie, doręczono Dowborowi dwa dokumenty, oba pochodzące od Naczelnnej Rady Ludowej w Poznaniu. Jeden z nich, w formie listu-apelu do Dowbora stwierdzał: „Wypadki w Księstwie Poznańskim przybrały takie rozmiary, że nie możemy im podołać. Potrzebujemy koniecznie wyższego wojskowego, który by objął dowództwo i zajął się organizacją naszych sił zbrojnych”. W drugim dokumencie Komisarjat Rady stwierdzał: „Pan Komendant Piłsudski zwrócił się do Naczelnnej Rady Ludowej tydzień temu z propozycją, byśmy sobie wybrali na głównodowodzącego naszych sił zbrojnych Jaśnie Wielmożnego Pana lub gen. Michaelisa. Komisarjat N.R.L. postanowił jednogłośnie zwrócić się do Jaśnie Wielmożnego Pana z usilną prośbą o natychmiastowe przybycie do Poznania. Postanowienie nasze zakomunikowaliśmy p. Piłsudskiemu telegraficznie i listownie”.

W Warszawie, w Belwederze, Dowbór był 7 stycznia. Stwierdza już od siebie dalej: Piłsudski „powiedział mi słowa mniej więcej następujące: „Mianuję pana komenderującym wojskami w Poznaniu; będzie pan moją awangardą, w razie potrzeby — podtrzymam”... Na pytanie Dowbora — „jak obiecuje”, „czym może podtrzymać” — wobec „bardzo ciężkiej sytuacji” pod Lwowem — Piłsudski, „po chwili namysłu”, odpowiedział: „znajdzie się!”... I dalej pisze Dowbór: „Komendant zażądał, żebym nie ogłaszał, że jadę do Poznania z jego ramienia”, „polecił jechać w cywilnym ubraniu; dlaczego? — nie wyjaśnił”...

Dowbór-Muśnicki chyba tylko celowo „nie zrozumiał” tych poleceń. Bo działo się to przecież w dobie konferencji pokojowej w Wersalu, iż Piłsudski, jako Naczelnik Państwa, nie mógł — rzecz jasna — w sprawie Wielkopolski działać jawnie.

La Celle-Saint-Cloud.

WŁ. POBÓG-MALINOWSKI

Nadane nowe wydawnicze

- KORAB (Alexander). *Die Entwicklung der kommunistischen Parteien in Ost-Mitteleuropa*. Str. 204. (Wyd. Terrapress Verlag, Hamburg, czerwiec, 1962, cena DM. 13,80).
- NOWAKOWSKI (Tadeusz). *Camp off All Saints*. Str. 314 i 14 nlb. (Wyd. St. Martins Press, Inc. New York, 1962, cena dol. 4,95).
- Polskie Siły Zbrojne w Drugiej Wojnie Światowej*. Tom I. Kampania Wrześniowa 1939. Część 5: *Marynarka wojenna i obrona polskiego wybrzeża*. Opr. Komisja Historyczna Polskiego Sztabu Głównego w Londynie. Str. 281 i XIX i 5 nlb. oraz 6 szkiców. (Wyd. Instytut Historyczny im. Gen. Sikorskiego w Londynie, lipiec, 1962).
- Drogi Cichociemnych*. Opowiadania zebrane i opracowane przez Kolo Spadochroniarzy Armii Krajowej. Nakład drugi. Str. 346 i 6 nlb. z ilustracjami w tekście. (Wyd. Kat. Ośrodek Wyd. „Veritas”, Londyn, listopad 1961, cena 36/- lub doi. 6,-).
- BEDNARSKI (O. Feliks Wojciech, O.P.). *Sport i wychowanie fizyczne w świetle etyki Św. Tomasa z Akwinu*. Str. 107 i 5 nlb. (Nakł. Kat. Ośr. Wyd. „Veritas”, Londyn, czerwiec 1962, cena 7/- lub dol. 1,10).
- JAWORSKI (Jan Ks. Dr). *Droga wśród Bezdroży*. Str. 197 i 3 nlb. (Nakł. Kat. Ośr. Wydawniczego „Veritas”, Londyn, styczeń 1962).
- BRETON (O.E., O.M.I.). *Ko wal Boży*. Przekład z francuskiego Miry Małachowskiej. Str. 219 i 5 nlb. (Wydawnictwo Ojców Oblatów Prowincji Matki Bożej Wniebowziętej, Kanada, druk Londyn, październik 1961).
- OKONSKI (Włodzimierz ks. dr M.I.C.). *Wielka tajemnica*. Wydanie piąte rozszerzone i uzupełnione. Str. 285 i 5 nlb. (Nakł. Kat. Ośr. Wyd. „Veritas”, Londyn, lipiec 1962, cena 15/- lub dol. 2,50).
- BOROWSKI (Ks. Dr A.). *Warunkowe szafarstwo sakramentalne*. Z przedmową J.E.Ks. Biskupa Leo R. Smith. Str. 103 i 5 nlb. (Nakł. Kat. Ośr. Wyd. „Veritas”, Londyn, lipiec 1962).
- PIASECKI (Sergiusz). *Żywoć człowieka rozbrojonego*. Opowieść. Tom XXV Londyńskiej Biblioteki Literackiej. Str. 396. (Wyd. B. Świdzki, Londyn, 1962).
- Norwid Żywy*. Książka zbiorowa wydana staraniem Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie, pod redakcją Wł. Günthera. Str. 320 i 4 nlb. Obwoluta Zygmunta Turkiewicza. W tekście 10 wkładek kredowych z portretami oraz reprodukcjami. (Wyd. B. Świdzki, Londyn, 1962, cena 35/- lub dol. 5,00).
- PASZKOWSKI (Lech). *Polacy w Australii i Oceanii 1970-1940*. Str. 344 i 2 nlb. Obwoluta Tadeusza Dobrostańskiego. Przedmowa Jerzego Zubrzyckiego. (Wyd. B. Świdzki, Londyn, 1962, cena 52/6 lub 8,00 dol.).
- CHCIUK (Andrzej). *Pamiętnik poetyki*. Str. 271 i 1 nlb. (Wyd. staraniem grona przyjaciół poety i sydneyjskich „Wiadomości Polskich”, Melbourne 1961).
- MARKOWSKA (S. Romualda). *Osobowość Matki Kolumby Bialeckiej*. Studium charakterologiczne. Str. 123 i 7 nlb. (Wyd. Kat. Ośr. Wyd. „Veritas”, Londyn, grudzień, 1962).
- CHAŁKO (Zbigniew). *Jaworowe niebo*. Poezje. Str. 78 i 12 nlb. (Wyd. Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn, 1962).

Listy do Redakcji

Londyn, 12 września 1962 r.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze!

P. Jenne zarzuca mi „konformistyczny” stosunek do konkursów literackich. Miałby rację, gdyby w myśl domniemanego założenia organizatorów konkursy te ujawniały nowe, ciekawe nazwiska. Tymczasem właśnie podane przez Londyńczyka wyniki konkursu argentyńskiego, które p. Jennego tak uradowały, obrazują „konformizm” tego typu imprez na emigracji.

Fakt, że Busza i Darowski drukują w „Kontynentach” nie robi z nich mojej prywatnej własności, którą muszę „wstydliwie” reklamować.

Łączę wyrazy szacunku.

Adam CZERNIAWSKI

Lugano, 8.9.1962

Szanowny Panie Redaktorze!

Ze zdumieniem przeczytałem liścik w numerze wrześniowym „Kultury” jednego z jej prenumeratorów, p. Kazimierza Szternala — na temat opowiadania Marka Hłaski, pt. „W dzień śmierci Jego”.

Liścik jest krótki, ale z jego kilku słów można z łatwością wydedukować sobie, jakiego rodzaju smakiem literackim rozporządza jego autor.

Nie o to jednakże chodzi. Ważne jest jedynie, aby stosunek do dzieł, jakie p. Szternal opatruje etykietką „pornografia”, postawić ostatecznie na właściwym miejscu i we właściwej skali rozpoznawczej.

Przed wszystkim zacznijmy od pytania: co to jest właściwie pornografia? Czy to są jedynie fakty z dziedziny erotycznej, czy też sposób postawienia tych faktów? Czy to jest temat, czy też forma podania tego tematu?

Życie składa się z faktów. Z faktów małych, drobnych, codziennych, i faktów na miarę krajową, lub światową. Ale rozmiar nie zmienia istnienia faktu. Pisarzowi, gdy pragnie odtworzyć życie, takie, jakie ono jest — we wszystkich jego postaciach — od najniższych do najbardziej wysublimowanych, nie wolno cofać się przed żadnym faktem, jeśli chce być pisarzem na wielką miarę.

Pozostaje więc jeszcze forma, interpretacja tych faktów. Czy pornografia — w dziedzinie erotyki — jest, powiedzmy, określeniem wulgarnego formy pisania? Ale czy dom publiczny nie jest już formą wulgarną jednego z faktów życia? I czy przez to przestaje być faktem? Czy wulgarność nie będzie tutaj właśnie najwłaściwszą, jedynie soczystą farbą do przedstawienia takiego obrazu?

Nagość ciała i nagość faktów — to jest to samo obiektywne, prawdziwe życie.

Kultureria purytańskiej Anglii zabroniła przez dziesiątki lat publikowania w kraju „Lady Chatterley” — którą to książkę dopiero proces zrehabilitował.

Dzięki Bogu, że Nabokow nie jest Anglikiem. Ale może dziś Anglia obeszłaby się z nim inaczej.

Dla pana Szternala obydwie dzieła są na pewno pornografią (jeśli je w ogóle czytał). Ale myli się on gruntownie. Powieści te są dziełem sztuki. I to jest *faktem*. Takim samym faktem, jak zdarzająca się w życiu, zawarta w nich treść — podana w *realistycznej* i tym samym najbardziej przemawiającej *formie*. Jedyną rację ma p. Szternal mówiąc: „jak kto smakuje i w czym, też jest objawem kultury”. Istotnie. Nie każdego czytelnika *stać na to*, aby potrafił czytać takie książki (w tym miejscu polecam także „Nienasyceństwo” Witkiewicza, polskiego dramaturga, powieściopisarza, filozofa i malarza, który w dziedzinie estetyki stworzył teorię „czystej formy”). Trzeba mieć wysoki smak literacki i całkiem nie „kolchozowe” horyzonty myślowe, aby umieć je smakować, a obok nich ten „uchnący rodzynek” Marka Hłaski, — wspaniałe opowiadanie pt. „Dzień śmierci Jęgo”, za które nawet gdyby nie był napisał nic innego, należałaby się wysoka nagroda literacka.

Bo tylko naiwna niedojrzałość czytelnicza — a nie odwaga — może pozwolić na określenie tego małego dzieła „nieobyčajową szmirą”.

Dziękując przy tej okazji Szanownemu Panu Redaktorowi za wydrukowanie „Dnia śmierci Jęgo” M. Hłaski, proszę przyjąć ode mnie wyrazy najgłębszego szacunku.

Stefan GIEŁCZYŃSKI

London, 13 sierpnia 1962 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

Pan płk Tomaszewski w liście swym w numerze 7/177-8/178 „Kultury” stawia zarzut p. Pobóg-Malinowskiemu, iż popełnia omyłkę co do daty opuszczenia Warszawy przez Rząd w wrześniu 1939 r. Nie może mu „wybaczyć” jako historykowi „dwudniowej omyłki w dacie”. Twierdzi bowiem płk Tomaszewski, że Rząd opuścił Warszawę w dniu 4 września, a nie 6 września.

Jako świadek ówczesnych wydarzeń w Warszawie stwierdzam na podstawie moich notatek, które do dziś dnia posiadam, że w dniu 5 września 1939 r. (wtorek) Rząd w pełnym składzie był na mszy św. odprawionej na intencję oręża polskiego (w zamkniętej katedrze) przez J.Em. Prymasa ks. kardynała Hłonda. Na tej mszy św. byłem obecny, towarzysząc marszałkowi Senatu B. Miedzińskiemu. Poza Rządem w katedrze byli bowiem marszałkowie izb ustawodawczych oraz kilku senatorów i posłów.

We środę 6 września zapisywałem m.in. „Od wczesnego rana bombardowanie lotniska i innych obiektów na przedmieściu. O godz. 12 nalot bombowców niemieckich i usiłowanie zbombardowania mostów. Bezsukcesyjnie! O godz. 15 zarządzenie o niezwłocznej ewakuacji biura Senatu do Lublina, dokąd ma również udać się i marszałek Senatu. O godz. 17 odjazd do Lublina. Jako p.o. dyrektora biura Senatu towarzyszę w tej podróży marszałkowi Senatu. Poza mną nikt z biura nie zgłosił chęci wyjazdu. Godz. 23,30 przyjazd do Lublina. W urzędzie wojewódzkim rozmowa z wojewodą lubelskim de Tramecourtem i z wojewodą poznańskim płk. Bociańskim, który jest komisarzem ewakuacyjnym Rządu”.

Tyle jeśli chodzi o moje zapiski co do opuszczenia Warszawy. Wiem, że Rząd z premierem gen. Składkowskim był jeszcze w stolicy, gdy marszałek Senatu na skutek zarządzenia ewakuacyjnego wyjeżdżał z Warszawy.

Z poważaniem.

Paweł JANKOWSKI

Berkeley, 13 sierpnia 1962

Szanowny Panie Redaktorze!

Nie jestem historykiem. Do tzw. poważnych opracowań historycznych mam swoje własne prywatne podejście, nad którym rozwodzić się nie będę, bo dla nikogo nie byłoby to ciekawe. Będąc natomiast sam wspominkarzem jestem namiętnym czytelnikiem wszelkich wspomnień. Czy utrwalone natychmiast po opisywanych wypadkach, czy też po roku, po kilkunastu i nawet po kilkudziesięciu latach, są one dla mnie zawsze „żywe, świeże i silne”, o ile są oparte na własnych przeżyciach i na własnej, choćby bardzo zawodnej, pamięci autora, nie zaś korygowane post factum przez czytanie „narosłej literatury”. Opisuję np. własne przeżycia w czasie rewolucji rosyjskiej 1917 roku. Opisy moje mogą być dla historyka zawodowego całkowicie bez wartości, może się jednak zdarzyć, że wylowi z nich parę faktów lub facyfików dotąd nieznanymi, zesławi z innymi świadectwami i wyciągnie z tego te lub inne wnioski. Wtedy „wspominki” moje nabiorą wartości materiału historycznego. Jeżeli natomiast zaczęłyby się zafiksowane w pamięci wypadki poprawiać i uzupełniać zgodnie z tym, co w ciągu 46 lat znalazłem w kilkunastu pamiętnikarskich tomach historycznych i pamiętnikarskich, wspomnienia moje stracą *świeżość* surowego materiału i staną się jeszcze jednym szkolnym wypracowaniem na temat nie tego, co się widziało i przeżyło, lecz tego, co się przeczytało. Taki jest mój skromny pogląd na wartość literatury pamiętnikarskiej. Toteż ze zdumieniem dowiedziałem się, że p. Władysław Malinowski herbu Pobóg, historyk zawodowy, uważa za ciężki grzech, że „...większość autorów pisząc czy ogłaszając swe wspomnienia czy przyczynki nie zadaje sobie trudu, by przeczytać, czy bodaj pobieżnie przejrzeć to, co napisali i opublikowali inni”. „Zasklepienie się w ciasnym obrębie swoich własnych tylko przeżyć i doświadczeń, opieranie się tylko na swojej własnej pamięci...” uważa p. Malinowski za „zaśmiecanie naszej historii” („Kultura” nr 5/175, str. 128). Jeżeli więc w roku, powiedzmy, 1917-ym przeżyłem jakieś zdarzenie, nie mam prawa według zawodowego historyka p. Malinowskiego pisać o tym na podstawie własnej pamięci, lecz najpierw przeczytać to, co o tym zdarzeniu napisali panowie A, B, C, D itd. *usque ad finem* i dopiero po przeczytaniu odpowiednio „uzupełnić” i „poprawić” moje wspomnienia. Innymi słowy będą to nie moje własne wspomnienia, ale wspomnienia niejako „bezosobowe” spreparowane według metody historycznej p. Malinowskiego.

Powtarzam że nie jestem historykiem. Zwracam się przeto do pp. historyków zawodowych ze skromnym pytaniem: czy podjęcie metodologiczne udzielone przez p. Malinowskiego autorom pamiętników jest odbiciem metody ogólnie przyjętej w nauce historii?

Łączę wyrazy szacunku.

Michał K. PAWLIKOWSKI

Sao Paulo, 12 sierpnia 1962 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

Jak większość, sędzę, czytelników jestem pełen uznania do p. Miroszewskiego od którego artykułów zresztą zaczynam każdorazową lekturę „Kultury”. Tym razem jednak dopiekl mi zbyt silnie bym mógł się powstrzymać od odpowiedzi.

W artykule pt. „Wybór” w numerze z lipca-sierpnia, p. Mieroszewski apodyktycznie stwierdza: „Pewien procent inteligentów odwiedza kraj... Ci są straceni dla „niezłomnych”. Nie znajdując na emigracji odpowiedniego dla siebie „przydziału” politycznego ci „panowie podpisują się z mniejszymi lub większymi zastrzeżeniami pod „orientacją” Stefana Kisielewskiego”.

Nie wchodzę tutaj w meritum sprawy zatargu Kisiel-„Kultura”, zatargu do którego zaczynają być wprowadzane działa coraz to większego kalibru. Protestuję natomiast przeciw wcielaniu mnie w „obóz” Kisielea, do którego nigdy nie należałem i, mimo odwiedzenia ostatnio kraju, nie mam najmniejszego zamiaru należeć. Sprawa nie przedstawia się tak skrajnie białoczarne jak wynika z artykułu. Można być straconym dla „niezłomnych” (zawsze byłem). Ale można też żyć a nawet działać na emigracji bez „przydziału”. Prawie całość naszych publicystów nawet utalentowanych, jakkolwiek działalność społeczną umiejscawia natychmiast w ciasnych ramach środowiska emigracyjnego. Konsekwencją takiego podejścia jest operowanie zwrotami, które są może aktualne dla „ostatnich mohikanów”, ale dla nas, wychowanych i wykształconych całkowicie poza krajem, niestety trącą dętą mową. My nie koniecznie obracamy się tylko w kołach emigracyjnych.

Chciałbym teraz poruszyć sprawę mojej podróży. Przez miesiąc byłem w kraju po raz pierwszy od lat 22 kiedy wyjechałem z Polski mając lat 9. Wziąłem udział w wycieczce Polonii w której uczestniczyło około 80 osób z 12 krajów. Celem, po zwiedzeniu Polski, było spotkanie we Wrocławiu z przedstawicielami nauki polskiej.

Wycieczka niewątpliwie była b. ciekawa i mam nadzieję, że któryś z uczestników opisze ją dużo lepiej niż ja byłbym w stanie to uczynić. Osobiście chciałbym tylko zwrócić uwagę na kilka szczegółów które sądzą że p. Redaktora zainteresują.

Podczas zwiedzania Biblioteki Jagiellońskiej, gdy oprowadzający nas kierownik oświadczył że wszystkie czasopisma polskie są tam prenumerowane, zapytałem o „Kulturę”. Owszem jest. A czy każdy może z niej korzystać? Naturalnie, z tym że pismo znajduje się w dziale „Rez”. Korzystanie z „Rez” jest dozwolone, ale ochotnik na taki wyczyn musi każdorazowo podać swoje nazwisko i adres i *wyказать*, że przeczytanie danego numeru „Kultury” jest mu niezbędne do studiów jakie w tej chwili przeprowadza. Czy jestem zadowolony? Nie, proszę o pokazanie mi gdzie jest schowana. Otworzono szafkę kluczem i pokazano stojące roczniki. Ostatni był z pięćdziesiątego którego roku. A gdzie reszta? Wyraźnie już zniercierpliwieni moją natarczywością, oświadczyli zimno, że w tej chwili są w użytku. Nie naciskałem już więcej.

P. Mieroszewski wspomina w swoim artykule pp. Hanke i Hrabyka. Miałem okazję rozmawiania z jednym i drugim. Robią żalodne wrażenie ludzi bez gruntu pod nogami, lękających się własnego cienia co, drogą antytezy doprowadza, zwłaszcza u Hrabyka do stanowiska *plus catholique que le pape*. Hanke jest tylko nominalnym prezesem tow. Polonia. Rzeczywistymi kierownikami są wiceministrowie Zawadzki i Kuczyński. Hanke, którego w obecności ministrów z przewrotną satysfakcją tytułowaliśmy per „panie premierze”, unikał jakiegokolwiek dłuższej rozmowy z nami. Hrabyk natomiast półgodzinnym monologiem przekonywał mnie o słuszności swego powrotu, jak również o korzyściach dzisiejszych osiągnięć dla kraju. Było to niestety na bardzo niskim poziomie, mówił o rzeczach dla wszystkich zauważalnych i całość robiła wrażenie chęci przekonania raczej samego siebie. Określanie więc przez niego działalności emigracyjnej „lunaparkiem” i wytykanie jakis błędów czy innych kompleksów chyba celu. *Medice cura te ipsum*.

Nie chcę zanadto się rozpisywać więc poruszę tylko kwestię Ziemi Zachodnich. Zagadnienie to w kraju jest rozumiane inaczej niż to przedstawia p. Mackiewicz w swoim liście do Redakcji. Nie podaje się w wątpliwość przynależności tych ziem do Polski. Pod tym względem wszyscy są zgodni. Argumenty historyczne nie bardzo trafiły mi do przekonania. Ale jeden jest nie do odparcia. Ziemia ta są dzisiaj polskie, bo są zamieszkałe przez 10 milionów Polaków. Niemców na nich nie ma. I niestety nie ma na ten temat całkowitej zgody z sąsiadem. Sam z kolegami miałem zajście uliczne z trzema studentkami z NRD (podkreślam z NRD), w którym wychodząc ze słuszności założenia, że kobiety kwiatem tknąć nie wolno, o mało że nie sięgnęliśmy po kostki brukowe. Może to być potwierdzone przez dwóch kolegów wycieczki, którzy brali w tym udział. Jeden jest słynnym rzeźbiarzem w Anglii a drugi inżynierem we Francji.

Stosunek do tych ziem może najbardziej charakterystycznie został wykazany podczas rozmowy z robotnikiem w Opolu: „Panowie, te ziemie są polskie, piastowskie. Nie dajcie panowie, by Niemiec nam je odebrał. Nie dajcie!”.

Łączę wyrazy szacunku.

Adam POLAKIEWICZ

Warszawa, 5 września 1962 r.

W rękopisie o anarchii wyslanym do „Przeglądu Kulturalnego” znalazło się zdanie: „Świadome ograniczenie silnej ręki dodatnio wyróżnia Polskę wśród państw Bloku Demokratycznego (podkr. M.W.).

Jest to zwrot w Polsce używany, równie odbiegający od rzeczywistości, jak „Blok Państw Satelickich”.

„Klub Trzeciego Miejsca” nie znalazł jeszcze swego terminu, to też chętnie przyjąłem telefon proponujący wykreślenie słów: „wśród państw Bloku Demokratycznego”. Uważałem, że sens będzie jasny.

Po otrzymaniu numeru z przykrością skonstatowałem, że postąpiłem niebacznie, nie mając w chwili rozmowy telefonicznej przed oczami odpisu. Zaraz bowiem po tym zdaniu szedł ustęp o Polsce przedwrześniowej; po wyrzuceniu tych słów wypadło, że porównuję Polskę obecną nie z państwami Bloku, tylko z Polską przedwojenną.

Londyńczyk zasygnalizował lapsus, który w ten sposób powstał.

Moją nieostrożność tonuje kontekst całego artykułu. Ale kto by brał pod uwagę kontekst w stosunku do nieprzyjaciela, bo tak, sądząc z „casus Kisielewski” zdaje się traktować „Kultura” tych pisarzy z Polski, którzy, uważając, że pod każdą szerokością geograficzną sprawa polska jest nierozdzielna, mieli odwagę okazać chęć współpracy.

Londyńczyk zamiast mego nazwiska używa określenia „autor Sztafety”, co ma sugerować przesiadanie się do N-ego z rzędu Klubu.

Muszę dodać wiatru w żagle Londyńczykowi: miałem żarliwą chęć napisania „Sztafeta II”. I tylko świadomość, że zadanie mnie przerasta, nie pozwoliło mi spełnić marzenia, aby to samo pióro dało świadectwo prawdziwości, tak różnych dwudziestolecia na tej samej ziemi.

Melchior WAŃKOWICZ

Sao Paulo, 7 września 1962 r.

*Kto mi powie, że Moskale
Cnymi braćmi są Lechitów
Temu pierwszy w łeb wypalę
Przed kościołem Karmelitów.*

Wielce Szanowny Panie Redaktorze!

Umieściłem ten wiersz, wyjęty z listu pana Grobickiego do Pana („Kultura” nr 177/178), jako motto do mojego niniejszego protestu, ponieważ poetyk ten całkowicie charakteryzuje polityczny i publicystyczny poziom poglądów i zapatrywań pana Grobickiego na bodajże najważniejszą polską sprawę polsko-rosyjskich stosunków.

Jak dotychczas to my wszyscy, rozproszeni po świecie, z wielką uwagą, a w wielu wypadkach z całkowitą satysfakcją wsluchujemy się w głosy „Kultury”, omawiające intelektualne, artystyczne, społeczne i polityczne sprawy świata, zwłaszcza polskie. Bez grzecznościowej przesady trzeba stwierdzić, że „Kultura” promieniuje na polskie życie na przestrzeni całego globu, stając się coraz bardziej urodzajnym terenem pożytecznych myśli, opinii i ideowych kierunków między Polakami.

Lecz, czy słuchając głosu pana Grobickiego, który, jak on sam zaznacza, wyraża jego osobiste zapatrywania, nie należy najuprzejmiej lecz głośno zapytać... — kogo to obchodzi?

Kogo mogą obchodzić dziwaczne sentymenty i poglądy, z których, nawet po zastosowaniu do nich jak najbardziej pobłażliwej krytyki i skrupulatnej analizy, nie da się wycisnąć krzty jakiegokolwiek myśli, społecznej politycznej, czy intelektualnej, gdy tymczasem te sentymenty i poglądy, poddane sprawiedliwej ocenie, zasługują by je zaliczyć do bardzo szkodliwych wysiąków, czy wypocin złego humoru Polaków tej kategorii, których rosyjski poeta Puszkina nazywał „kiczliwymi Lachami” w swoim słynnym i bardzo głupim wierszu „Oszczercom Rosji”.

Wolno panu Grobickiemu nienawidzić moskali, pogardzać nimi i strzelać w łeb z nacjonalistycznego „puhacza” każdemu, kto itd., lecz na miły Bóg, czemu pan Grobicki nic nie mówi o tym, jak z tymi moskalami żyć, jak ułożyć życie o między i wyjść wreszcie z nimi, czy bez nich, na drogę pokoju, spokoju i pomyślności.

Pan Grobicki z wielką pewnością siebie przemawia w imieniu „większości” Polaków, wyrzucając panu Czapskiemu jego przyjaźnię z Rosjanami, nawet nie wątpiąc na chwilę, że może się myli.

„Zbyt wylewna miłość w kierunku choćby najlepszych Rosjan, jest większości narodu polskiego obcą i to nie oficjalnie, lecz pochodzącą z głębi serca”.

Przepraszam, ale skąd ta pewność?

Bo ja, na przykład, myślę, właśnie myślę, a nie zgaduję, że dla większości narodu polskiego, z chłopami i robotnikami włącznie, którym dzisiaj ilość wykształconych wśród nich ludzi nadaje zupełnie wyraźne oblicze masy narodu, nie żadna wylewna miłość, jak to pan Grobicki uszczypliwie określa, a zrozumienie, czy wyczucie instynktem narodowej potrzeby, nakazuje konieczność ułożenia stosunków z Rosją i Rosjanami w taki sposób, by Polsce i Polakom już wreszcie nie zagrażały rozbiory i zabory, łagry i krematoria, rzezie Pragi i Katyńskie morderstwa, czerezwyczajki, tury i Sybiry.

W jakim to sposób?

Żaden sposób sam się nie robi. Z Nieba, z Waszyngtonu, czy z Londynu nie spadnie, sposoby trzeba projektować i budować umiejętnie

i rozumnie, ze spokojem i na długi dystans, i nie mogą mieć one nic wspólnego z nienawiścią i pogardą.

Podajcie pana Grobickiego, i do niego podobnych, jest typowo ulańskie, jak szarża z dobytymi szablami, bez rozpoznania terenu, na ślepo, lecz z ogniem w sercu i fantazją w impecie... marsz... marsz na wroga... bij, zabij... aż do wiadomego skutku, jak to już nieraz bywało.

Mam prawo i obowiązek głośno o tych sprawach mówić, bo dłużej, głębiej i wielostronnie znam Rosję i Rosjan niż wielu Polaków, i niż p. Grobicki. Pięćdziesiąt lat z górą mojego życia poświęciłem dążeniom i wysiłkom kultywacji na dwie strony idei polsko-rosyjsko-ukraińskiego wieczystego pokoju, w jedynym możliwym i zabezpieczającym wyrazie i kształcie trójprzymierza trzech odrębnych państw i narodów, sprzymierzonych ze sobą w imię wolności, równości, braterstwa i obopólnego bezpieczeństwa.

Dla mnie i bardzo nielicznych moich przyjaciół, tak Polaków, jak i Rosjan, rzecz ta wcale nie była i nie jest dotychczas fantazją, ni bezcielesnym marzeniem, jakby się mogło wydawać ludziom z daleka.

Poczucie wyższości i lepszości Polaków w oczach Rosjan posiadało wiele uprawiedliwionych źródeł, trwało od dawna i weszło w krew i tradycję rosyjską. To właśnie było powodem, że nas powszechnie szanowano i to samo było powodem, że nas powszechnie lubiano. Stąd zapewne puszkiniowski „kiczliwy Lach”, co nie koniecznie jest tylko złośliwym przytykiem poety, wskutek przegranej w baka do jakiego Polaka poważniejszej kwoty. Bo powiedzmy z ręką na sercu, iluż to panów Grobickich nie odmawiało sobie satysfakcji okazania przy każdej sposobności „barbarzyńskim moskalom” swojej rzekomo europejskiej wyższości, niezupełnie, lub wcale w danym wypadku dowiedzionej i uprawiedliwionej.

Niewątpliwie, że byli również somnabuliści imperializmu rosyjskiego i w jakimś stopniu zarażali i społeczeństwo i szerokie masy narodu rosyjskiego, chociaż nie tak bardzo i nie tak głęboko, jakby tego pragnęli, lecz pamiętajmy, że oni narodem rosyjskim nie byli.

Tych, którzy obecnie budują nową Rosję i są lub pragną być twórcami charakteru nowych Rosjan i ich stosunku do całego świata, a tym samym i do Polski i do Polaków, zbliża do nas wspólny los, świadomość przymusowej bezosobowości, indywidualnego ubezwłasnowolnienia i ponura szarość doktrynalnej kolektywizacji całego ich życia.

Z tymi Rosjanami nie ma potrzeby omawiana zasad równości i braterstwa, te bowiem psychicznie i empirycznie już istnieją.

Brakuje na razie trzeciej zasady... wolności.

Z powyższego wynika, że realnie i bez „kiczliwości” laskiej, możemy czuć się braćmi Rosjan i nie ma żadnej racji i potrzeby strzelania nam w łeb, ni przed kościołem Karmelitów, ni przed pułkową ujeżdżalnią.

Pozostaję z szacunkiem.

Karol WĘDZIAGOLSKI

Londyn, w sierpniu 1962

Drogi Panie Redaktorze!

Przeglądając w numerze poświęconym piętnastolecium „Kultury” imponujący wykaz wydawnictw książkowych dostrzegłem w pozycjach notujących

przekłady na języki obce określenia: „tłumaczone na angielski” i „tłumaczone na amerykański”.

Sądzę, że jest to rozróżnienie błędne.

Wiem, że wydania książek obcych w Ameryce i w Anglii dokonują się często w oparciu o dwa różne przekłady. Niekiedy tę dwutorowość dyktuje chęć odmiennego „rewritingu” na potrzeby dwóch różnych środowisk czytelniczych. Najczęściej przyczyną są utarte zwyczaje wydawnicze, te same, które każą umieszczać na książkach drukowanych w Londynie, klauzulę „not for sale in the USA”. Działają tu względy ochrony praw autorskich i zwykły podział rynku. Natomiast nie zdarza się by dzieła pisarzy angielskich były przerabiane „na język amerykański”. Dotyczy to nie tylko klasyków, którzy są wartością wspólną dla obu narodów, lecz także pisarzy współczesnych. A i Kerouac, Faulkner, Hemingway czy Steinbecka drukuje się w Anglii w nienaruszonym oryginale amerykańskim.

„Język amerykański” jest kolokwializmem, potrzebnym, gdy chodzi o podkreślenie różnic wymowy, składni, a niekiedy i stylu. Znaczenie głębsze nadają mu, nieliczni zresztą ludzie, których związek z Ameryką jest raczej świeżej daty i którzy stoją zwykle w dużej odległości od zrozumienia istoty różnic kulturalnych między dwoma narodami. Nie należy do nich język.

Obawiam się, że „Kultura” poszła za przykładem francuskich pism literackich, które od dawna lansują zwrot „traduit de l'américain”, zgodnie z francuskim obyczajem wspierania ignorancji w sprawach kulturalnych innych niż ich własne sporą dozą beztrojskiej arogancji. Gdyby postępować logicznie należałoby zaopatrywać paryski przedruk książki francuskiej wydanej w Montrealu adnotacją „traduit du canadien”.

Żart Oscara Wilde'a, ten który mówi, że Anglicy i Amerykanie wszystko mają wspólne z wyjątkiem języka, jest dobrym żartem i powtarza się go z lubością po obu stronach Atlantyku. Lecz jest to tylko żart, którego skutki praktyczne znaleźć można chyba tylko w piosenkach rewiowych, operujący odmienną wymową słów tak ważnych jak „tomejto” i „tomaato”, „padzama” i „pydzama”, lub niesłychanie ważną różnicą znaczenia między „flat” angielskim, który znaczy mieszkanie i „flat” amerykańskim, który określa przykry wypadek przeklucia opony w samochodzie. Czyli „nawalenie kichy” lub „złapanie gwoździa”.

Łączę serdeczne pozdrowienia.

Paweł ZAREMBA

Londyński korespondent „Kultury”: Juliusz MIEROSZEWSKI
11 Gainsborough Road, London, W.4. — Telefon: CH1swick 1860

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE,
91, avenue de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)
Directeur-gérant: Jerzy Giedroyc.

Dépôt légal: 3^e trimestre 1962

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-rocznia	Rocznia
AFRYKA POLUDNIOWA : Janusz Kruszynski, 54, 15th St., Parkhurst, Johannesburg	55 cent. (5 sh. 6 d.)	3,10 rand (31 sh.)	6 rand (60 sh.)
ARGENTYNA : Tadeusz Dobrowski, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires	5 sh. 6 d.	31 sh.	60 sh.
AUSTRALIA : « Vistula » (Australia) PTY Ltd., Daking House, Rawson Place, Sydney	7 sh. (a)	£.A.2.0.0	£.A.3.15.0
BELGIA : Janina Karab Brzozowska-Csaky, 116, rue Joseph-II, Bruxelles 4, Nr konta pocztowego 7315-20..	45 fr. b.	240 fr. b.	450 fr. b.
BRAZYLIA : Julia Barcinska, rua Maria Angelica 367, m. 301 (Jardim Botânico), Rio de Janeiro; Seweryn A. Hertman, rua Barao de Itapetininga 221, s. 1203, Cxa Post. 6335, Sao Paulo. J. Orciuch; Moveis Cimo S/A, Departamento de Vendas, Caixa Postal 13, Curitiba, Parana.		5 dol. am.	9 dol. am.
FRANCJA : do nabycia w redakcji « KULTURY » i w Księgarniach polskich w Paryżu.	3,50 NF	19 NF	37 NF
HOLANDIA : T. Szpilczyński, Ruysdaelkade 5 Amsterdam-2, Tel.: 716080. Nr konta poczt. 13500 — t.b.v.S. 6538	3 fl. hol.	18 fl. hol.	34 fl. hol.
IZRAEL : « Sifri-Holon », Stanislaw Wytrzyk, Holon, Sokolow Nr. 40	3,85 NF	21 NF	41 NF
KANADA : M. Jaxa-Debicka, 221 Howard Park Av., Toronto 3, Ont. lub c/o Polish Voice, 1089 Queen St. W. Toronto Ont., K. Krakowska, 2318 Hingston Ave. N.D. de G., Montreal/Queb., Tel.: HU 8-5224; H.R. Radamski, 55 Ridge Drive, Toronto 7, Ont. Tel.: HU 9-0829; M. Król, 637 Kent Road, Winnipeg, Man.; « Zwiakzowiec », 1475 Queen St. W., Toronto 3, Ont., Tel.: LE 1-2491; W.T. Drymmer, 31 Argyle Ave., Ottawa, Ont., Tel.: LE 33407.	1 dol.	5 doi.	9 dol
MEKSYK : Victor Stanislawski, Av. Libertad 1350, dep. 1, Guadalajara, Jal. Tel. 49855	1 dol.	5 doi.	9 doi
NIEMCY : St. Mikiciuk, (13b) München 45, Gablonzerstr. 7/1	4.- DM	22 DM	40 DM
NORWEGIA : Br. Lubinski, Klommenstengt 8, Moss.	5 sh. 6 d.	31 sh.	60 sh.
SZWAJCARIA : Maria Wasung, 6, rue des Lilas, Geneva. Tel.: 33 34 20, Nr konta poczt. 1.14431	3,50 fr. s.	27 fr. s.	40 fr. szw
SZWECJA : Red Norbert Zaba, Kallskärgatan 3/IV Stockholm	5 kor.	25 kor.	45 kor.
U.S.A. : W. Bienkowski, 738 Hampton Avenue, Schenectady, N.Y.; S. Dobczynski, Almo Shipping Co, 121 St. Marks Pl., New York 9, N.Y.; L. Dudarew Dssatynski, 143, 16-th street, Brooklyn 15, N.Y.; S. Dziarczykowski, 4009 W., 23rd St., Los Angeles 18, Cal.; M.K. Dziewanowski, 41, Katherine Rd., Watertown, Mass.; T. Kanapacki, 1253 Hathaway Av., Cleveland 7, Ohio. Tel. LA-1.2305; Ch. M. Kretowicz, 6947 Oregon Ave., La Mesa-San Diego, Cal.; V.B. Kwast, 376 Wallingford Terrace, Union, N.J.; Polish Amer. Book Co, 1136 Milwaukee Av., Chicago 22, Ill.; E. Posyniak, 595 Fillmore Av., Buffalo 12, N.Y.; Praca, 2419 Memphis St., Philadelphia 25, Pa.; The Polish Book Importing Co, Inc., 156 Fifth Ave., New York 10, N.Y.; K. Trojanowski, 124 Hellstrom Rd. East Haven, Conn. R.J. Sat-Babczynski, 12932 Shackelford Lane, apt. 6, Garden Grove, Cal. Jan Wojcik, 153 Broad Street, New Britain, Conn.; A. Wisniewski, 1029 Cuba St., Toledo 17, Ohio Jan Zych. 6428 Morse, Detroit 10, Mich. Tel. TA-5-6740.	1 dol.	5 dol.	9 dol.
W. BRYTANIA : « Gryf » Publication Ltd., 169-171, Battersea Church Road, London, S.W.11	5 sh. 6 d.	31 sh.	60 sh.
WŁOCHY : Prosimy o przekazywanie prenumerat zekiem lub przekazem pocztowym.	500 lires	2.800 lires	5.000 lires

W krajach niewymienionych prenumerata jak we Francji, plus koszty porta 2 NF półrocznie i 4 NF rocznie. Przesyłka pojedynczego numeru: 0,35 NF.

Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres:

INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Mesnil-la-Roi,
par MAISONS-LAFFITTE (S.-et-O.) — C.C.P. PARIS 18.228-56

Nowości

BIBLIOTEKI « KULTURY »

TOM LXXX

II-gi

ZESZYT HISTORYCZNY

zawierający m. in:

Bazyli Rogowski:

Ostatni okres życia marszałka Rydza-Smigłego
Nieznane listy marszałka Piłsudskiego

Cena ZESZYTU w sprzedaży: 15 NF (22/-; dol. 3)
w prenumeracie o połowę taniej.



TOM LXXXI

WITOLD GOMBROWICZ

DZIENNIK

T. II

Cena egz. 15 NF (22/6; dol. 3,25)



TOM LXXXII

MIŁOWAN DŻILAS

ROZMOWY ZE STAŁINEN

w przekładzie Adama Ciolkosza

Cena egz. 9 NF (13/6; dol. 2)